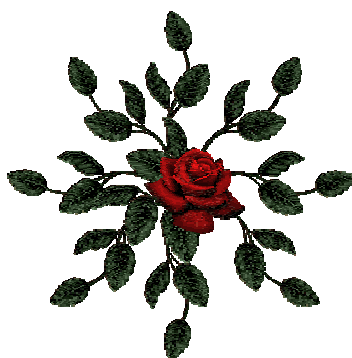




HEATHER GRAHAM



ZABÓJCZY DAR

Tytuł oryginału: *Deadly Gift*

PROLOG

Zatoka Narragansett, Rhode Island

Ocean jest piękny. A kiedy płyniesz po nim – prawdziwa rozkosz!

Eddie Ray, usadowiony przy sterze, czuł na policzkach ostre podmuchy wiatru. Wiedział, że od tego smagania wkrótce będą czerwone. I co z tego? On kochał ocean, zimą, latem, zawsze. Uwielbiał białe grzywy spienionych fal, wicher, nawet chłód, przenikający człowieka do szpiku kości. Oczywiście nie był idiotą. Tu, koło Newport na Rhode Island, gdzie wody oceanu są wyjątkowo zdradliwe, nigdy by mu do głowy nie przyszło wypływać podczas sztormu. Ale nieraz zdarzyło mu się bezpiecznie przeprowadzić łajbę, kiedy niespodziewanie powiał ten jeden z najsympatyczniejszych, północno-wschodni wiatr.

Dziś jest rewelacyjnie. Powietrze rześkie, prędkość wiatru dokładnie w sam raz, żeby wypełnić żagle. „Sea Maiden” płynęła cudnie, po prostu frunęła. Przepiękna łódź, jego zdecydowana faworytka. Jej nazwę kazał sobie wytatuować na ramieniu.

Wziął ją dziś, choć nie musiał. Osiemnaście metrów długości. Żaden z tych dorobkiewiczów, co szpanują kasą, nie wziąłby tak dużej łodzi dla jednego pasażera.

Dziwnego pasażera.

Wszedł na pokład punktualnie o dwunastej, tak jak chciał, ale Eddie zapowiedział, że najpóźniej o wpół do trzeciej mają być z powrotem, ponieważ chce pożegnać się z przyjacielem, wyjeżdżającym do Irlandii.

Było to wielkie wydarzenie. Sean od lat nie był w kraju, w którym się urodził. Poza tym, wyjąwszy miesiąc miodowy na Karaibach, nigdzie

jeszcze nie wyjeżdżał ze swoją nową żoną, Amandą. Żoną-trofeum, jak nazywała ją jego córka, Kat. Niestety, kiedy człowiek żeni się z kobietą młodszą o tyle lat, musi się liczyć z różnymi reakcjami bliźnich. Eddie był jednak pewien, że Seanowi uda się zachować spokój w domu, o ile podejździe do tego jak do walki z wiatrem. Będzie niezłomny. Sean przecież zawsze przypominał Eddiemu pirata, ale nie takiego prawdziwego, czyli człowieka raczej kontrowersyjnego, lecz kryształową postać na użytek filmu. Taki kapitan Blood, na przykład. Odważny, zdeterminowany. Bohater.

Sean był bohaterem, który nie był stworzony do samotnego życia. Jego pierwsza żona, matka Kat, zmarła wiele lat temu. Kat, zajęta karierą muzyczną, rzadko bywała w domu, Sean skazany był więc na towarzystwo starej niezamężnej ciotki, skądinąd wyjątkowo sympatycznej, oraz pary służących, Clary i Toma.

I stąd wzięła się Amanda.

Eddie gotów był zaakceptować wszystko, byle jego przyjaciel był szczęśliwy. Zaakceptować nawet Amandę, chociaż za Boga nie mógł zrozumieć, dlaczego Sean ożenił się z kobietą, która szarych komórek miała tyle co małże. Która też wcale nie starała się usilnie udawać, że lubi Kat. Kat, jasny promyk słońca w życiu Seana. Ale cóż... Sean był najlepszym przyjacielem Eddiego, także współnikiem. Razem żeglowali po oceanach życia, tych wzburzonych i tych spokojnych, dobrych i złych, szczęśliwych i tragicznych. Jeśli więc Sean zdecydował się na rejs z Amandą u boku, Eddie musiał po prostu to zaakceptować.

A teraz cieszyć się, że podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia on, Eddie, swoim prezentem sprawi Seanowi tyle radości.

W końcu udało się odnaleźć coś, czego obaj, bawiąc się w historyków, szukali od dawien dawna, jednocześnie razem rozwijając czarterowy biznes. Poza tym Sean miał jeszcze na głowie duży, stary dom, zbudowany przez jego dziadka.

Sean i Eddie. Kumple od lat.

Eddie uśmiechnął się. On już był szczęśliwy, kiedy wyobrażał sobie, jak za kilka tygodni, podczas świąt Sean będzie skakał z radości.

Poza tym był zadowolony, że podłapał pasażera. John Alden – tak się przedstawił. Z kamienną twarzą. Alden. Nazwisko, jak na Nową Anglię, całkiem, całkiem. Może jakiś Alden był wśród pierwszych osadników, ojców-pielgrzymów? W każdym razie ten Alden wyglądał bardzo dziwnie, schowany w olbrzymim swetrze i trenchu co najmniej o numer za dużym. Był uderzająco niski, miał zabawne wąsy i wielkie okulary w grubych oprawkach. Mówił z dziwną manierą. Szybko, głośno, trochę zachrypniętym głosem. Przypominał Eddiemu teriera, zuchwałego pieska, który nie potrafi zaakceptować swoich ograniczonych gabarytów i rzuca się na mastiffa.

Ale parę centów od terriera jest tak samo dobre, jak od mastiffa. Alden zażyczył sobie dwugodzinny rejsu. Chciał pokręcić się wokół małych wysp u wylotu cieśniny, potem po zatoce.

Nie ma problemu. Eddie zna tu każdy centymetr kwadratowy lądu i wody. Ciekawe, czy ten dziwnie mały facet ma jakieś pojęcie o historii tych okolic. Czy słyszał o nieustraszonych bojownikach z Rhode Island, walczących o niepodległość Stanów. Bo na jachtach na pewno się nie znał. Każdy chciał płynąć „Sea Maiden”, bo jest przepiękna. Lśniaca, smukła. Nawet przy takim wietrze jak dziś można było postawić jej żagle i frunąć.

A ten facet poprosił, żeby zwinąć żagle i płynąć na silniku.

No CÓŻ. Ludzie są różni i różniejsi, na tym między innymi polega urok tego świata.

Spojrzał na zegarek. Pora wracać, jeśli ma zdążyć na pożegnalną imprezę. Tylko, gdzie się podział ten konus? Może poszedł na dziób, żeby podziwiać widoki. A ster, przy którym siedział Eddie, był przecież na rufie. Gościa na pewno nie było w kajucie, bo kajutę Eddie po prostu zamknął. Nikt obcy nie miał tam wstępu, za dużo w niej było dokumentów i rzeczy osobistych. A to dlatego, że „Sea Maiden” była ulubioną łodzią właściwie wszystkich.

– Wracamy! – zawołał Eddie. – Panie Alden, słyszy mnie pan? Mówiłem panu, że wieczorem dokądś się wybieram!

Przedtem chciał wziąć prysznic, przecież miało być to regularne przyjęcie. Chciał się wyszykować, chociażby po to, żeby pokazać tej głupiej blondynce, że on potrafi się domyć.

– Halo! Panie Alden! Cisza.

Spojrzał w niebo. Żegnało się już z błękitem. Wkrótce zapadnie noc, w Nowej Anglii zimą odbywa się to błyskawicznie. Żadnych szarówek, od razu czerń, jakby jakiś gigantyczny ptak zakrywał niebo czarnym skrzydłem.

Zaczął wstawać ze stołka. Nagle zorientował się, że znów na nim siedzi.

– Co jest? – wymamrotał. Jeszcze raz spróbował wstać.

Nie był ułomkiem, nie był też jakimś siłaczem, całe jednak życie pracował na morzu, a to mówi za siebie. Poza tym nosił ze sobą broń. Małego kalibru, ale zawsze.

Teraz pistolet leżał w kajucie.

A on... on wcale na to nie był przygotowany.

Wyczuł za sobą ruch, ale nie miał nawet ułamka sekundy, żeby obronić się przed nagłym atakiem. Zdażył tylko minimalnie podnieść się ze stołka i gwałtownie zmienić kierunek.

Poleciał w dół.

Spadał w ciemność oceanu. Lodowata woda łagodziła ból. Przed nim w wodzie kłębiło się coś, jak cień... Czerwone.

Jego krew. Stwierdził to dziwnie beznamiętnie. Krew, tryskająca z piersi jak gejzer.

Był cały skostniały, bez czucia. Tak naprawdę funkcjonował tylko mózg. Dzięki temu mógł zdać sobie sprawę, że umiera. I jest durniem. Trzeba było wcześniej pomyśleć.

Nie pomyślał, teraz jest już za późno. Umiera. Nie czuje ani rąk, ani nóg. W płucach ogień, przed oczyma czerwona płachta krwi. Chyba przebiło mu płuco. Co wcale nie znaczy, że zna się dobrze na anatomii. Ale wystarczająco, by wiedzieć, że od czegoś takiego odchodzi się w niebyt.

Pływać po oceanie – rozkosz. Chyba coś takiego przemknęło mu przez głowę. Ale koniec z rozkoszą, kiedy jesteś w wodzie, sztywny jak kółek i opadasz coraz głębiej, ciągnąc za sobą pióropusz czerwonej krwi.

Tyle miałem jeszcze zrobić, zobaczyć. Przeżyć.

Za późno.

Stary dureń...

Czerń nagle zaczęła ustępować, zaczęły przebijać się przez nią smugi światła. Jasność, potem znów czerń, ale inna, łagodna, ciepła...

Mijają sekundy.

Zegar życia zaraz się zatrzyma. Był mężczyzną, silnym człowiekiem, ale teraz... teraz bal się... bardzo.

W uszach szum. Nie, to nie szum. Stukot. Tętent kopyt, coś niebywałego w podwodnym świecie.

Tak, to konie. Cwałują przez wichry i fale, konie czarne jak noc, czarne plamy, czarniejsze niż ciemność oceanu.

Przerażające, a jednocześnie piękne. I dziwnie kojące.

A potem, poprzez ciemność, wyciągnęła się do niego czyjaś ręka.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dublin, Irlandia

– Proszę się odsunąć!

– Ale co się dzieje? Przecież to mój mąż! Proszę mnie puścić do niego! To mój mąż!

Caer Donahue słyszała krzyki kobiety, słyszała, jak pielęgniarka z izby przyjęć przemawia łagodnym głosem, starając się ją uspokoić, a przede wszystkim nie dopuścić, żeby przeszkadzała lekarzom ratującym jej męża.

Zgodnie z tym, co napisano w karcie, pacjent przekroczył już siedemdziesiątkę. Zawsze cieszył się dobrym zdrowiem. Kilkanaście godzin po przybyciu do Dublina poczuł się bardzo źle. Najpierw skarżył się na okropne bóle brzucha, potem zaczął słabnąć, tak bardzo, że groził paraliż kończyn. Potem pojawiły się problemy z sercem.

Zanim dowieziono go na ostry dyżur, stracił przytomność. Lekarze nie wyczuwali pulsu, natychmiast więc przystąpiono do reanimacji. Na szczęście już po pierwszym elektrowstrząsie z monitora zaczęły dobiegać charakterystyczne regularne dźwięki, oznaczające, że serce znów zaczęło bić.

Caer wezwano na izbę przyjęć dosłownie na kilka minut przed przywiezieniem pacjenta. Praca w Agencji charakteryzowała się tym, że nigdy nie było wiadomo, co się będzie robić, kiedy i gdzie. Na szczęście Caer zdążyła już do tego przywyknąć.

To zadanie jednak nawet dla niej było nietypowe.

Puls jeszcze przez kilka sekund wyprawiał harce, potem się uspokoił. Mężczyzna zamrugał oczami i spojrzał na Caer.

– Anioł – powiedział cicho. Uśmiechnął się z trudem i zaniknął oczy.

Zasnął. Podłączony do kroplówki, monitora serca i aparatu do mierzenia ciśnienia krwi.

Lekarz i pielęgniarki zaczęli składać sobie nawzajem gratulacje. Chwilę potem Caer usłyszała pochlipywanie żony pacjenta, kiedy lekarz udzielał jej wyjaśnień. Przyczyny problemów jeszcze nie znaleziono. Lekarz poprosił kobietę, żeby się uspokoiła i odpowiedziała mu na kilka pytań. Caer, czekając, aż zjawią się sanitariusze, żeby zabrać chorego na OIOM, pilnie nadstawiała uszu.

Pacjent nazywa się Sean O'Riley. Żona, znacznie od niego młodsza, ma na imię Amanda. Owa żona powtarzała w kółko, jaki mieli cudowny dzień. Sean urodził się w Dublinie, jako młody mężczyzna wyjechał do Stanów. Zawsze był zdrowy i silny. Był kapitanem na jednostkach czarterowych, musiał dbać o formę. Kiedy zapytano ją, co jadł, powiedziała, że śniadanie w samolocie, lunch w hotelu, a obiad już w Dublinie, w dzielnicy Tempie Bar. Jedli to samo. Ona czuje się znakomicie, on zaraz po obiedzie poczuł się fatalnie.

Caer przez szparę w zasłonach obserwowała kobietę. Drobną, niewysoką, figurę miała zgrabną, choć biust był nieproporcjonalnie duży. Tak duży, że Caer mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy prawdziwy. Włosy rozjaśnione, oczy jasnobrązowe. Ładne, był w nich jednak jakiś chłód. Wyszła za niego dla pieniędzy? Jeśli tak – czy przyczyniła się do złego stanu męża? W takim razie po mistrzowsku udaje rozpacz i histerię.

Lekarz zalecił podanie środka uspokajającego. Amanda nie protestowała. Skinęła głową, pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk.

I wtedy pojawił się policjant.

Interesujące, pomyślała Caer.

– Donahue!

Odwróciła się. Tuż za nią stał przełożony pielęgniarzy.

– Pacjent przez kilka godzin będzie na OIOM-ie. Obejmujesz dyżur przy nim.

Pojawiło się dwóch pielęgniarzy, żeby zabrać pacjenta. Caer sprawdziła dopływ tlenu i podłączenie do kroplówki. Wszystko było w porządku. Pielęgniarze podjechali łóżkiem do wind, którymi z izby przyjęć jechało się na OIOM.

Caer szła za nimi krok w krok. Ten człowiek miał żyć, a wszystko wskazywało, że ktoś z jakichś tam powodów chce mu odebrać to życie. Ten człowiek potrzebował więc nie tylko opieki, ale także ochrony.

Sygnal komórki wyrwał Zacha Flynna z głębokiego snu, takiego, jakim cieszy się zrelaksowany człowiek, który zaplanował sobie na najbliższe dni przyjemną odmianę. Prywatna agencja detektywistyczna trzech braci Flynnow – Aidana, Jeremy'ego i Zacha – miała się świetnie, dlatego Zach z czystym sumieniem postanowił kawałek grudnia poświęcić swemu dodatkowemu zajęciu, czyli muzyce. Miał zamiar pochodzić po bostońskich klubach i posłuchać występujących tam solistów. Przed kilkoma laty, kiedy jeszcze pracował w policji w Miami, zaczął inwestować w studia nagrań i produkować płyty z własną etykietą. Wszukiwał nieznanych, ale obiecujących artystów, dawał im szansę i czuł wielką satysfakcję, kiedy nierzadko znani muzycy nawiązywali z debiutantami współpracę.

Poza tym Zach znał się świetnie na komputerach. W ich trzyosobowej firmie to on był głównym informatykiem, potrafił przecież włamać się do wszystkich rodzajów systemów. W pracy na ulicy też był dobry. Jednym

słowem uważał się za faceta spełnionego, nawet jeśli nie każdą sprawę udawało się rozwiązać gładko. A sprawy były różne, łatwiejsze i trudniejsze, czasami takie, że koń by się uśmieł. Jak zlecenie pani Mayfield z Mayfield Oil Group, która gotowa była zapłacić bająnskie sumy za odszukanie Missy. Missy była kotką.

Została odnaleziona. Wraz z przychówkiem, w sumie sześć sztuk. Każdemu z braci Flynnów, oczywiście, zaproponowano kociątko.

Muzyka była miłością Zacha. Pulsowała mu we krwi, odbijała się echem w głowie. Nie wspominając już o tym, że uspokajała i oczyszczała jego duszę. Dzięki niej po napatrzeniu się na brzydotę mógł obcować z pięknem. Przebywać w świecie, gdzie nikt nie zaginał, gdzie nikt nie stracił życia.

Wieczorem, zaraz po przyjeździe do Bostonu, razem z gromadką starych przyjaciół wypuścił się do pubu przy State Street. Oczywiście, że się nie upił. Nigdy tego nie robił. Już dawno temu zdażył się nauczyć, że naprawdę nie warto tracić kontroli nad sobą. Ale piwa się napił. Spał potem bardzo dobrze, niestety sen przerwało brzęczenie komórki.

– Flynn, słucham.

– Och, Zach! Chwała Bogu, że odebrałeś! Zach, tragedia! Wiesz, co się stało?! Eddie zaginał. A tata jest w szpitalu! W Irlandii. Chcę tam lecieć, ale Bridey mi odradza. Ale tata...

– Kat, to ty?

– Oczywiście, że ja! Zach, musisz nam pomóc. Tata jest w Irlandii z tą kobietą. Trzeba tam polecieć, sprawdzić, co się dzieje!

– W porządku, Kat. Zrobię wszystko, co trzeba. Powiedz mi tylko jeszcze raz, na spokojnie, co stało się z twoim ojcem.

Zach, oczywiście, był już całkowicie przytomny. Chodziło przecież o Seana O'Rileya, bliskiego przyjaciela jego ojca. Kiedy bracia Flynnowie zostali sierotami, Sean, mimo że mieszkał na Rhode Island, a oni na Florydzie, roztoczył nad nimi opiekę. Jak kochający wuj, zawsze gotów podać pomocną dłoń. Z córką Seana, Kat, Zach był bardzo zaprzyjaźniony. Była dla niego czymś w rodzaju młodszej siostry, poza tym łączyły ich sprawy zawodowe. Kat miała głos jak skowronek. Zach zorganizował dla niej kapelę i Kat zaczynała już powoli wypływać.

Ale teraz Kat była na pograniczu hysterii.

– To ona, ta wredna Amanda! – krzyczała. – Na pewno mu coś zrobiła! Musisz jechać do Irlandii, Zach. Bridey też tak uważa. Nie chce, żebym ja tam jechała. Oczywiście boi się, że mnie zamkną. Za zamordowanie Amandy. Zach, proszę, poleć tam i przywieź tatę do domu.

– Nie przesadzasz, Kat? Szpitale w Irlandii są bardzo dobre...

– Ale tata powinien być tutaj, nie tam! Kiedy jest razem z nami, to co innego. Zach, zatrudniam ciebie. Eddie zaginał, boję się, że on nie żyje. A teraz ktoś zagraża tacie. Jestem pewna, że ona macza w tym palce. Nigdy jej nie ufałam, nigdy!

– Kat, dobrze wiesz, że nie musisz mnie zatrudniać. Jeśli Sean ma kłopoty, jestem do waszej dyspozycji. Jak zresztą zawsze. A ty przede wszystkim uspokój się. Bridey ma rację, nie powinnaś tak pochopnie oskarżać Amandy. Musisz mieć dowody.

Wcale się nie dziwił, że Kat nie kocha macochy, niewiele od niej starszej. Tym niemniej nigdy nie zauważył w zachowaniu Amandy niczego podejrzanego. Na pewno fakt, że Sean jest bogaty, cieszył ją. Gdyby stan jego konta był inny, nie spojrzalaby na niego, to jasne, ale to żaden dowód,

że teraz kombinuje przeciwko mężowi. Poza tym kobieta o tak niskim poziomie inteligencji nie byłaby w stanie zaplanować" morderstwa.

Bridey ma sto procent racji. Kat nie wolno jechać do Irlandii, bo faktycznie może skończyć w więzieniu. Do Irlandii powinien jechać Zach i kiedy stan zdrowia Seana się poprawi, przywieźć go do domu na Rhode Island. I natychmiast zająć się sprawą zaginięcia Eddiego.

– Jak czuje się teraz twój ojciec, Kat? Czy wolno mu podróżować?

– Tak. Pod opieką pielęgniarki. Tak przynajmniej zrozumiałam. Proszę, Zach, proszę, przywieź go do domu! Zach, na pewno pomyślisz, że zwariowałam, ale ja... ja mam przeczucie, że dzieje się coś bardzo złego. Martwię się okropnie o Eddiego, a o tatę boję się panicznie. Choć nie jestem tchórzem, dobrze o tym wiesz. Pojedziesz tam, Zach?

– Oczywiście. Lecę pierwszym samolotem i nie będę odstępował Seana na krok, dopóki nie przekażę go w twoje ręce. Głowa do góry, Kat. Wszystko będzie dobrze.

Powietrze przesycone było słodkim zapachem kwiatów. Niebo błękitne, szmaragdowe wzgórza skapane w słońcu. Pod bosymi stopami czuła chłodne, wilgotne źdźbła trawy. I czuła radość, wielką radość z powodu prostego faktu, że żyje, łagodna bryza bawi się jej włosami, a promienie słońca całują ją w kark.

Biegła we śnie. Wiedziała, że kiedy pokona następne wzgórze, zobaczy w dolinie chatę krytą strzechą. Chatę, gdzie w kominku płonie ogień, gdzie wieczorem zbierze się gromada ludzi. Będą pić piwo, grać i śpiewać o dziewczynach, które kiedyś kochali, rozmawiać o minionych czasach.

Ludzie bliscy jej sercu, których kiedyś utraciła.

Przyspieszyła kroku. Dlaczego? W pierwszej chwili poczuła niepokój, ale zaraz potem pomyślała – nic to. Przecież tak cudownie jest mieć tyle siły w nogach, biec szybko, mieć wszystkie zmysły wyostrzone, cudownie zgrane z naturą. Pod stopami miękką trawę, nad sobą złociste słońce i słyszeć dobiegającą z oddali muzykę, przyzywającą, kuszącą jak syreni śpiew.

Obejrzała się. Teraz wiedziała, dlaczego przyspieszyła kroku, dlaczego musi biec coraz szybciej.

Przed sobą miała słoneczny dzień i słodkie dźwięki muzyki, a z tyłu – noc. Szła do niej, jak fala przyływu. Czarne niebo pokryte kłębiącymi się chmurami, wśród których przetaczał się grzmot. Groźny pomruk, nagle przytłumiony innymi dźwiękami, bardzo wyraźnymi. Stukot końskich kopyt.

Coraz bliżej, coraz bliżej... Z czarnych chmur wysuwają się czarne łby koni w ozdobnej uprzęży. Ciągną powóz, piękny powóz, wygodny, a jednak wzbudzający lęk.

Przyjechał po nią.

Odwróciła się i znów zaczęła biec, jak najszybciej ku słońcu, ku dźwiękom słodkiej muzyki. Kiedy tam biegła, czuła się piękna, młoda, cały świat stał przed nią otworem...

Nagle zobaczyła go. Twarz znajoma – tylko skąd? Nie mogła sobie przypomnieć. Wiedziała tylko, że to ktoś bliski, ale przyjaciel, nie kochanek. I nie powinien tu być. Nie tu, w Irlandii, takiej, jaką знаła z dzieciństwa.

Uśmiechnął się smutno i pomachał do niej ręką. Witał ją czy ostrzegał?

Nieważne. Ona musi teraz biec, uciekać przed ciemnością, przed powozem. Nie wiadomo przecież, czy powóz ma ją uratować przed ciemnością – czy sam jest jej częścią.

Nagle poznała go.

– Eddie!

– Bridey!

– Na litość boską, Eddie, co się stało?

– A żebym to ja wiedział! Ale nie martw się o mnie! Jest mi tu bardzo dobrze, tu, gdzie jestem. A ty biegnij, Bridey, uciekaj przed ciemnością, uciekaj od tego wyjącego wiatru!

Znikł.

Biegła jak na skrzydłach. Stopy kapały się w rosie, czuła w sobie siłę, która dawała młodzieńczą energię jej mięśniom, sercu, umysłowi. Wszystko działało tak cudownie. Jak słodko jest po prostu żyć...

Bridey O'Riley obudziła się nagle. Wystraszona, z bijącym sercem. Spojrzała na palce wykrzywione przez artretyzm. Przygarbione plecy, nawet gdy leżała, nie chciały się wyprostować.

Och, sny...

W snach można uciec z hałaśliwego miasta, wrócić do Irlandii z czasów młodości. Znowu być ślicznym młodziutkim stworzeniem, biegającym po zielonych wzgórzach i marzącym o miłości.

Irlandia. Tak samo odległa jak młodość. Gdyby wstała teraz z łóżka i podeszła do lustra, nie zobaczyłaby dziewczyny o błyszczących oczach i porcelanowej cerze, lecz steraną życiem, pomarszczoną kobietę. Staruszkę, która wie, że śmierć już blisko.

A za oknem... Za oknem, zamiast wzgórz zielonych od lasów i łąk, zobaczyłaby czarne klify.

Ameryka. Wybrzeże Rhode Island. Teraz mieszkała tutaj, w pięknej rezydencji Seana Williama O'Rileya, właściciela firmy czarterowej. Sean woził ludzi pięknymi jachtami o wysokich masztach i białych żaglach. Bridey, swojej ciotce, okazywał wielki szacunek. Był dobrym, kochającym człowiekiem.

Był też dobrym biznesmenem. Niedawno wziął sobie nowego wspólnika, Cala. Jednego już miał, od zawsze. Eddiego Raya.

Uśmiech znikł z twarzy starej kobiety.

Eddie przyszedł do niej we śnie. Eddie Ray, jeden z najlepszych kapitanów na wschodnim wybrzeżu. Wypłynął w morze ukochaną „Sea Maiden” i przepadł bez śladu...

– Ciociu!

Zaskrzypiały drzwi. W progu ukazała się Katherine Mary O'Riley, córka Seana. Piękna i młoda, jak kiedyś Bridey. Teraz bardzo czymś zdenerwowana.

Bridey usiadła, opierając się o poduszki.

– Co się stało, dziecko?

– Och, ciociu! – Kat przemknęła przez pokój i przysiadła na brzegu łóżka. – Znaleźli „Sea Maiden” koło jednej z wysp!

– A Eddie?!

– Ani śladu... – szepnęła Kat. Na moment przymknęła oczy. Zaraz jednak wyprostowała się, otworzyła oczy i wyrzuciła z siebie podniesionym głosem. – To ona! Ta suka! Na pewno zrobiła mu coś złego!

– Daj spokój, Kat! Nie możesz jej tak nienawidzić. Twoja świętej pamięci matka na pewno jest zadowolona, że twój ojciec znalazł szczęście u boku innej!

– Zadowolona? Co ty mówisz, ciociu! Przecież Amanda to zwyczajna zdzira! Jest ode mnie starsza zaledwie o pięć lat. Ma trzydzieści jeden lat, wyszła za mojego tatę tylko dla pieniędzy. Jestem pewna, że tata rozchorował się przez nią i przez nią zaginął Eddie!

– Ale jak, dziecko, jak? Zastanów się. Twój tata jest w Irlandii, a Eddiego po raz ostatni widziano rankiem, w dniu wyjazdu twojego taty. Amanda była wtedy cały dzień w domu!

– Nieważne, ciociu. Ja i tak wiem, że to jej sprawka. Bo ona jest wredna!

– A ty, Kat, proszę, bądź rozsądna.

Bridey starała się ze wszystkich sił nie zdradzić swoich uczuć. Bo i co ten Sean najlepszego zrobił, żeniąc się z tą blondynką! Z tą Bimbo. Tak ją już ochrzczono, podobno ona to wypisz wymaluj słodka idiotka z jakiejś internetowej gry.

Pogłaskała czule wnuczkę po głowie.

– Nie martw się, kochanie. Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy. Dzwoniłaś już do Zacha Flynna?

– Tak, ciociu. Dziś z samego rana. Powiedział, że już zaczyna szykować się do wyjazdu.

– Świetnie. Dobrze zrobiłaś, że się mnie posłuchałaś. Zach przywiezie twego tatę z powrotem do domu.

Bridey była bardzo zadowolona, że Kat wykazała się rozsądkiem. W końcu przy Seanie jest żona, Amanda. Gdyby pojawiła się tam teraz Kat ze swoimi oskarżeniami, mogłoby dojść do bardzo przykrew sytuacji.

– Powinnam być przy ojcu – powiedziała cicho Kat.

– Ale jesteś przy mnie, kochanie. A twoim tatą już niebawem zaopiekuje się Zach. Nic lepszego nie można było wymyślić. Zach przywiezie tatę do domu i na pewno zajmie się sprawą Eddiego.

Bridey uśmiechnęła się do Kat, choć na duszy było jej bardzo ciężko.

Zach nie odnajdzie Eddiego. Żywego na pewno nie. Bridey widziała przecież we śnie czarny powóz, widziała konie w uprzęży, ozdobionej czarnymi piórami...

Eddie nie żyje.

A powóz śmierci nadal pędzi do nich...

ROZDZIAŁ DRUGI

– Powinnaś zobaczyć, jak to u nas jest podczas świąt, Caer. Co prawda ze śniegiem różnie bywa, ale zimę mamy. Rześko, dmucha nieźle. Jest pięknie.

Caer uśmiechnęła się. Starszy pan, choć przykuty do szpitalnego łóżka, nie tracił wigoru. Opieka nad nim była to po prostu przyjemność. Wystarczyło spojrzeć na niego. Bujna czupryna, biała jak mleko. Oczy jasnyniebieskie, jak niebo nad Tara, legendarnym wzgórzem, gdzie kiedyś królowie irlandzcy mieli swoją siedzibę. I tyle w nim życia. Jeśli powiedział, że podczas świąt jest rześko, prawdopodobnie człowiek marznie na kość.

Opowiedział jej trochę o swoim życiu. Okazało się, że urodził się w Dublinie, w tym właśnie szpitalu, ale całe swoje dorosłe życie spędził daleko stąd, za Atlantykiem. Wmieście Newport na Rhode Island w stanie Rhode Island, znanym z surowego klimatu, zwłaszcza sztormów północno-wschodnich. Po wyjeździe do Stanów dopiero teraz, po latach, po raz pierwszy przyleciał do ojczystego kraju. Niestety, następnego dnia wylądował w szpitalu.

Miał bardzo silny organizm, dlatego szybko opuścił OIOM. Doktor Morton, internista, podejrzewał zatrucie. Coś musiało mu zaszkodzić. Problem w tym, że jadł to samo, co żona. Restaurację skontrolowano, nie doszukano się żadnych bakterii. Amanda czuła się dobrze. Nawet bardzo dobrze, bo w chwili obecnej przebywała w hotelowym spa. Twierdziła, że tylko masaż pomoże jej pokonać stres wywołany chorobą męża.

Sean miał siedemdziesiąt sześć lat, Amanda trzydzieści jeden. Jej żołądek był o czterdzieści pięć lat młodszy, prawdopodobnie dlatego nie

ucierpiał. Ale lekarze, choć przebadali Seana bardzo dokładnie, i tak nie byli pewni, co było przyczyną tak nagłego załamania się organizmu. Byli zadowoleni, że zdecydowanie, choć powoli, wraca do formy. Straszny ból, który nękał go przedtem, obciążył serce. Omal nie zabił. Nie udało się jednak wyjaśnić, co było przyczyną tego bólu.

– Cieszę się, że jestem w Irlandii. Niezależnie od tego wszystkiego! – powiedział Sean, wskazując szerokim gestem na pokój szpitalny i aparaturę, do której nadal był podłączony. – Dobrze, że przed południem wpadliśmy na pomysł, żeby pójść do teatru. Do Abbey Theatre. Zdążyłem więc obejrzeć sobie „Zakładnika” Brendana Behana. Znakomite przedstawienie!

– Naprawdę nie było pana w Irlandii przez pięćdziesiąt lat?

– Naprawdę. Niestety, czas płynie zdecydowanie zbyt szybko. A ty byłeś w Stanach, Caer?

– Nie. Przyznaję się bez bicia. Jestem po prostu zapracowana.

– Nie dziwię się. Pielęgniarek wszędzie brakuje. W Stanach mamy mnóstwo irlandzkich księży i właśnie pielęgniarek. Twierdzą jednak, że nikt już od was nie musi wyjeżdżać za chlebem. Co mnie też nie dziwi, przecież wiadomo, że sytuacja gospodarcza w Irlandii jest teraz wyjątkowo dobra.

– Zgadza się. Ale ja jakoś nigdy nie myślałam o podróżach.

– Powinnaś zobaczyć Stany. Nie tylko Nowy York czy Kalifornię. Nasz stan, na przykład, ma bardzo ciekawą kulturę i historię. Ja znalazłem się w stanie Rhode Island po śmierci dziadka, który mieszkał tam od dawna. Zbudował piękny dom w Newport, rozkręcił biznes, ktoś musiał to po nim przejąć. A więc pojechałem i wystarczyło, że zobaczyłem dom na klifie, wysoko nad wodą, gdzie tak wspaniale hula wiatr. Wiedziałem od razu, że to moje wymarzone miejsce. Szybko zapuściłem korzenie. Historia tamtych

okolic jest pasjonująca. Razem z moim przyjacielem, kiedy nie jesteśmy na łajbie, śledzimy losy bohaterów z czasów rewolucji amerykańskiej. Słyszałaś kiedyś o Nigelu Bridgewaterze?

– Przepraszam, o kim? Sean roześmiał się.

– Tak, jak się spodziewałem. Ale w sumie nic dziwnego, że go nie znasz. W szkole uczyli cię przecież przede wszystkim historii Irlandii. Poza tym Nigel żył za krótko, żeby znaleźć się w podręcznikach do historii. Tylko dwadzieścia sześć lat. Był świetnym żeglarzem, znakomicie sobie radził na zdradliwych wodach Nowej Anglii. Był też wielkim patriotą, zaangażowanym w walkę o niepodległość Stanów. Pewnej nocy samotnie wypłynął z Newport. Kierował się na południe, wiozł ważną przesyłkę dla Kongresu Kontynentalnego*.

** Kongres Kontynentalny 1774-1789 – ciało prawodawcze trzynastu kolonii w Ameryce Północnej w okresie walki o uniezależnienie się od Brytyjczyków. (Przyp. tłum.)*

Niestety, Brytyjczycy schwytali go i powiesili. Razem z Eddiem, moim współnikiem, próbujemy praktycznie od samego początku odtworzyć trasę, jaką Nigel wtedy płynął. Prawdopodobnie wiedział, że ma już Brytyjczyków na karku, dlatego ukrył wszystko, co wiozł. Pieniądze, zebrane od patriotów na wyposażenie armii, także papiery. Listy i inne dokumenty, w których wymienione były nazwiska. Gdyby dostały się w ręce Brytyjczyków, ludzie ci skończyliby na szubienicy. Eddie... – Sean nagle zamilkł. Posmutniał. – Muszę jak najszybciej wracać do domu – powiedział cicho.

Caer również zniżyła głos.

– Dlaczego, panie O'Riley? Obawia się pan czegoś? Niepokoi pana, że lekarze nie wiedzą, skąd u pana te dolegliwości?

– Nie chodzi o mnie! Muszę wracać, bo Eddie zaginął!

– Eddie? Ten pana wspólnik?

– Jeden z moich wspólników. Mam dwóch. Drugi to Cal, młody facet, jest z nami od niedawna. A z Eddiem skumplowaliśmy się zaraz po moim przyjeździe do Stanów. Pomagał mi modernizować firmę, rozszerzyć ofertę. Harowaliśmy od świtu do nocy. Kupowanie nowych łodzi, rejsy, wieczorami robota papierkowa. Ludzie patrzyli na nas jak na dwóch szaleńców. Teraz jestem bogaty, mówią więc o mnie, że jestem ekscentryczny. Niech im będzie! A z Eddiem, jak wspomniałem, łączy mnie zamiłowanie do historii. Odkrywanie tajemnic z przeszłości. Bridgewater wiozł mnóstwo pieniędzy, podobno całą ładownię miał pełną angielskich monet. Nie wiadomo, gdzie to ukrył. Brytyjczykom nie pisał ani słowa. Dzielny człowiek. Zawsze marzyłem, że odnajdę ten skarb. Może nawet napiszę o Nigelu książkę... – Nagle roześmiał się. – Stary nudziarz ze mnie! Gadam i gadam, a piękna młoda kobieta musi tego wysłuchiwać...

– Przecież to fascynujące!

Mówiła to szczerze. Miło było obcować z tak sympatycznym i ciekawym człowiekiem. Naturalnie, w którymś momencie zadała sobie w duchu pytanie, jak to się stało, że Sean ożenił się z kimś takim jak Amanda. Ale w końcu, na litość boską! Kto jak kto, ale ona, Caer, nie ma prawa go osądzać.

– Martwię się o Eddiego – powiedział Sean. Jasnoniebieskie oczy znów posmutniały. – Mam złe przeczucia. Jacht odnaleziono, ale Eddie przepadł. Nie pojawił się na naszym pożegnalnym przyjęciu, tuż przed

wyjazdem, a to powinno mi dać już do myślenia... W każdym razie muszę wracać do Stanów. Chociaż tam... – uśmiechnął się, wypadło to jednak bardzo blado – na pewno nie będę miał takiej pielęgniarki jak ty.

O! Co do tego nie ma wątpliwości! Takiej pielęgniarki jak ona na pewno nigdzie nie znajdzie.

Tę informację zachowała oczywiście dla siebie.

– Może opowie mi pan o swojej rodzinie?

– O rodzinie... – powtórzył miękko. – Najcenniejsze, co mamy. To moi bliscy nie pozwolili mi teraz umrzeć.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

– Szczerze mówiąc, ja też – przyznał Sean, spoglądając na nią trochę niepewnym wzrokiem. – Kiedy wieźli mnie tutaj, do szpitala, podobno byłem nieprzytomny. A ja miałem wtedy sen. Śniła mi się Irlandia. Znowy byłem chłopcem. Biegłem wśród zielonych wzgórz. Tak bardzo zielonych... Zapomniałem już, ile w tym prawdy, kiedy Irlandię nazywa się Szmaragdową Wyspą! Wiał silny wiatr. Jęczał i zawodził. A ja biegłem do domu. Do chaty, gdzie czekała matka. Słyszałem już jej głos, śpiewała stary irlandzki song... Niebo płonęło zachodem słońca, ziemię spowijał już zmierzch, ale ja wcale się nie bałem. Mógłbym tak biec bez końca... I wtedy usłyszałem głos mojej córki. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem w szpitalu. Muszę walczyć, muszę żyć i wrócić do domu. Do mojego dziecka...

– Caer? Pozwól, proszę...

Michael. Stał w uchylonych drzwiach, ubrany w biały laboratoryjny kitel, na kieszonce miał wyhaftowane: doktor Michael Haven.

– Przepraszam, panie O'Riley. Wzywają mnie.

– To ja przepraszam, Caer. Zabrałem ci tyle czasu...

– Który spędziłam bardzo interesująco – powiedziała z uśmiechem, wstając z krzesła. – Ja tu wrócę, panie O'Riley!

– Liczę na to! – Sean też się uśmiechnął, bardzo ciepło i ruchem głowy wskazał na zdjęcie, ustawione na szafce przy łóżku. – A ja tymczasem pogadam sobie trochę z rodziną.

Caer zaśmiała się, chociaż kiedy spojrzała na uśmiechnięte twarze na zdjęciu, poczuła ukłucie w sercu. Rodzina... A ona jest sama jak palec...

Wiedziała już dokładnie, kto jest kto. Sean obejmował ramieniem swoją córkę Kat, śliczną, dwudziestoparoletnią Kat, wpatrzoną w ojca jak w obrazek. Obok Kat żona Seana. Macocha Kat, starsza od niej zaledwie o kilka lat. Po drugiej stronie Seana stało trzech bardzo wysokich i bardzo przystojnych młodych mężczyzn. Trzech braci, tak powiedział Sean. A stara kobieta w fotelu ustawionym na naczelnym miejscu to Bridey, ciotka Seana, która mieszka u niego. Miała takie same jasnoniebieskie oczy jak on i jego córka. Była w nich wielka mądrość i łagodność. Wielkie serce. Caer wiedziała, że gdyby miała możliwość poznać Bridey, od razu by ją pokochała.

Ale to nie Bridey przykuwała jej uwagę, kiedy zdarzyło jej się zerknąć na to zdjęcie. Tylko jeden z braci, ten który stał najbliżej Seana. Miał włosy właściwie rude i patrzył prosto w obiektyw. Caer wydawało się, że patrzy prosto na nią. Za każdym razem, kiedy spojrzała mu w oczy, jej serce zaczynało bić zdecydowanie szybciej. Bo takich oczu Caer nigdy jeszcze nie widziała. Oczu jak woda w oceanie na Karaibach, ani zielonych, ani niebieskich. Coś pośredniego, przepięknego, błyszczącego w smagłej twarzy. Spojrzenie bardzo przenikliwe. Na początku myślała, że to zięć

Seana, ale Sean zaprzeczył. Powiedział, że to bracia Flynnowie i że są dla niego jak synowie, których nigdy nie miał.

– On tutaj już leci – odezwał się nagle Sean.

Caer, speszona, że została przyłapana na przyglądaniu się zdjęciu, szybko odwróciła głowę.

– Przepraszam, kto?

– Zach Flynn – wyjaśnił Sean i westchnął. – Kat udało się go przekonać, że w drodze powrotnej potrzebna mi będzie eskorta. Niestety, Caer. Na zdjęciu widzisz szczęśliwą rodzinę, a wcale tak nie jest. Ożeniłem się z kobietą o wiele młodszą ode mnie, wszyscy uważają, że wyszła za mnie dla pieniędzy. I kto by pomyślał, że jesień mojego życia będę spędzać jako rozjemca w skłóconej rodzinie!

– Caer...

Znów Michael, czyli stanowczo powinna już iść.

– Przepraszam, panie O'Riley.

Wyszła z pokoju i podążyła za Michaeliem, który maszerował już korytarzem. Weszli do jego pokoju. Michael staranie zamknął drzwi, ustawił się za swoim biurkiem i prawie huknął:

– Co ty najlepszego robisz, Caer?!

– Jak to co? Opiekuję się Seanem O'Rileyem. Przed chwilą z nim rozmawiałam...

– O właśnie! Miałaś go tylko obserwować, starać się dojść, co tu właściwie się dzieje.

– Zgadza się. I to robię. A podczas miłej rozmowy można dowiedzieć się bardzo dużo.

– Tak. Ale... – Michael potrząsnął bezradnie głową. Wyszedł z biurka i zaczął przemierzać pokój, nerwowo przeczesując palcami włosy. – Ale za bardzo angażujesz się w to emocjonalnie, Caer!

– Wcale nie!

– Spokojnie, Caer. Nie zapominaj, że ja tu jestem szefem.

Fakt. Tutaj Michael pociąga za sznurki. Więc już nie protestowała.

– A więc... – podjął Michael – przechodzimy do konkretów. Jedziesz z nim do Ameryki. Jako jego prywatna pielęgniarka.

– Co?! – Krzyknęła, niestety. Ale nie mógł jej bardziej zaskoczyć. Ona nigdy nie wyjeżdżała, zawsze pracowała tu, w Dublinie.

– Nie chcę jechać do Ameryki. Tu, na miejscu, jest mnóstwo pracy dla mnie. Poza tym nie mam paszportu, nie mam dyplomu pielęgniarki!

Michael machnął niecierpliwie ręką.

– Biorę to na siebie! A teraz... – Wyjął z szuflady jakieś opasłe tomisko. – Trzymaj!

– Co to jest? – spytała.

– Podręcznik pielęgniarstwa. Bierz się do nauki.

– Ale...

– Powiedziałem. Bierz się do nauki. Jedziesz do Ameryki. Nie zapominaj, że w Agencji obowiązują pewne zasady. Ja wydaję polecenia, ty je wykonujesz. A dlaczego właściwie tak bardzo nie chcesz jechać do Stanów?

Dlaczego?

Caer zrobiła głęboki wdech. Tak naprawdę to sama nie wiedziała, dlaczego się opiera. Na czym polega jej problem? Może chodzi o...

Tak. O jednego z braci Flynnów, tego o oczach koloru morza. Tego, który ma towarzyszyć Seanowi w drodze do Stanów.

Zach. Coś w jego spojrzeniu bardzo ją niepokoiło. Chociaż widziała go tylko na zdjęciu. Ale trudno jej było sobie wyobrazić, że z tym mężczyzną może stanąć twarzą w twarz, bo jeśli do tego dojdzie, on na pewno zorientuje się, kim ona jest naprawdę. Czuła to.

Nie bądź śmieszna, Caer.

– Caer, jedziesz do Ameryki – powiedział Michael. Zabrzmiało to tak jakoś władczo.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście! Nie mogę się doczekać!

– Caer, doskonale wiesz, że ktoś czyha na życie Seana. To poważna sprawa.

– Wiem.

Głos Michaela nieco złagodniał.

– Nie będziesz żałować, Caer. Nadchodzą święta, Amerykanie obchodzą je bardzo uroczyście.

No cóż... On wiedział. Był przecież wszędzie.

– Wspaniale! Już z góry się cieszę!

– Jakież pytania? – spytał. – Tylko szybko, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Nie – odparła, ruszając do drzwi. – Ja też mam pilne sprawy...

– Caer...

Zatrzymała się w progu.

– Tak, słucham?

– Twój podręcznik. Weź go. W środku jest koperta. Na pewno przed wyjazdem będziesz chciała zrobić jakieś zakupy.

– Ja?!

– Zrobisz z tym, co chcesz. W każdym razie ten wyjazd może być dla ciebie naprawdę ciekawym doświadczeniem, postaraj się spojrzeć na to od tej strony. Aha, i wesołych świąt!

Zabrzmiało to całkiem miło. Uśmiechnęła się i wróciła po książkę wraz z kopertą z apanażami. Wyszła na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

Ameryka.

W końcu to wszystko jedno. Ameryka nie Ameryka, Seanowi O'Rileyowi grozi niebezpieczeństwo. Zadaniem Caer jest usunąć to zagrożenie. Koniec, kropka.

Kiedy szła korytarzem, uświadomiła sobie, że cicha muzyka, dobiegająca z głośnika, to kolęda.

Święta tuż, tuż... A ona musi wyjechać. Przeplłynąć przez Atlantyk i znaleźć potencjalnego mordercę.

Przedtem do Seana przyjedzie ten mężczyzna o niezwykłych oczach. Już niebawem.

I zdemaskuje ją.

Nie. Tak nigdy się nie stanie. Michael do tego nie dopuści.

A więc dobrze. Ma być pielęgniarką na Rhode Island – będzie. Pobyt w Stanach, tak jak zapowiedział Michael, na pewno będzie bardzo interesujący.

Boże Narodzenie w Stanach. Czemu nie? A więc – wesołych świąt!

Spojrzała na zegarek. Najwyższa pora biec na następne spotkanie. Na które nie wolno się spóźnić – coś takiego w ogóle nie wchodzi w grę. Przy tego rodzaju spotkaniach.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy samolot podchodził do lądowania, Zach nie odrywał oczu od okna. Przecież to Dublin. Nie widział go ładnych parę lat. Po prostu było mu nie po drodze. A to miasto kochał, jego zabytki, historię, choć niektóre jej rozdziały były bardzo bolesne. Najbardziej kochał irlandzką muzykę. Nasłuchiwał się jej w tutejszych pubach. Przy dobrym piwie, to jasne. W tej muzyce było serce, prawdziwe serce. Serce i pasja.

Tym razem jednak do Dublina przywołała go nie muzyka, lecz obawy Kat. Kto wie, może jak najbardziej uzasadnione. Może rzeczywiście ktoś zagraża Seanowi. Dlatego Zach, mimo swej miłości do Dublina, przyjechał tu wyłącznie po to, by zagwarantować Seanowi O'Rileyowi bezpieczny powrót do domu. A w następnej kolejności zamierzał zająć się sprawą Eddiego.

Tuż przed odlotem, kiedy miał już wchodzić do samolotu, zadzwoniła Kat. W ataku hysterii i załamującym się głosem przekazała mu, że odnaleziono „Sea Maiden”, ale Eddie znikł. Nie znaleziono żadnych śladów, pomagających dojść, co się z nim stało.

Zach zadzwonił do Seana. Sean twierdził stanowczo, że jego przypadłość spowodowana była zmęczeniem po długiej podróży samolotem. Albo zjadł coś, co akurat tylko jemu zaszkodziło. Wiedział, że jego córka nie ufa jego żonie, on jednak był głęboko przekonany, że ze strony Amandy nic mu nie grozi. Martwił się przede wszystkim o Eddiego. Zach również, bo jego zdaniem Amanda, przy swoim braku inteligencji i opanowania, absolutnie nie nadawała się na sprytnego mordercę.

– Och, nareszcie! – Elegancka starsza pani, siedząca na fotelu obok, uśmiechnęła się do niego miło. – Mój kochany Dublin czeka na mnie.

– To istotnie bardzo piękne miasto – powiedział Zach. Nieznajoma pani uśmiechnęła się ponownie i Zach ponownie zobaczył wielką obfitość zmarszczek, zastanawiając się w duchu, ile ta pani może mieć lat.

– Dziewięćdziesiąt dwa, chłopcze – powiedziała, jakby czytając w jego myślach. – Jestem trochę już zmęczona życiem. Cieszę się, że wróciłam do Dublina. Moje miasto.... Ile tu się kiedyś działo! Krew płynęła ulicami! Ale teraz wreszcie mamy spokój, nawet na północy wyspy. I to dobrze. Dzięki temu przyjeżdżają turyści i kraj się bogaci. A pan... jest pan może Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia?

Zach roześmiał się.

– W Ameryce chyba wszyscy mają w sobie kroplę krwi irlandzkiej. Zwłaszcza w dniu Świętego Patryka! Nazywam się Flynn, przodkowie mojego ojca przybyli do Stanów przed wiekami. Ale moja matka była Irlandką...

Nagle zamilkł, wpatrzony w przejście między rzędami foteli. Zauważył tam coś, dosłownie przed sekundą. Jakiś cień, duży cień, przesuający się do przodu przez środek samolotu.

Przywidzenie, oczywiście. Gra świateł, kiedy samolot pochylił się, zanim osiadł na pasie startowym.

– Mieszkam w Stanach. Przyjechałem tu tylko po przyjaciela. Rozchorował się zaraz po przyjeździe do Dublina. Jego córka prosiła, żebym towarzyszył mu w drodze powrotnej do domu.

– No tak... Święta zapasem, woli więc być już w domu... – Starsza pani pokiwała ze zrozumieniem głową i wyciągnęła do Zacha rękę. – Jestem Maeve.

– Miło mi. Zach.

– Mnie również bardzo miło... A ja na święta też zjechałam do domu. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Wszyscy, których kocham, są tutaj, w Dublinie. Moje dzieci, wnuki, prawnuki. A gdzie jest twój dom, chłopcze?

– Mój? Na Florydzie. Tam się urodziłem. Mam dwóch braci, obaj już żonaci, żony mają super. Jeden mieszka w Nowym Orleanie, drugi w Salem, w stanie Massachusetts. Ja niby nadal zakotwiczony jestem na Florydzie, w Miami.

– I tęsknisz za braćmi? Zach roześmiał się.

– Nie ma takiej możliwości! Pracujemy razem, widujemy się więc bardzo często.

– Firma rodzinna? – spytała Maeve, wyraźnie zachwycona. – Ale jak wam się to udaje, skoro mieszkacie w różnych miejscach?

– Dzięki komputerom. Poza tym nasza praca jest nietypowa. Prowadzimy wspólnie agencję detektywistyczną...

– A poza tym... – Maeve wzięła go za rękę i przyjrzała się jego palcom – poza tym zajmujesz się muzyką.

Roześmiał się, zaskoczony.

– Maeve, jeśli kiedykolwiek będziesz szukała pracy, dzwoń do mnie. Jesteś dobra!

– Zapamiętam sobie! A więc jak, Zach? Śpiewasz?

– Nie. Gram na gitarze, mam nadzieję, że jako tako. Ale przede wszystkim wydaję płyty, mam kilka studiów nagrań. Bardzo to lubię...

Miły, dźwięczny głos stewardesy płynący z głośnika powitał ich bardzo serdecznie w Irlandii. Samolot dotknął ziemi. Wszyscy poczuli lekki wstrząs. Palce Maeve zacisnęły się na dłoni Zacha. Jej twarz nagle zrobiła się szara jak popiół.

– Proszę się nie denerwować – powiedział Zach. – Może wiatr powiał mocniej, nic się nie dzieje.

Maeve uśmiechnęła się blado.

– Nie, to nie to. Coś poczułam. Bardzo dziwne... Jakby w moim sercu nagle zrobiło się mroczno. Jakby tam... tam przedostał się jakiś cień...

Zach uścisnął mocniej jej dłoń.

– To tylko wiatr, Maeve.

Cień? W sercu? Może i tak. Przecież ta pani ma już dziewięćdziesiąt dwa lata.

A on sam przed chwilą też zauważył coś dziwnego. Widział cień, przesuający się środkiem samolotu...

Spojrzał w okno. Lecieli nocą, ale noc już minęła, słońce na niebie było coraz wyżej.

Kilka sekund później w samolocie zrobiło się głośno. Wszyscy jak na komendę zaczęli rozpinąć pasy. Zach wstał, zdjął z półki torebkę Maeve. Pożegnał się, wziął swoją teczkę i wysiadł z samolotu, postanawiając prosto z lotniska jechać do szpitala, w którym leżał Sean.

W Dublinie nie było go przez kilka lat, ale lotnisko w ogóle się nie zmieniło. Kiedy szedł do odprawy celnej, widział, jak Maeve idzie do kolejki dla osób miejscowych. I widział jeszcze coś. Znów przywidzenie? Aż zamrugał oczami. Mógłby przysiąc, że za Maeve podąża jakiś cień.

Cień w tej jasno oświetlonej sali? Bzdura. Po prostu jest zmęczony długą podróżą.

Odwrócił się. I natychmiast odwrócił się z powrotem. Bo odwracając się przedtem, kątem oka zauważył kobietę o uderzającej urodzie. Tylko mu mignęła, ale dostrzegł kruczoczarne włosy i kobaltowe oczy. Klasyczne rysy. Piękne, tak musiała wyglądać Helena Trojańska.

Czarnowłosa piękność szybkim krokiem minęła Maeve. Za nią szła jakaś blondynka, potem otyła kobieta około czterdziestki. Zatrzymała się przy Maeve, coś zaczęła do niej mówić. Zach stał za daleko, nie słyszał, co ta kobieta mówi, ale był prawie pewien, że pyta, czy Maeve nie potrzebuje pomocy. On sam z chęcią zaopiekowałby się Maeve, niestety, jako turysta z obcego kraju musiał stanąć w innej kolejce.

Maeve wsunęła rękę pod ramię usłużnej kobiety. Zach uśmiechnął się. Taki widok zawsze przywraca wiarę w człowieka.

Kiedy podchodził do taśmy, nagle usłyszał krzyk. Krzyczała pani, która zaopiekowała się Maeve. Maeve upadła.

W tym momencie dla Zacha podział na miejscowych i cudzoziemców przestał istnieć. Przeskoczył przez aksamitny sznur i popędził do Maeve. Kiedy nachylił się nad nią, chwyciła go kurczowo za rękę. Ukląkł przy niej, szybko rozluźnił jej kołnierzyk i sprawdził puls.

Maeve uśmiechnęła się.

– Jak to dobrze, że wróciłam do domu – powiedziała z trudem. – Słyszę muzykę, piękną muzykę, a banshee* przed chwilą wyszeptała mi do ucha, że mój czas nadszedł. Dobrze, że jesteś przy mnie, drogi chłopcze. Irlandczycy zawsze mają szczęście...

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. Nagle zadrżała. Powieki opadły.

** Banshee – w mitologii irlandzkiej pośredniczka między ludźmi żywymi a światem umarłych. Swoją obecnością zwiastuje śmierć kogoś z rodziny. (Przyp. tłum.)*

– Maeve?

Ostrożnie przyłożył ucho do jej piersi. Nie oddychała. Przyłożył palec do żyły na szyi. Puls niewyczuwalny. Poprosił kobietę, która przedtem zajęła się Maeve, żeby wezwała pogotowie, a sam rozpoczął sztuczne oddychanie. Robił je, póki nie nadjechał ambulans. Choć wiedział, że Maeve już odeszła.

Potem tylko patrzył, jak ratownicy robią to, co do nich należy. Jak ta przemiła starsza pani zostaje uznana za zmarłą. A tak chciała wrócić do domu.

I wróciła.

Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. W tej sytuacji to nic nadzwyczajnego, przecież co najmniej połowa ludzi w terminalu gapiała się na niego. Ale on wyraźnie czuł na sobie wzrok tej jednej osoby. Odwrócił się. W chwili, gdy ktoś podejrzanie szybko zniknął w jednym z korytarzy.

Podejrzanie? Przecież mnóstwo ludzi idzie właśnie tam. Do wyjścia z terminala. I nikt tego nie robi powoli.

Urzednicy z lotniska podziękowali mu za to, co zrobił dla Maeve. A przecież on niczego nie zrobił. Maeve nie żyje. Mógł tylko powtórzyć za nią, że po prostu jej czas minął. Żyła długo i na pewno miała dobre życie.

Ale on i tak jakoś nie mógł się z tego otrząsnąć.

Zabrał swoje bagaże. Kiedy wyszedł z budynku, zobaczył napis. Dokładnie dwa, po gaelicku i po angielsku.

Eire. Cead mile failte.

Irlandia. Witamy serdecznie po tysiąckroć.

Wynajęty samochód na szczęście czekał, zaparkowany tuż obok szyldu jakiegoś pubu, reklamującego się sloganem: *Patryczku! Oby przysłowiowe szczęście Irlandczyków dopisało i tobie!*

Przywitał się z kierowcą i rozsiadł się w sedanie, jednocześnie snując refleksje. On nie wierzy w żadne szczęście, nawet Irlandczyków. Wierzy w dobro i zło, czyli to, co mieszka w sercach ludzi. I chce jak najprędzej zobaczyć się z Seanem, odwiedzić go do domu i zająć się sprawą Eddiego.

Wyjął komórkę i sprawdził SMS-y. Był tylko jeden, od Aidana. Brat skontaktował się z pewnym człowiekiem z Dublina, którego znał od dawna. Z Willem Travisem. Will obiecał, że będzie miał oko na wszystko, co dzieje się w szpitalu. Po prostu na jakiś czas zostanie pielęgniarzem. Dopóki w tym szpitalu będzie przebywać Sean.

Zamknął komórkę. Uwielbiał pracować ze swoimi braćmi. Każdy z nich, dzięki temu, że pracował tam, gdzie pracował, dysponował kontaktami, które można było wykorzystać. Aidan, jako dawny agent FBI, miał kontakty wyjątkowo pożyteczne.

Zach bardzo starał się skupić na problemach podstawowych, myślami jednak wciąż wracał do Maeve. Do tej uroczej starszej pani, którą ledwo poznał, a ona już odeszła. Ale przedtem, jak sama powiedziała, wróciła do domu.

– Ejże, Seanie! Naprawdę niedomagasz? Wyglądasz jak okaz zdrowia!

Zach, rzuciwszy od progu dźwięcznym tenorem tę dowcipną uwagę, od razu podszedł do Seana. Nastąpiło długie, serdeczne powitanie, dzięki czemu Caer mogła przyjrzeć mu się dokładnie.

Bardzo wysoki, fotografia nie kłamała. Szczupły, ale dobrze umięśniony. Włosy – jasny kasztan. Tak samo piękne jak barwa głosu.

– Zach! Jesteś, chłopcze! – witał go rozradowany Sean. – Ale naprawdę nie musiałeś tego robić. Kat przesadza. Zmusiła cię do przyjazdu, kiedy ja jestem zdrów jak ryba!

– Seanie, zastanów się! Czy ktoś mógłby być niezadowolony z wycieczki do Dublina? Chyba nie. Znalazł się powód, więc z czystym sumieniem mogłem wyskoczyć sobie tutaj na kilka dni.

Zach również promieniał. Widać było, że dla niego opieka nad starym przyjacielem to nie ciężar, lecz wielka przyjemność.

W końcu przenikliwe spojrzenie niebieskozielonych oczu spoczęło na Caer.

Błysnęło w nich. Dlaczego? Widział już ją gdzieś? Może był kiedyś w Dublinie i minęli się na ulicy. Zdarza się, że spojrzymy na kogoś przelotnie, a jego obraz wryje nam się w pamięć.

A może po prostu jest zdziwiony, że przy łóżku chorego nie czuwa kochająca żona, tylko ktoś inny.

– Dzień dobry – powiedział. Uprzejmie i doskonale obojętnie. Czyli jej podejrzenia są niesłuszne. Na pewno jej nie zna.

Wstała z krzesła i uśmiechając się równie uprzejmie, podała mu rękę.

– Dzień dobry! Witam w Irlandii. Jestem Caer Donahue.

– Miło mi. Zach Flynn.

Uścisk jego dłoni był zdecydowany i mocny.

– Caer jest najcudowniejszą, najbardziej cierpliwą pielęgniarką na świecie – oznajmił Sean.

– Dziękuję – powiedziała. Udało się jej to zrobić bez zająknięcia. – Pochlebia mi pan, panie O'Riley. Pójdę już, nie będę panom przeszkadzać. Miło mi było pana poznać, panie Flynn...

– Zach – powiedział Zach.

– Dziękuję... Zach – powtórzyła.

– Caer jedzie z nami! – oznajmił Sean zachwyconym głosem, jak u małego dziecka, obdarowanego zabawką, której inne dzieci będą mu zazdrościć.

– Kat wspominała, że w podróży towarzyszyć ci będzie pielęgniarka – powiedział Zach, nie odrywając oczu od Caer. – Przepraszam, czy byłaś kiedyś w Stanach?

– Nigdy. Dla mnie zawsze to było za daleko. Panowie wybaczą...

Wyszła. Słyszała, jak Sean wyrzuca Zachowi:

– Naprawdę nie musiałeś tego robić! Lecieć taki kawał drogi tylko dlatego, że brzuch mnie rozbolał!

Caer doszła do miejsca, gdzie nie mogli już jej widzieć. Zatrzymała się i nadstawiła uszu.

– Kat martwi się o ciebie, Seanie.

– Mogła sama tu przyjechać!

– Uważała, że jej przyjazd... nikomu się nie przysłuży.

– Ach, ta moja Kat! Kochany dzieciak! Niestety, ubzdurała sobie, że Amanda wyszła za mnie dla pieniędzy i tylko czeka na moją śmierć!

Zach wcale nie próbował temu gorąco zaprzeczać. Po prostu milczał.

– Kat jest nadopiekuńcza – ciągnął Sean.

– Bardzo kocha swojego ojca – powiedział Zach.

Caer mogła doskonale sobie wyobrazić, jak Sean macha teraz lekceważąco ręką.

– Powinna jednak mieć do mnie choć odrobinę zaufania! Nie jestem zniedołężniałym starcem ani desperatem, który za wszelką cenę pragnie miłości i czułości. Czy seksu... – Sean zamilkł na chwilę. – W każdym razie, Zach, jeśli chodzi o obecną sytuację, nic mi nie grozi. To nie ja mam problem, lecz Eddie. Powinieneś być teraz w Newport!

– Zajmę się tym zaraz po przyjeździe, Seanie. Dobrze to wiesz.

– No tak... Mam nadzieję, że to wszystko wkrótce się wyjaśni. Może zrobił jakiś głupi kawał? Nie, to do niego niepodobne. Ale powiedz, kto, u diabła, mógłby chcieć zabić takiego starego dziwaka jak Eddie? Taki porządny człowiek, nigdy nikogo nie skrzywdził. Ludzie go szanują, darzą wielką sympatią. Co to mogło się stać? Może wypadł za burtę i ktoś go wyłowił. Może stracił pamięć...

– Seanie, przed przyjazdem tutaj podzwoniłem do szpitali w okolicy. Podałem rysopis Eddiego. Nie mają nikogo.

– A... kostnice też sprawdziłeś? – spytał po chwili ciszy Sean.

– Tak. Eddiego tam nie ma.

– Może... może ktoś go porwał?

– Taka możliwość zawsze istnieje – powiedział Zach, choć bez większego przekonania. – Seanie, gdzie jest Amanda?

– W hotelu. Była wykończona tym wszystkim. Powiedziałem jej, żeby dziś trochę odpoczęła, poszła na masaż i tak dalej.

– Chciałbym jeszcze porozmawiać z twoim lekarzem. Kat zażąda mojej głowy, jeśli wrócę bez dokładnej listy twoich leków i zaleceń, co ci wolno, czego nie.

– Lekarz zaraz tu będzie. Możesz z nim teraz pogadać.

Chyba już nadchodził. Caer słyszała kroki w głębi korytarza. Szybko weszła w boczny korytarz i zaczęła iść w stronę pokoju Michaela. Kiedy mijala jedną z sal chorych, nagle usłyszała słabiutki głos, niewątpliwie należący do osoby mocno już starszej.

– Pomocy! Jest tam ktoś?

Caer zajrzała do sali. Na jednym z łóżek leżała staruszka. Drobniutka i bardzo pomarszczona.

– Dzień dobry! Może pani w czymś pomóc?

– O, tak! Chodzi tylko o pilota, kochanie. Upadł na podłogę. Nie dosięgnę, a nie chcę dzwonić i zawracać głowy pielęgniarce takim drobiazgiem.

– Proszę! – Caer przykucnęła koło łóżka, podniosła pilota i podała staruszce. – Powinien być na sznurku przywiązany do łóżka. Zaraz poproszę, żeby ktoś tym się zajął.

– Niech cię Bóg błogosławi, dziecko – powiedziała staruszka. Miała naprawdę wiele lat, ale spojrzenie bardzo bystre, a koścista, pokryta plamami starości dłoń, którą przykryła dłoń Caer, była zaskakująco silna.

Staruszka, zmrużywszy oczy, nagle spojrzała na Caer baczniej. Jakby coś ją zaniepokoiło.

Caer delikatnie uścisnęła jej rękę i odsunęła się krok dalej.

– Pani... – spojrzenie Caer przemknęło po karcie pacjenta – pani McGillicutty, jeśli pani czegoś potrzebuje, proszę bez żadnego skrupowania

dzwonić po pielęgniarkę. Jesteśmy tu po to, żeby opiekować się chorymi. Proszę o tym pamiętać. Zaraz powiem, żeby ktoś przyszedł i umocował tego pilota.

Kiedy wychodziła z pokoju, w drzwiach natknęła się na jakąś czterdziestolatkę, zmęczoną i bardzo zmartwioną.

– Czy z mamą wszystko w porządku? – spytała zaniepokojonym głosem.

– Oczywiście! – powiedziała szybko Caer. – Pani mama ma mały problem techniczny. Potrzebny jest sznurek do pilota.

– Och...

Kobieta, wydawszy z siebie głośne westchnienie ulgi, szybko podeszła do staruszki.

– Mamusiu!

Pocałowała matkę w policzek i wzięła ją za rękę.

– Mary, dziecko drogie... – powiedziała pani McGillicutty, uśmiechając się do córki.

Patrzyła na nią z taką czułością... Caer szybko zamrugła powiekami, pod którymi nagle zapiekło. Była zaskoczona, że ulega emocjom. I bardzo z tego niezadowolona.

– Pani pielęgniarka powiedziała, że będę miała pilota na sznurku. Nie będzie mi spadać – poinformowała córkę pani McGillicutty i swoją pomarszczoną jak zaszuszone jabłuszko twarz zwróciła do Caer. – To Mary, moja córka – powiedziała, wcale nie kryjąc dumy. – Po śmierci męża przejęła nasz pub. Musi pani koniecznie tam zajrzeć, to niedaleko stąd. Nasz pub nazywa się „Irlandzkie oczy”.

– Mamo, daj spokój – odezwała się cicho córka. – Pani ma na pewno co innego, lepszego do roboty, niż przychodzenie do naszego pubu.

– A właśnie, że nie! – oświadczyła z uśmiechem Caer.

– Dziś wieczorem mam czas i na pewno tam wpadnę.

– Ale to... to miejsce raczej dla mężczyzn – bąknęła Mary.

– I dla kobiet pracujących! – dorzuciła pośpiesznie pani McGillicutty.

– Mnie chodzi o to, że to po prostu pub, nic nadzwyczajnego.

– I z wielką chęcią wpadnę do takiego właśnie pubu!

– powiedziała Caer. Szczerze, miała bowiem przeczucie, że ten pub będzie staroświecki, ze swoistym klimatem, a nie nowoczesny bar bez duszy, których ostatnio sporo namnożyło się na mieście.

A poza tym, skoro ma już jechać do pracy do tej Ameryki, należy jej się przedtem trochę rozrywki. Nic nie szkodzi, jeśli trochę kasy zostawi w pubie Mary. Nie zdążyła jeszcze sprawdzić dokładnie zawartości koperty. Nie łudziła się, że znajdzie tam jakąś oszałamiającą kwotę. Ale zawsze coś tam jest, a więc jak szaleć, to szaleć. Popołudnie spędzi na zakupach, wieczorem wpadnie do pubu. A jednocześnie, nie zapominając o swoich obowiązkach, postara się jeszcze dziś dowiedzieć czegoś więcej o Seanie O'Rileyu.

– A więc do zobaczenia! – powiedziała z uśmiechem i wyszła na korytarz.

Odszukała salową, powiedziała jej o pilocie, potem szybko przebrała się i ruszyła korytarzem, kierując się do wyjścia. Po drodze zerknęła przez otwarte drzwi do pokoju Seana. Zach Flynn nadal tam był, obaj panowie rozmawiali jednak bardzo cicho. Podśluchiwanie nie miało sensu. Caer więc, zgodnie z planem, opuściła szpital i rozpoczęła wędrówkę po

sklepach, żeby kupić sobie wszystko, co ewentualnie może jej się przydać w tej Ameryce. Nie było to zadanie łatwe. Przecież zupełnie nie miała pojęcia, co tej zimy nosi się na Rhode Island. Ale pocieszała się, że w końcu jedzie tam do pracy i większość czasu paradować będzie w mundurku pielęgniarki.

Po zakupach poszła do hotelu, w którym zatrzymali się państwo O'Rileyowie. Zadzwoiła z recepcji, ale Amandy nie było w pokoju. Prawdopodobnie nadal była w spa, wobec czego Caer zdecydowała, że ona również może sobie zafundować trochę luksusu. Za euro Michaela, oczywiście.

Torby z zakupami zostawiła w recepcji i poszła do hotelowego spa, gdzie serwowano ciału mnóstwo egzotycznych przyjemności. Udało jej się zerknąć do rejestru. Amanda O'Riley w chwili obecnej brała kąpiel ziołowo-pomarańczową. Na szczęście poddanie się temu samemu zabiegowi było możliwe.

Najpierw zaprowadzono ją do pokoju wypełnionego cichymi dźwiękami muzyki i zaproponowano szlafrok, klapki oraz herbatkę ziołową. Kiedy poprosiła o czarną herbatę irlandzką, panienka spojrzała na nią dziwnie, ale życzeniu stało się zadość. Potem podano truskawki – przepyszne, dawno nie jadła czegoś tak cudownie słodkiego. A potem nastąpiła kąpiel. Caer zaprowadzono do łazienki, gdzie po wyłuskaniu się ze szlafroka zanurzyła się w gigantycznej wannie z gorącą wodą plus zioła plus skórki pomarańczy. Poza tym muzyka – popis gry na harfie. I szczęśliwy traf – w sąsiedniej wannie przebywała żona Seana.

Włosy blond owinięte ręcznikiem, żeby ich nie zmoczyć – to samo zresztą zrobiono z włosami Caer. Amanda siedziała w wannie w pozycji

półożącej, głowa spoczywała na poduszeczce. Plasterki ogórka usunęła ze swoich powiek i gawędziła sobie z kobietą w wannie po drugiej stronie.

Woda była cudowna, w ciągłym ruchu. Masowała ciało i pozwalała się odprężyć. Skórki pomarańczy i rozmaite zioła, pływające po powierzchni, zmiękczały skórę. Powieki miała przykryte chłodnymi plasterkami ogórka. Wszystko to razem było nadzwyczaj przyjemne, Caer nie zapominała jednak o swoich obowiązkach i podsłuchiwała bezczelnie, nie spodziewając się jednak zbyt wielkich rewelacji. Przecież wiadomo, że nawet jeśli Amanda w jakiś sposób przyczyniła się do choroby męża, nie będzie zwierzać się z tego obcej kobiecie.

– Eddie, wspólnik mojego męża, jest bardzo sympatyczny – paplała Amanda. – Niestety, zginął. Szkoda, że nie Marni, żona Cala, drugiego wspólnika. Ona uwielbia robić słodkie oczy do mojego męża. Choć ma swojego! Z tym, że ja się tak bardzo jej nie dziwię. Mój Sean jest po prostu fantastyczny. Jest starszy ode mnie o wiele lat, a jest taki silny. I ma końskie zdrowie. Dopiero teraz... Nie mam pojęcia, dlaczego tak nagle się rozchorował i musi przebywać w tym okropnym, brudnym szpitalu.

O, przepraszam! Oburzona Caer w ostatniej chwili powstrzymała się, żeby tej blondynce teraz nie wygarnąć. Okropny szpital? Brudny? Ach ty, babo jedna! Owszem, w szpitalu czasami brakowało personelu, ale to był naprawdę dobry szpital. Ludzie, którzy w nim pracowali, robili to z pełnym poświęceniem. Przecież ich praca to było coś więcej niż po prostu praca przy ludziach, którzy przewijali się przez szpital. Kochali życie. Życie innych!

Do świąt jeszcze kilka tygodni, a w szpitalu na każdym piętrze i na każdym oddziale poustawiano choinki i udekorowano świątecznie ściany.

Żeby ci, którzy przykuci są do łóżek i cierpią, mogli patrzeć na coś, co raduje oczy.

Caer, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Amandę, nie była nią specjalnie zachwycona. To, co Amanda powiedziała teraz, utwierdziło ją w przekonaniu, że Sean tego rodzaju kobiety stanowczo nie powinien brać sobie za żonę.

– Czy pani wie... – Amanda zachichotała. – Mój mąż jest ode mnie starszy, ale w łóżku... Doświadczenie to cenna rzecz. Mojemu mężowi nie brakuje temperamentu. Dlatego tak sobie pomyślałam, że może by mu się przydało coś bardziej podniecającego niż kroplówki... Seks w szpitalnym łóżku...

Czyli idiotka. Natomiast jej rozmówczyni wykazała się rozsądkiem, wypowiadając bardzo słuszną opinię.

– Mówi pani, że mąż jest człowiekiem starszym, teraz się rozchorował. Myślę, że wcale nie byłoby to dla niego dobre.

– Naprawdę? A może on tego właśnie potrzebuje!

Do Amandy podeszła kosmetyczka. Pomogła jej wyjść z wanny i otulić się wielkim szlafrokiem, po czym poinformowała, że teraz pora na peeling solą morską.

Caer zanurzyła się w wannie trochę bardziej, zadowolona, że Amanda jej nie zauważyła. W końcu miała jechać razem z nimi do Ameryki. Amanda na pewno nie byłaby zachwycona, że pielęgniarka jej męża ma już jakieś pojęcie o sprawach łóżkowych państwa O'Rileyów.

Peeling sobie odpuściła. Ubrała się szybko, zeszła na dół i odebrawszy swoje torby z recepcji, stanęła z boku, gdzie nie było ludzi. Wyjęła komórkę i wystukała numer. Kiedy odezwał się Michael, przeraziła się, bo reszta

dźwięków w telefonie pozwalała domniemywać, że Michael jest teraz na wyścigach.

- Michael, nie jesteś w szpitalu?!
- Nie, ale ktoś mnie tam zastępuje.
- A jak będzie wieczorem, w nocy? Przecież trzeba pilnować Seana.
- Owszem. I to jest twoje zadanie.
- Tak, ale mam jeszcze coś pilnego do załatwienia przed wyjazdem.
- Spokojnie. Powiedziałem, że nasz człowiek tam jest. A dlaczego tak

panikujesz?

– Dlaczego? Bo jestem prawie pewna, że żona Seana dziś jeszcze będzie próbowała go zabić.

- Jak? Nóż? Pistolet? Większa porcja trucizny?
- Nie. Powiedzmy, że... czułości.
- Co?!

Jęknęła w duchu.

– Michael! Słyszałam na własne uszy, jak mówiła o seksie na szpitalnym łóżku. A to może zaszkodzić jego sercu! Może go po prostu zabić!

– Masz rację. Natychmiast zawiadomię, kogo trzeba, że Seana nie wolno zostawiać samego z ukochaną małżonką. Ale w Ameryce ty będziesz tego pilnować. Masz już pomysł, jak to zrobisz? Będziesz spała na połówce w ich małżeńskiej sypialni?

Czyli zebrali mu się na żarty. Oczywiście wcale nie wybuchnęła śmiechem i Michael, po minucie ciszy, przeszedł do konkretów.

– Wyjeżdżacie jutro. Tak ostatecznie ustalili Zach Flynn z panem Seanem O'Riley, zaraz po twoim wyjściu z pokoju. Flynn rozmawiał z

lekarzem. Historię choroby przekazano już do Stanów. Wydaje się, że Flynn nie ma żadnych oporów, żeby panu O'Rileyowi towarzyszyła pielęgniarka. Kiedy dowiedział się, kto to będzie, żartował, że żona Seana na pewno nie będzie tym zachwycona. W każdym razie jutro rano punktualnie o ósmej razem z O'Rileyami i panem Flynnem opuszczacie szpital. Limuzyna zawiezie was na lotnisko. Samolot do Nowego Jorku odlatuje za piętnaście dwunasta. W Nowym Jorku przesiadacie się do samolotu do Providence.

– Rozumiem.

– Nie spóźnij się.

– Ja nigdy się nie spóźniam, Michael. Na to w mojej pracy nie mogę sobie pozwolić.

– Tak. Aha... Flynn wyszedł ze szpitala. W każdej chwili może pojawić się w hotelu.

Caer odruchowo spojrzała na drzwi. Zach Flynn właśnie wchodził do holu.

– Jest już tutaj, Michael.

Rozłączyła się, zastanawiając się w duchu, czy nie schować się za jednym z filarów. Niestety, jakikolwiek ruch był niemożliwy, ponieważ Flynn już ją zobaczył.

– Witam, panno Donahue.

– Witam – powiedziała tonem wcale nie zachęcającym do rozmowy.

Czym wcale go nie zraziła.

– A więc jutro leci pani z nami?

– Tak.

– A co sprowadza panią do tego hotelu?

– Spa.

– A... spa!

Czuła, że się rumieni. Ona, której nigdy to się nie zdarzało! Ale ta reakcja w tym momencie była absolutnie wytłumaczalna. Zach spojrzął bowiem na nią – na nią! – jak na typową kobietę, dla której luksusy i dbanie o swój wygląd są sprawami najwyższej wagi.

– Nigdy jeszcze nie latałam samolotem – wyznała. – Szczerze mówiąc, nigdy nie wyjeżdżałam z Wysp Brytyjskich. Nic dziwnego, że denerwuję się przed podróżą, dlatego postanowiłam trochę się zrelaksować.

– Rozumiem.

– Nie będę pana dłużej zatrzymywać. Na pewno chce pan iść już do swojego pokoju...

– Wcale mi się nie spieszy.

Czyli super. Będą dalej tak stać i gapić się na siebie. A także uśmiechać się, bo usta Flynna zaczęły powoli się rozciągać.

– Jest już pani gotowa do wyjazdu? – spytał, spoglądając na jej torby.

– W pewnym sensie tak.

– A ma pani chwilę czasu?

– Przepraszam, a dlaczego pan pyta?

– Wpadłem tu tylko na moment, żeby sprawdzić, co z Amandą. Potem idę coś zjeść. Byłoby mi bardzo miło, gdyby zgodziła się pani iść ze mną na obiad.

– Ja? Hm... A może Amanda będzie głodna...

– Mam nadzieję, że Amanda posiedzi teraz przy chorym mężu.

Amanda przy mężu... Przed oczyma Caer natychmiast pojawił się obraz bardzo niepożądany, mianowicie Amanda realizująca swoje erotyczne plany. Pozostawała nadzieja, że Michaelowi uda się to udaremnić...

Zamrugnęła oczami i spojrzała na mężczyznę, który zapraszał ją na obiad. Oczy koloru morza, kasztanowe włosy, rysy twarzy zdecydowane, bardzo męskie. Twarz młoda, Zach mógł mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Ale w jego oczach było tyle mądrości życiowej, ile większość ludzi nie zdobędzie w ciągu całego swego życia.

Był prywatnym detektywem, przedtem pracował w policji, w dochodzeniówce. O ciemnych stronach natury ludzkiej bez wątpienia wiedział więcej, niż sam by tego chciał.

Ale na pewno nawet on nie wiedział o Michaelu i Agencji.

– Przecież i tak miała pani zamiar zjeść gdzieś obiad, prawda?

– Owszem. W pubie, razem z przyjaciółmi.

Bingo. Pożegnanie z przyjaciółmi przed wyruszeniem w długą podróż. Zabrzmiało to bardzo naturalnie.

– Do pubu? Zna pani jakiś dobry pub i zniesie moje towarzystwo?

Czyli dalej mamy problem. Flynn nie rezygnował, choć dała mu wyraźnie do zrozumienia, że towarzystwo już ma. A jego towarzystwo wcale nie wzbudza w niej entuzjazmu.

Poza tym – jak rozwiązać problem przyjaciół?!

– A nie uważa pan, że jedno z nas powinno być teraz w szpitalu?

Uśmiechnął się.

– Niekoniecznie. Mam w szpitalu swojego człowieka. Jeden z pielęgniarzy wciągnięty jest we wszystko.

– We wszystko? To znaczy?

– No cóż... Pani niebawem i tak siłą rzeczy zapozna się z tą bardzo nieciekawą sytuacją. Dlatego z czystym sumieniem mogę już panią we wszystko wtajemniczyć. Amanda i Kat, córka Seana z pierwszego

małżeństwa, nie znoszą się nawzajem. Kat uważa, że to Amanda doprowadziła Seana do takiego stanu.

– A co pan o tym sądzi?

– Ja? – Flynn wzruszył lekko ramionami. – Widziała pani Amandę. Nie wygląda na osobę, która potrafiłaby obmyślić morderstwo doskonałe. Chyba że jest genialną aktorką. Teraz jednak to, co uważam, nie jest najbardziej istotne. Najważniejsze być czujnym. Tym bardziej że oprócz choroby Seana wydarzyło się jeszcze coś. Jeden z jego współników zaginął. Czyli w sumie nie wygląda to najlepiej... Poczekaj pani na mnie chwilę?

A on znów swoje. Ona też.

– Panie Flynn, pan na pewno jest bardzo zmęczony. Cała noc w samolocie, cały dzień w szpitalu...

– Dlatego chciałbym się trochę odświeżyć. Dziesięć minut, zgoda?

– Panie Flynn...

– Proszę!

Po sekundzie wahania skinęła głową. Dalsze obstawanie przy swoim byłoby po prostu niegrzeczne. Teraz trzeba się tylko modlić, żeby Mary, córka staruszki ze szpitala, na jej widok skakała z radości, wtedy będzie można od biedy podciągnąć ją pod swoją przyjaciółkę. Przynajmniej ją.

– Może poczeka pani na mnie w hotelowym barze? A torby z zakupami zabiorę do swojego pokoju. Potem wrócimy po nie i odwiozę panią do domu.

Oddawała mu te nieszczęsne torby z poczuciem, że znalazła się w pułapce. Ale zaraz udzieliła sobie reprimendy. Boi się tego człowieka, bo bardzo dobrze wie, dlaczego on z takim uporem dąży do wspólnego spędzenia wieczoru.

Chce ją rozszyfrować.

A ona nie powinna nim się przejmować. Niech sobie robi, co chce, ona i tak nie dopuści, żeby ten człowiek pomieszał jej szyki.

Ale do pubu pójdą razem. Niestety, za późno na inne wykręty w rodzaju – przepraszam, ale muszę jechać na wieś i pożegnać się z mamusią i tatusiem.

Po prostu trzeba z nim iść i koniec. Postarać się być miłą, uprzejmą, a przy okazji wyciągnąć z niego jak najwięcej o O'Rileyach. Jest przecież bardzo zżyty z tą rodziną.

Uśmiechnęła się i podała mu swoje torby.

– Świetny pomysł. Dziękuję. Czekam na pana w barze.



ROZDZIAŁ CZWARTY

To był naprawdę męczący dzień po długiej podróży samolotem. Wiele godzin w szpitalu. Rozmowy z Seanem, załatwianie ważnych spraw, co chwilę rozmowa przez telefon. Poza tym rozterka. Powinien był tu przyjechać, czy nie? Także żal. Szkoda, że nie mogę zostać w Dublinie dłużej...

Jednym słowem, ani chwili spokoju. Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, kazałby przynieść sobie coś do zarcia do pokoju, a potem walnąłby się na łóżko i spał, spał, spał.

Ale pokusa, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o pielęgniarce, która miała opiekować się Seanem, była zbyt wielka. Zach zdążył już widzieć w swoim życiu bardzo wiele pielęgniarek, zdarzały się wśród nich dziewczyny naprawdę atrakcyjne. Ale takiej jak Caer nigdy jeszcze nie spotkał.

Kiedy pędził do recepcji po klucz, potem do windy, cały czas miał przed oczami jej twarz. Prześliczną. O porcelanowej cerze i kobaltowych oczach.

Myślał o niej, kiedy w tempie ekspresowym przejeżdżał maszynką po czymś, co dawno już przestało być świeżym zarostem. Kiedy wskakiwał pod prysznic. Dosłownie na minutę.

Caer miała na sobie obcisłą niebieską sukienkę, trochę przypominającą dłuższy sweter, on więc też nałożył sweter, też niebieski. Dżinsy czarne.

Płaszcz ciemnoniebieski. Ale i tak nie pasuje do koloru jej oczu, pomyślał, po raz ostatni spoglądając w lustro.

Ej, chłopie, a czym ty tak się przejmujesz? Masz rozpracować tę panienkę, potem mieć ją na oku, kiedy będzie opiekowała się Seanem. Tylko to, a nie zachwywanie się jej wyglądem.

A może jednak się pozachwycać? Wyłożyć kawę na ławę i odzyskać wewnętrzny spokój?

A więc wyliczamy: włosy czarne z granatowym połyskiem, bardziej błyszczące niż skrzydło kruka. Kolor na pewno jej własny, o farbowaniu czy koloryzacji nie ma mowy. Obcisła sukienka pozwala domniemywać, że Caer ma figurę modelki. A twarz... Owal delikatny, kości policzkowe osadzone wysoko. Nieduży nos, prosty. Pełne usta o idealnym wykroju.

Oczy – przepiękne. Ciemnoniebieskie – właśnie kobaltowe. Takie wyraziste. Często spoglądały czujnie, podejrzliwie. W chwili gniewu na pewno potrafiły miotać błyskawice. Ale kiedy współczuły tym, którzy cierpią, jaśniały. Kobalt przechodzi w błękit...

Kobieta-zjawisko. Powinien być oszołomiony.

A jemu coś tu jednak nie pasowało. Tylko co?

Mieli iść do pubu, chciała pożegnać się ze znajomymi. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Pracowała w szpitalu, musiała znać mnóstwo ludzi...

W szpitalu... Dawny współpracownik Aidana też teraz pracuje w szpitalu. Jest pielęgniarzem. Teoretycznie, bo praktycznie jest kimś innym...

Summa summarum – świetnie, że idzie z nią do tego pubu. Będzie okazja poobserwować ją na jej własnym terenie. Lepiej ją wyczuć. Bo i niby dlaczego zdecydowała się tak błyskawicznie rzucić wszystko i jechać do Stanów, żeby opiekować się starym człowiekiem, który nagle zachorował i lekarze nie są w stanie postawić diagnozy?

Może po prostu cieszy się, że trafiła jej się okazja wyjazdu do Stanów. Przed laty sytuacja na rynku pracy w Irlandii była kiepska, z kraju wyjechały tysiące pielęgniarek. Teraz jednak Irlandia przeżywała rozkwit gospodarczy, liczba emigrantów do USA zdecydowanie zmalała. Caer na pewno nie zdecydowała się na opiekę nad Seanem po to, by zapuścić korzenie za oceanem.

Sprawdził jej papiery. Były w porządku, ale to i tak nie rozwiało jego wątpliwości. Czuł, że czegoś jeszcze o niej nie wie. Wyczuwał to swoim „szóstym zmysłem”. Bracia mówili o nim, że ma intuicję. Dlatego zresztą, według Aidana, był całkiem niezłym detektywem.

Sean o Caer mówił w samych superlatywach. Nie było w tym żadnego podtekstu. Nie stracił dla niej głowy – jak wtedy, kiedy postanowił poślubić Amandę, co dla wszystkich było szokiem. Nie z powodu różnicy wieku, choć kłuła w oczy, ale z powodu różnych osobowości. Sean był wciąż spragniony nowej wiedzy, kochał książki i morze. Amandę ani morze, ani książki, ani zdobywanie nowej wiedzy kompletnie nie interesowały.

Sean, choć stracił dla niej głowę, nie był taki głupi, żeby dać się usidlić kobiecie, która chce tylko jego pieniędzy. Nawet Kat, przekonana, że Amanda chce skrzywdzić jej ojca, o miłości Amandy do pieniędzy mówiła raczej mało i ostrożnie. Sean uwzględnił przecież drugą żonę w swoim testamencie, tak samo jak wspólników i zabezpieczył przyszłość firmy.

Czy Amanda miałaby też stać za zaginięciem Eddiego? Niemożliwe. Sean i Amanda wyjechali ze Stanów w tym samym dniu, kiedy Eddie wyruszył w ten feralny rejs. Wypłynął w południe, O'Rileyowie opuścili dom dopiero wieczorem. Z tego, co mówiła Zachowi Kat, Amanda w ciągu dnia kręciła się po domu, zajęta pakowaniem. Suknie wieczorowe plus

odpowiednia biżuteria, strój sportowy na spacer po wzgórzach i na wycieczkę za miasto. Zwiedzanie ruin zamku, przy okazji oczywiście koniecznie nie zapomnieć o pocałowaniu Blarney Stone*

** Kamień z Blarney, zwany też Kamieniem Elokwencki. Bryła wapnia w murze obronnym zamku w Blarney w hrabstwie Cork, Irlandia. Kto pocałuje kamień, ten otrzyma dar elokwencki i przekonywania. Kamień wmurowany jest poniżej linii blanków, dlatego całujący, trzymany za nogi, zwisa głową w dół. (Przyp. tłum.)*

Kat jednak nie chodziła za Amandą krok w krok. Ale też i trudno było sobie wyobrazić, że Amanda, między pakowaniem jednej sukni a drugiej, mogłaby wymknąć się z domu, dopaść Eddiego na „Sea Maiden” i zrobić mu jakąś krzywdę, a potem wrócić i dokończyć pakowanie.

Późnym popołudniem odbyło się skromne pożegnalne przyjęcie, na które Eddie nie przyszedł. Wszyscy byli pewni, że po prostu ten popołudniowy rejs się przedłużył. Następnego dnia Cal, kiedy stawiał się do pracy, stwierdził, że Eddiego w biurze nie ma, a na przystani nie ma „Sea Maiden”. W szufladzie znalazł rachunek. Ktoś zapłacił gotówką. Nazwisko na rachunku brzmiało – John Alden. W Nowej Anglii nazwisko dobre jak każde inne.

Potem, kiedy Zach zamierzał wsiąść już do samolotu, odnaleziono dryfującą łódź. Po Eddiem ani śladu.

Była zima, ale bardzo łagodna. Nie było sztormu, który mógłby zmieść Eddiego z pokładu. Morze nie było wzburzone, nie pojawiły się żadne niespodziewanie silne prądy, nie było niczego, co mogłoby zagrażać takiemu staremu wilkowi morskiemu jak Eddie Ray.

Seanowi, ze względu na jego stan, o zniknięciu Eddiego powiedziano trochę później. Był zrozpaczony. Dla niego Eddie był nie tylko współnikiem. Był największym przyjacielem i podporą od lat. Eddie znika, a w tym samym czasie Sean bardzo poważnie zapada na zdrowiu. I to kiedy? Kiedy przebywa po drugiej stronie Atlantyku. Zach był przekonany, że oba te przypadki są powiązane ze sobą. Jutro wieczorem Zach będzie już w Stanach i rozpocznie śledztwo. Może odnajdzie Eddiego. Może nie.

Czasami nie trzeba szukać. Morze oddaje ciało. Ale czasami nie i w czarnej bezkresnej otchłani giną bezpowrotnie dowody winy, łącznie z ofiarą. Jeśli Eddie został zamordowany i wyrzucony za burtę...

Chwycił za słuchawkę telefonu przy łóżku i poprosił o połączenie z panią O'Riley. Nie odpowiadała, czyli prawdopodobnie dalej przebywała w spa, choć jej miejsce teraz, zdaniem Zacha, było przy mężu, a nie w spa.

Wziął portfel i płaszcz, zamknął drzwi na klucz i zjechał na dół.

Caer czekała w barze. Siedziała przy oknie, wpatrzona w stojącą przed nią szklankę z ciemnym piwem. Jakby piwo

I szklanka były czymś niezwykłym.

Zimowy wieczór powoli przechodził w noc, robiło się coraz ciemniej. Ktoś szedł ulicą, wysoka postać na moment zasłoniła okno, a Caer w tym momencie spowił mrok.

Nagle Zachowi, nie wiadomo dlaczego, przypomniała się Maeve i tamten cień, przesuwany się środkiem samolotu, potem przez terminal...

Maeve. Taka miła pani...

Nagle poczuł lęk. Caer Donahue nie była staruszką, miała za sobą naprawdę niewiele lat życia. Ale ten mrok...

Chyba jest przewrażliwiony. Zdażył się napatrzeć na różne okrucieństwa, dlatego teraz panikuje. Przecież to absurd, żeby łagodna śmierć Maeve budziła w nim ten bezpodstawny lęk o Caer.

Tak. Jest przewrażliwiony, a do tego zmęczony.

Caer podniosła głowę i uśmiechnęła się. Bardzo ostrożnie, a uśmiech ten przyciągnął go jak magnes. Natychmiast znalazł się przy niej.

– Dokąd idziemy? – spytał, siadając na krześle obok. Wystarczająco blisko, żeby poczuć zapach perfum Caer. Nic oszalamiającego.

A jednak... kuszący.

– Do pubu „Irlandzkie oczy” – powiedziała, dając jednocześnie znak ręką młodemu mężczyźnie za barem, żeby przyniósł rachunek. – To bardzo popularne miejsce w Tempie Bar. Dzielnicy, jak wiadomo, najchętniej odwiedzanej przez turystów. Dlatego przepraszam, jeśli jesteś trochę rozczarowany, że idziemy utartym szlakiem...

– Ale w towarzystwie rodowitej Irlandki, a to już jest coś! Chłopak przyniósł rachunek. Mimo gorących protestów

Caer zapłacił Zach.

– Oboje pracujemy dla Seana, prawda?

– Pracujemy? – powtórzyła, marszcząc brwi. – Przecież jesteś jego przyjacielem.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Najważniejszy jest cel. Zagwarantowanie, że Sean długo jeszcze będzie stapać po tej ziemi. Idziemy?

– Tak. Nie! Chwileczkę!

Chwyciła szklankę i wysączyła piwo do dna.

– Bardzo dobre – powiedziała i zarumieniła się. – A ja raczej rzadko ruszam się z domu. Przepraszam...

– Rozumiem – mruknął.

Nie, wcale nie rozumiał, dlaczego kobieta tak atrakcyjna rzadko wychodzi z domu. Na pewno nie z powodu braku facetów, którzy mieliby ochotę z nią się umówić.

– Idziemy! – Wstała i zachwiała się.

Zach odruchowo objął ją jedną ręką w pól. Taką ciepłą, pachnącą... Jego męskość natychmiast zareagowała. Jednocześnie odżył lęk. O Caer. Trzeba ją chronić. Przed czym? Przed... wszystkim. Przed...

Dalsze rozważania okazały się niemożliwe, ponieważ Caer szybko odzyskała równowagę i wystąpiła z przeprosinami.

– Przepraszam. Od niepamiętnych czasów nie brałam alkoholu do ust. Obiecuję, że tego wieczoru nie będę przesadzać...

– Nie martw się. Przy mnie nie stanie ci się nic złego. Zabrzmiało to prawie melodramatycznie.

Na sekundę przechwycił jej wzrok. Spojrzeli sobie prosto w oczy.

Jej oczy – sama niebieskość. Ale nie jasny błękit, kolor nieba, tylko mrok. Niebieski mrok, tajemniczy...

Nagle odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do drzwi, rzucając przez ramię:

– Komu w drogę, temu czas!

Zach, zanim ruszył za nią, kilkakrotnie potrząsnął głową. Już mu przeszło. To, co go zahipnotyzowało, nagle straciło swoją moc.

Tylko... co to było?

Cal Johnson zwykle spał jak zabity. Tej nocy jednak nie. Miotał się na łóżku. I rozmyślał.

Spośród trzech wspólników był najmłodszy. Wiedział, dlaczego Sean i Eddie wzięli go do firmy. Zaczynali być już zmęczeni codziennym kołowrotem. Starzeli się, obaj. Sean też, chociaż ożenił się z babką dwa razy od niego młodszą. Nawet więcej niż dwa razy.

Poza tym obaj starsi panowie chcieli mieć więcej wolnego czasu. I słusznie. Należało im się. Pracowali przecież bardzo ciężko.

Obaj kochali historię. Uwielbiali wertowanie książek, studiowanie map, a potem żeglowanie do miejsca, w którym kiedyś wydarzyło się coś bardzo ważnego.

Cała teraz przede wszystkim interesowało zarabianie pieniędzy. Uwielbiał żeglować. Za historią nie przepadał, ale gdyby jej znajomość była w tym biznesie niezbędna, też zabrałby się za wertowanie książek. Stanowczo jednak wolał, żeby jego pasażerowie po prostu chcieli podziwiać piękne widoki, ewentualnie pouczyć się żeglowania. Od serwowaniu starych opowieści był Sean. Niezrównany. Każdą, nawet byle jaką czy znaną wszystkim historyjkę potrafił opowiedzieć tak, że stawała się pasjonująca.

Po raz kolejny zmienił pozycję. Która to może być godzina? Trzecia, czwarta?

Do cholery! Dlaczego on nie śpi?!

Przez Eddiego.

Znaleźli łódź, ale Eddie przepadł. Jak kamień w wodę.

Nagle zadrżał. Wiedział już, dlaczego się obudził. Miał koszmarne sen. Przyszedł do niego Eddie, cały w wodorostach, zaplątany w liny i

porwane żagle. Cały oblepiony zgłodniałymi stworzeniami morskimi, które przywierały do niego tak mocno, jakby były z nim zrosnięte.

Wszedł do pokoju razem z wyciem wiatru. Razem z ciemnością. Stanął w nogach łóżka. Patrzył na Cal. Otworzył usta, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Znikł, a Cal obudził się, zlany potem. Usiadł na łóżku, powtarzając sobie w duchu, że nie ma żadnych dowodów. Nie wiadomo, czy Eddie żyje, czy nie. Wiadomo tylko, że Eddie zabrał na pokład jednego pasażera. Nie przyszedł na pożegnalne przyjęcie. Straż Przybrzeżna znalazła „Sea Maiden”. Nic nie było tam połamane, zniszczone. Żagle zwinięte.

Wszystko w idealnym porządku. Tylko po Eddiem i pasażerze ani śladu.

Cal zamknął oczy. Była zima, ale pogoda ładna, amatorów na wycieczkę jachtem nie brakowało. Eddie zaginął, Sean ciężko chory w Irlandii. Wszystko na głowie Cal. Był wykończony.

I jeszcze ten koszmary sen...

– Cal... – odezwała się nagle zaspanym głosem Marni. – Co się stało?

– Sam nie wiem. Po prostu obudziłem się.

Poczuł na policzku miękką dłoń żony. Pogłaskała go.

– Wszystko będzie dobrze, Cal. Sean niedługo wróci. Kat dzwoniła do Zacha Flynna, wiesz, tego ich przyjaciela. Zach ma przywieźć Seana do domu.

– Ale ja... ja widziałem Eddiego.

– Co?! – Marni prawie krzyknęła i usiadła na łóżku. – Widziałeś go? Gdzie? Musisz powiedzieć o tym policji. Wszyscy myślą, że on...

- Nie żyje. Ja też tak myślę.
- Ale ty... ty.. – Głos Marni drżał. – Widziałeś go?
- Przyśnił mi się. Koszmar. Nie ma o czym mówić. Śpij już, Marni, śpij.

Marni opadła na poduszki. Nachylił się nad nią i pocałował w czoło. Natychmiast objęła go za szyję i pociągnęła w dół. Pocałowała go, najpierw delikatnie, potem coraz mniej delikatnie, w końcu namiętnie i zachęcająco, przyciskając się do niego całym ciałem. Cał czuł, jak całe napięcie po koszmarze zaczyna ustępować.

Marni potrafiła się kochać jak droga call-girl. Po kilku minutach gorący seks wymazał z głowy przerażającą wizję Eddiego. Wymazał wszystkie myśli.

Potem, kiedy Marni wtuliła się w niego i zaczęła przysypiać, zerknął na zegarek. Dopiero druga, wcale nie tak późno, jak myślał. W Irlandii siódma rano. Sean z Amandą są już może w drodze na lotnisko. Przylecą wieczorem. Sean, nawet jeśli będzie przykuty do łóżka, znów obejmie komendę. I chwała Bogu.

Zamknął oczy. Po chwili czuł już, że pogrąża się we śnie.

Nagle znów to usłyszał. Zawodzenie wiatru.

Otworzył oczy.

Eddie Ray wrócił. Oblepiony wodorostami, ociekający wodą. Stał w nogach łóżka. Wpatrzony w Cala, otworzył usta. Jakby chciał mu coś powiedzieć...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dublin nocą nie spał. Caer i Zach szli ulicą zalaną światłem z pubów, restauracji i modnych kafejek. Szli przez południowo-zachodnie rejony miasta, gdzie budowle jeszcze z czasów starożytnych stoją obok tych, co zaledwie stare lub zdecydowanie nowe. Minęli Zamek Dubliński i weszli do Tempie Bar, dzielnicy sklepów, pubów, restauracji i muzeów między Dame Street a rzeką Liffey, którą Zach podczas swoich wcześniejszych wypadów do Dublina zdążył już dokładnie poznać.

– Wiesz, dlaczego Tempie Bar? – spytała Caer.

– No... nie.

– Bo tę ziemię w siedemnastym wieku zakupił niejaki sir Tempie. Teraz to mekka dla turystów, przy ładnej pogodzie przewalają tu się tłumy. A propos pogody... Czy to prawda, że klimat w Nowej Anglii jest wyjątkowo surowy? Czytałam gdzieś, że jedni z pierwszych osadników, ojcowie-pielgrzymi, wszyscy umarli.

– Nie wszyscy i nie z powodu klimatu. Moim zdaniem tak tragicznie to nie jest. A znam Rhode Island nieźle. Sean i mój ojciec bardzo się przyjaźnili, ojciec umarł bardzo dawno, a Sean dla mnie i moich braci jest jak rodzony wuj. W zimie w Nowej Anglii potrafi być porządnie zimno, na pewno jednak nie zimniej niż w Irlandii. Ale przeważnie temperatura jest znośna, chyba że nadejdzie sztorm. Wtedy, wiadomo, robi się ciekawie. Lubię patrzeć na sztorm – oczywiście, przez okno, siedząc w ciepłym pokoju. Kilka razy zdarzyło mi się, że zaskoczył mnie podczas rejsu. Było trochę emocji. Ale prawdziwe stare wilki morskie, jak Sean czy Eddie, kochają ocean w każdą pogodę.

Kiedy Eddie wyruszył w morze, nie było żadnego sztormu. Ale człowiek potrafi być jeszcze bardziej niebezpieczny niż groźny żywioł...

– Myślisz teraz o Eddiem, prawda? – spytała cicho Caer.

– Tak.

– Znasz Eddiego osobiście?

– Oczywiście. Świetny gość.

– A nie sądzisz, że on... może z jakiegoś powodu się ukrył?

– Oby tak było.

– Oby... Zach spójrz tam! – Caer wskazała ręką na strzeliste wieże, widoczne na tle ciemnego nieba. – To Christchurch, kościół Chrystusowy. Katedra zbudowana w jedenastym wieku przez króla Dublinu, zwanego Jedwabnobrodym. Naprawdę miał na imię Sigtrigg, był wikingiem. Tu, w Irlandii, mieliśmy wielu zagranicznych gości. Plemiona nordyckie, Anglo-Normanie, potem Anglicy. Wyobrażasz sobie, co się działo? Ile intryg i spisków, ile walk?

Caer, zmieniając temat, wyraźnie chciała odciągnąć go od melancholijnych myśli.

– Ty naprawdę kochasz swoje miasto, Caer?

– Jak mogę nie kochać? Dublin jest jednym z najcudowniejszych miast na ziemi.

Zach roześmiał się.

– Skąd wiesz? Mówiłaś, że nigdy nie wyjeżdżałaś poza Wyspy Brytyjskie!

– Ale oglądam w telewizji kanał Travel! – wykrzyknęła z oburzeniem.

– O! W takim razie nie dyskutuję!

Zach z trudem powstrzymał śmiech. Ale Caer w sumie miała rację. Dublin, ze swoją historią, momentami bardzo krwawą, był miastem niezwykłym. Dziś jest wielką metropolią. Kiedy szli ulicą, słyszeli wszystkie języki świata, jak w Nowym Jorku, Londynie czy Paryżu.

– Jesteśmy już na miejscu – oznajmiła Caer. – Widzisz? Pub „Irlandzkie oczy”.

Minęli grupkę palaczy, zebranych wokół popielniczki, wystawionej na zewnątrz. Zach zauważył, jak spojrzenia wszystkich mężczyzn spoczęły na Caer. Trudno się dziwić. Tak piękna kobieta nie ma szans, żeby zostać niezauważona.

Kiedy wchodził do środka, spostrzegł, że ludzie gapią się i na niego. Też normalne. Przecież był z nią.

Na widok Caer kobieta za barem, sympatycznie wyglądająca czterdziestolatka, wyraźnie się rozpromieniła i szybko wytarła ręce w fartuch z ładnie wyhaftowanym napisem „Irlandzkie oczy”.

– Caer! Jak miło, że przyszłaś!

– Powiedziałam, że przyjdę, więc jestem! – rzuciła do niej z miłym uśmiechem Caer.

Zach skinął głową i przedstawił się.

– Zach Flynn.

– Amerykanin? – spytała kobieta.

– Tak. Poznała pani od razu? Ta moja okropna wymowa... no trudno. Caer zaprosiła mnie tutaj. Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

– A co też pan mówi, panie Flynn! Miło pana powitać. Jestem Mary Donovan. Caer, proszę, siadajcie tutaj. Po całym dniu w szpitalu na pewno

jesteś porządnie głodna. Ej, chłopcy! – Mary machnęła ręką do dwóch młodych mężczyzn w tweedowych kaszkietach. – Róbcie miejsce. To Caer, mówiłam wam, że może przyjdzie dziś wieczorem.

Pub tętnił życiem. Stół w rogu sali zajmowała rodzina. Dziadek o trochę zniewieściałym wyglądzie i rodzice z gromadką pociech – nastolatek, dwójka maluchów i niemowlę.

W drugim rogu grupka robotników, przy stole obok faceci w garniturach. Towarzystwo różne, nie było jednak żadnych podziałów. Pełna symbioza. Ludzie pokrzykiwali do siebie, żartowali, brali sobie z sąsiedniego stolika ketchup albo majonez.

– Caer! – odezwał się jeden z mężczyzn przy barze.

– Słyszałem, że dla naszej staruszki jesteś aniołem! Caer skromnie spuściła oczy.

– Och, nie przesadzaj!

– Nie wstawajcie, chłopaki – powiedział Zach do młodych przy barze.

– Poczekamy, mamy czas.

Ale barowe stołki zostały już opróżnione.

– Dale i tak powinien iść już do domu! – oświadczyła Mary. – Czeka na niego żona i maleństwo!

– Przecież już idę! – obruszył się Dale. – Wpadłem tylko na chwilę. Mam nadzieję, że jeszcze ciebie tu zobaczę – dodał, spoglądając z uśmiechem na Zacha.

– Jasne – odparł Zach. – I moje gratulacje z powodu zostania ojcem!

– Dzięki – odparł Dale. – Caer, a ciebie kiedy zobaczę?

– Nieprędko. Jutro wyjeżdżam do Stanów.

– Do Stanów!? No to szykuje ci się fajna wycieczka. Nie zapomnij zobaczyć Myszki Miki, widzieliśmy ją razem z żoną. Teraz, niestety, nieprędko ruszymy się z domu.

– Szczęśliwej podróży! – odezwał się drugi z mężczyzn, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Tak się składa, że Dale ożenił się z moją siostrą. Idę teraz do nich zobaczyć malucha. Miło było spotkać się z wami. Cześć!

– Jutro? – spytała Mary, wyraźnie zaskoczona. – Wyjeżdżasz jutro?

Zach słuchał, trochę zaskoczony, że znajomi Caer nie wiedzą o jej podróży.

– Ale wrócę – powiedziała z uśmiechem Caer, przykrywając ręką dłoń kobiety, leżącą na kontuarze. – Nie martw się, twoja mama wyzdrowieje i będzie żyła jeszcze przez wiele lat.

Mary westchnęła.

– Daj Boże! Tak ją kocham. Napracowało się, biedactwo. Ojciec umarł bardzo dawno, mama chowała nas sama. Oby żyła jak najdłużej... Caer, czyli, jak rozumiem, to ostatni wasz wieczór w Dublinie przed wyjazdem. Miło mi, że spędzacie go tutaj. Siadajcie, już podaję piwo.

Caer, popijając swoje piwo, nie ustawała w pochwałach. Zach w duchu przyznawał jej rację. Było doskonałe, choć schłodzone jego zdaniem smakowałoby jeszcze bardziej.

Pił, ale jednocześnie znów przyłapał się na tym, że popatrując na Caer, czuje coraz większy niepokój. Coś tu nie gra... Niby Caer jest tu osobą znaną, taki rodzaj anioła ze szpitala. Jednak wcale nie sprawiała wrażenia stałej bywalczyni tego rodzaju miejsc. A to piwo popijała tak ostrożnie, jakby to był najdroższy szampan.

Kiedy Mary poszła po danie dnia, czyli pieczeń, Zach spytał Caer:

– Czy jej matka naprawdę będzie zdrowa?

– Teraz tak. To bardzo stara kobieta, ma zapalenie płuc, ale jest pod dobrą opieką i wyjdzie z tego. Teraz. Bo, jak wiadomo, każdy kiedyś musi opuścić ten świat.

Kapela zaczęła grać. Skoczne dźwięki wypełniły salę. Zach był zachwycony, że nie słyszy żadnych hitów, tylko tradycyjną muzykę irlandzką. A ten bęben, pięknie ozdobiony motywami irlandzkimi, to prawdziwe чудо. Aż swędziały palce, żeby go dotknąć. Gitary widział na co dzień, a taki bęben to prawdziwa rewelacja.

Caer musiała zauważyć, co przykuło jego wzrok.

– Podoba ci się ten bęben, tak? Widzisz na nim kolory naszej flagi. Zielony oznacza katolików, pomarańczowy – protestantów, biały – pokój. A tam, z lewej strony, koniczyna na szczęście, także tęcza, żebyś uwierzył, że marzenia się spełniają. No i oczywiście nasz najbardziej znany skrzat – leprikon. Bo co może być bardziej irlandzkiego niż skrzaty?

Wróciła Mary, z dwoma talerzami rozsiewającymi smakowite zapachy.

– Prawdziwe domowe jedzenie – oświadczyła z dumą.

– Cudownie! – powiedziała Caer. – A Zach podziwiał bęben.

– Zach, umiesz grać? – spytała Mary.

– Na gitarze. A na innych instrumentach tylko tak sobie trochę brzdąkam.

– Na bębnie gra mój Eamon. Powiem mu, że bęben ci się podoba...

– Nie trzeba.... – zaczął Zach, ale Mary podeszła już do kapeli.

Oczy Caer błyszczały. Uśmiechała się, bardzo szeroko.

– Na co czekasz, Zach? Idź i pograj sobie.

– Ja? W irlandzkim pubie? Nie namówisz mnie. Poza tym Mary podała nam właśnie pieczeń.

– Pieczeń może poczekać! – oświadczyła Caer. Wstała i zaczęła go po prostu ściągać ze stołka.

W tej samej chwili w mikrofonie rozległ się głos solisty:

– Hej, ludzie, jest tu dziś razem z nami pewien Amerykanin. Równy gość. Zach, zapraszamy do nas na wspólne granie!

Pub zatrzęsł się od oklasków.

Zach rzadko kiedy czuł się skrepowany, ale tym razem tak właśnie było. Co miał jednak robić? Podszedł do podium i od pierwszego gitarzysty, chłopaka z długimi i czarnymi jak smoła włosami, odebrał gitarę.

– Co gramy? – spytał.

– Teraz kilka starych standardów. Odpowiada? Jasne. Zach już po kilku taktach poczuł, jak przenosi się

w inny, magiczny świat. Kiedy grał, o tym prawdziwym, realnym świecie prawie zapominał. Jego palce czule dotykały strun, uszy wypełniały dźwięki.

Kochał muzykę. W jego życiu była tak samo ważna jak oddychanie. Był dumny, że w tej dziedzinie ma też swój skromny udział. Był przecież właścicielem kilku studiów nagrań, wypuszczał płyty z nadrukowaną własną etykietą.

Miła odskocznia od pracy detektywa w rodzinnej firmie.

Detektyw. Sprawa Seana, sprawa Eddiego. Kiedy sobie o tym pomyślał, natychmiast powrócił do rzeczywistości.

Skończyli grać jeden z kawałków. Zach odpiął pasek do gitary – najlepszej, jaką można dostać u Fendera. Począł, aż gitarzysta odbierze od niego instrument i zamierzał zejść z podium, gdy Eamon, syn Mary, zawołał do niego.

– Zach! Poczekaj! Podał mu irlandzki bęben.

– Jest twój!

– Nie mogę tego przyjąć.

– Nie możesz nie przyjąć – powiedział z uśmiechem Eamon. – Robię takie bębny, mam nadzieję, że podeślesz mi nowych klientów.

– Jasne!

Zach, z bębniem pod pachą, wrócił na swój stół.

– Bravo! – powitała go entuzjastycznie Caer.

– Dzięki. Trochę mi tylko głupio z powodu tego bębna.

– To niech ci nie będzie głupio. Nie wolno nie przyjąć prezentu od Irlandczyka. Bardzo go wtedy urazisz.

Mary postawiła przed nimi talerze, które przedtem zabrała do kuchni do podgrzania, życzyła smacznego i odeszła, zając się innymi gośćmi. Podczas jedzenia Caer opowiadała dalej Zachowi o Dublinie, swoim ukochanym mieście. Zach słuchał jej z wielką uwagą. Te dawne dzieje, kiedy mówiła o nich Caer, wydawały się podwójnie interesujące. A poza tym jej głos... i ten jej irlandzki akcent... Mógłby słuchać jej bez końca...

Nagle spytała, żartobliwie.

– A jak to tam jest, w tej Ameryce?

– W Ameryce? – powtórzył trochę nieprzytomnie Zach. – A, w Ameryce? Na pewno ci się spodoba. Zamieszkaż w pięknym, starym domu, zbudowanym przez dziadka Seana. Wtedy można było jeszcze kupić kawał

ziemi na samym brzegu oceanu. Przy ładnej pogodzie widok na ocean jest urzekający, podczas sztormu – porywający. Bridey, ciotkę Seana, pokochasz od razu. Kat, jego córka, na pewno ci się spodoba. Przyjechała już do domu na święta... Dookoła jest bardzo ładnie, w okresie świątecznym okoliczne domy, wille, rezydencje i stare dworki w stylu angielskim są pięknie przystrojone. Newport nie jest tak stary jak Dublin, ale ma też bogatą historię. Na pewno będziesz zadowolona z pobytu w Stanach. Jestem pewien, że ze wszystkimi się dogadasz. Marni, żona Cala, drugiego współnika Seana, potrafi być jędrą, najlepiej więc ją ignorować. Z Bridey i Kat pokochacie się od razu. Bridey jest kopalnią wiedzy o Irlandii. Wciąż powtarza, że chociaż wyjechała z Irlandii, zabrała ją ze sobą...

Zauważył, że Caer nagle posmutniała. W jej oczach, pociemniałych, pojawiła się dziwna bezradność. Ale tylko na moment. Już patrzyła normalnie.

– Chyba powinniśmy już iść – powiedziała. – Mamy przed sobą ciężki dzień.

Z Mary uściskały się bardzo serdecznie. Zach pognął na górę, po torby Caer. Potem nalegał, że odwiezie ją do domu. Powiedziała mu, że nie chce robić kłopotu. Najpierw powiedziała to zwyczajnym, uprzejmym tonem, potem powtórzyła bardzo stanowczo i Zach zaczął się zastanawiać, czy Caer przypadkiem nie mieszka bardzo skromnie. Woli, żeby on jej domu nie oglądał, nawet tylko z zewnątrz.

Ale jej torby z zakupami pochodziły z najdroższych sklepów.

Potem przyznała się, że chce jechać do szpitala, sprawdzić, co z Seanem. Wtedy on znów zaczął nalegać, żeby jechali tam razem. Caer, po wysunięciu kilku argumentów na „nie”, w końcu poddała się.

Godziny odwiedzin dawno minęły, nikt jednak jakoś nie próbował ich zatrzymać. Ochroniarzowi przy drzwiach Caer powiedziała grzecznie „dobry wieczór”. On, oczywiście, głupio się uśmiechnął i wlepił w nią oczy, ale nie protestował, kiedy razem z Zachem pomaszerowała do wind. Równie bez problemu minęli pokój pielęgniarek i cichym korytarzem podążyli do pokoju Seana.

Dopiero kiedy dochodzili do drzwi, ktoś na ich widok zareagował. Wynurzył się z ciemnego kąta. Pielęgniarz. Wysoki, mocno zbudowany, o grubo ciosanej twarzy.

– Flynn? – spytał cicho.

– Travis?

– Tak.

Zach zaczął przedstawiać mu Caer, ale Will Travis przerwał mu z uśmiechem:

– Poznaje, poznaje. Widziałem pannę Donahue, jak czuwała przy panu O'Rileyu.

– Jak sytuacja? – spytał Zach.

– Spokojniutko.

– Czy pani O'Riley jest przy mężu?

– Wpadła tu na moment jakąś godzinę temu. Wyraźnie była niezadowolona, kiedy powiedziałem jej, że jestem przyjacielem twojego brata i dostałem instrukcje, żeby ani na chwilę nie zostawiać pana O'Rileya samego. Oczywiście, musiała się z tym pogodzić. Pan O'Riley o dziesiątej wziął swoje leki, dostał też coś na sen. Pilnuję go przez cały czas.

– Teraz ja zostanę przy nim – oznajmiła Caer.

– My – poprawił Zach. – My zostaniemy. Natychmiast zaprotestowała.

– Dlaczego „my”? Nie lepiej, żebyś wyspał się porządnie w hotelowym łóżku?

– Wszystko mi jedno, gdzie będę spać. Do dyskusji włączył się Will.

– Żadne z was nie musi tu zostawać. Mam ogromny dług wdzięczności wobec Aidana. Zostaję tu na całą noc, tak sobie zresztą już zaplanowałem.

– Will, dzięki. My tutaj zostajemy – powiedział Zach bardzo stanowczym głosem i Travis już nie oponował.

– W porządku. Jestem pod komórką. Gdyby coś się działo, dzwońcie.

Zach sam nie wiedział, dlaczego wręcz obsesyjnie zależało mu na pozostaniu w szpitalu. Teraz, kiedy zostawała tu Caer. Bo przedtem bez żadnych oporów opuścił to miejsce, wierząc zapewnieniom Aidana, że Will jest facetem niezawodnym.

W pokoju była kozetka. Zach zażądał stanowczo, żeby zajęła ją Caer, sam zadowolił się krzesłem. Ustawił je sobie pod ścianą, usiadł. Mrok, rozproszony tylko trochę przytłumionym światłem wpadającym z holu i cichutki szum w kaloryferach otulały go jak koc. Próbował walczyć z opadającymi powiekami, ale oczy zamykały się same.

Zasnął.

Bridey odnosiła wrażenie, że w ciągu ostatnich nocy śni jej się więcej niż zwykle. Sny są cudowne, kolorowe. Barwy intensywne jak na filmach HD, które lubił wypożyczać Sean.

Spała. Świadoma, że śpi, że już prawie świt, a w Irlandii zbliża się południe. Sean jest w drodze, wieczorem powinien być już w domu. Razem z nim przyleci Zach. Kochany Zach, który rozwiąże wszystkie zagadki.

Wszystko to wiedziała. A śniła jej się Irlandia. Rozległe wzgórza porośnięte lasem, ciche doliny, wszystko było takie realne. Trawa pod jej stopami mokra od rosy, cudowna. Powietrze czyste, aż słodkie...

Znów była młoda i piękna. Znów biegła po mokrej trawie do chaty w dolinie.

Przed chatą stał człowiek.

Eddie.

Biegła do niego, pełna niepokoju. Była coraz bliżej, nagle zaczęła zwalniać. Zdumiona, bo z twarzy Eddiego znikły wszystkie zmarszczki i bruzdy, wryte przez czas, wicher i ciężką pracę. Twarz była świeża, gładka, bez jednej zmarszczki. Tak jak jej twarz teraz.

Eddie. Był dla niej jak syn, podobnie jak Sean. Nigdy nie miała męża, nie miała własnych dzieci. Ale Sean to przecież ta sama krew. A Eddie po prostu należał do rodziny. Sean i Eddie. Jej chłopcy. Tak ich nazywała. Razem pracowali, razem namiętnie drażyli przeszłość, szukali skarbów, złotych monet i klejnotów, które zaginęły przed wiekami. Ocean kochali chyba bardziej niż swoje kobiety, które w ich życiu przecież istniały. Choć Eddie nigdy nie zdecydował się na małżeństwo, a Sean był powtórnie żonaty.

– Bridey!

Eddie machał do niej. Ten inny Eddie, bardzo młody mężczyzna, chłopak jeszcze. Jak wtedy, kiedy przynosił jej kwiaty w Dzień Matki i nigdy nie zapomniał uhonorować jej w taki czy inny sposób w dniu Świętego Patryka.

Biegła dalej po trawie. Do Eddiego. Biegła co siłą, ale nie mogła dobiec. Miała wrażenie, że Eddie oddala się od niej.

Zacząła wołać, zrozpaczona.

– Eddie! Zaczekaj! Eddie!

– Nie mogę, Bridey! Jeszcze nie pora! Nie możesz tu jeszcze przyjść, ale nie martw się. Będę czekał na ciebie!

– Ale powiedz, Eddie, powiedz, gdzie jesteś?! Szukamy ciebie!

– Mnie?!

Chyba był tym zaskoczony.

– Nie mogę ci nic powiedzieć, Bridey, bo sam wiem bardzo mało. I zbyt wiele nie potrafię zrozumieć. Kocham cię, Bridey!

– Eddie, mój chłopcze! My wszyscy cię bardzo kochamy!

– Wracaj teraz, Bridey! Wracaj! Będę czekać na ciebie...

Znikł. Ale nadal wyczuwała jego obecność. Chociaż go już nie widziała. Znikła też chata, nie czuła już słodkiego zapachu mokrej trawy unoszącego się w powietrzu.

Pod stopami nie było już miękkiej mokrej trawy, tylko coś twardego. Stare kości bolały, czuła przejmujący chłód.

Stała na podłodze. Przy oknie. Czyli we śnie wstała z łóżka.

Dotknęła szyby. Lodowata.

Spojrzała na zatokę, tam, gdzie zaginął Eddie, i ponownie uświadomiła sobie, że zna prawdę. Eddie nie żyje.

Poczuła strach, okropny strach, ściskający za gardło. O Seana. Co z nim będzie? Przecież nie może go stracić, nie może stracić ich obu, swoich ukochanych chłopców! Los nie może okazać się wobec niej tak okrutny.

Stare serce kołatało się w piersi. Och, byle do wieczora... Wieczorem wszyscy będą już w domu. Wszystko jakoś się uładzi.

Czy na pewno?

Blade światło księżyca nagle zgasło. Została tylko ciemność. Dziwna ciemność. Nie była to nieruchoma czerń, tylko skrzydła, przeogromne, zasłaniające światło. Czuła, jak poruszają się, powoli, ostrożnie... Czuła delikatne muśnięcia na policzkach.

Powinna się bać, a nie czuła ani odrobiny lęku. Stare serce znów zaczęło bić równym rytmem.

Te skrzydła... dobry znak. Ktoś jej wysłuchał. Eddie nie żyje, ale Sean szczęśliwie powróci do domu. Sean będzie żył.

Ile spał? Godzinę, może dwie. Oczywiście, spał jak zając. Obudził się od razu całkiem przytomny, wyteżając słuch.

W pokoju, oprócz niego, Seana i Caer był jeszcze ktoś. Na pewno. I nie była to pielęgniarka ani żaden inny pracownik szpitala. Zach wyczuwał to swoim szóstym zmysłem.

Ten ktoś wszedł tu cicho, nie zdając sobie sprawy z obecności Zacha i Caer.

Intruz – a może napastnik? – miał na sobie płaszcz, niby nic nadzwyczajnego. Ale ten płaszcz jakoś dziwnie się świecił. Poza tym on – ona? – miał na głowie kapelusz o przedziwnym kształcie.

W pierwszej chwili Zach, czując normalny w takiej sytuacji skok adrenaliny, miał zamiar rzucić się na tajemniczego przybysza. Ale nie zrobił tego. Bo sam nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, kiedy usłyszał głos tajemniczego przybysza.

Słodziutki.

– Sean, kochanie?

Amanda.

Rozchyliła poły płaszcza. Pod spodem miała tylko komplet bielizny, bardzo skąpy, z przezroczystego materiału. Zarówno figi, jak i biustonosz ozdobione były małutkimi lampkami na choinkę, stąd to światło. A dziwny kapelusz okazał się czapką Świętego Mikołaja.

– Kochanie! Przyszła twoja Amanda! Przyszła, żebyś szybciej wyzdrowiał!

Płaszcz opadł na podłogę. Miała na sobie stringi, nagie pośladki jarzyły się od lampek na czerwono i zielono.

– Amanda? – spytał zaspanym głosem Sean, wyrwany z głębokiego snu.

Zach wstał i odchrząknął. W tym samym momencie zapaliło się światło.

Amanda podskoczyła, jej spłoszony wzrok przemknął dookoła i zlokalizował Caer, która wstała z kozetki. To ona zapaliła górne światło, a Zach pomyślał złośliwie, że Caer w ubraniu, z włosami w nieładzie i zaspanymi oczami, wygląda o wiele bardziej uwodzicielsko niż prawie goła idiotka w cudacznym przebraniu.

Amanda była wściekła.

– A co ty robisz w pokoju mojego męża, w środku nocy? – spytała, wbijając wzrok w Caer.

– Jestem jego pielęgniarką. Zapomniałaś? – odparła Caer bardzo spokojnym głosem. – Nie pamiętasz też, co mówili lekarze? Twojemu mężowi potrzebny jest absolutny spokój.

– Och! Czyżby?

Amanda odwróciła się na pięcie i spojrzała na Zacha. Jej twarz wyraźnie złagodniała. Czyli pani O'Riley generalnie lubiła mężczyzn, zdecydowanie nie darząc sympatią kobiet.

– Zach, dobrze wiesz, co byłoby dla niego najlepszym lekarstwem.

Zach przede wszystkim starał się utrzymać wzrok na wysokości jej twarzy. Wymagało to trochę wysiłku, ponieważ biust Amandy był naprawdę imponujący. Prezent ślubny od Seana. Teraz, kiedy dodatkowo migotały na nim lampki, zdecydowanie przyciągał męski wzrok.

– Słyszałaś, jakie są zalecenia lekarzy?

– Daj spokój...

Amanda wyduła pogardliwie wargi. A do pokoju wkroczyły jeszcze dwie osoby. Pielęgniarka z nocnego dyżuru i przebrany za pielęgniarza Will Travis, który, jak się okazało, mimo polecenia Zacha, wcale nie pojechał do domu.

Will Travis wybuchnął śmiechem.

Pielęgniarka, wysoka, krzepka kobieta, była oburzona.

– Nie wierzę własnym oczom!

– A jednak to prawda... – mruknęła zjadliwie Amanda.

– Amando, kochanie, nałóż płaszcz – powiedział Sean, który zdążył się już całkiem dobudzić. – Proszę!

– Już dobrze, dobrze...

Amanda zręcznym ruchem zgarnęła z podłogi płaszcz, zaczęła go nakładać, czemu towarzyszył podniesiony głos pielęgniarki o posturze boksera.

– Pani O'Riley! Chciałabym panią poinformować, że tego rodzaju zachowań nie toleruje się w naszym szpitalu. W żadnym! Pani mąż jest

chory, a pani zakłóca mu spokój. W taki sposób! Teraz, kiedy pani mąż powinien wypaść się przed długą podróżą!

– Oczywiście – burknęła Amanda, zerkając na Seana, w którego oczach wyraźnie zapaliły się wesołe iskierki.

– Przepraszam, kochanie – powiedziała skruszonym głosem. – Chciałam cię rozweselić...

– Pani O'Riley, proszę stąd wyjść! – zakomenderowała pielęgniarka.

– Ja? Chwileczkę! – zaprotestowała Amanda. – Jestem jego żoną!

– Ale nie jest pani osobą godną zaufania!

– Kochanie, nie opieraj się. Za kilka godzin wyjeżdżamy... – odezwał się łagodnym głosem Sean. Starszy pan tą sytuacją był wyraźnie rozbawiony i chyba trochę dumny. Czemu nie można się było dziwić. Siedemdziesiątka dawno już mu stuknęła, a żonę miał młodą i piękną.

– Zach... – mówił dalej – moja Amanda chciała mnie trochę rozerwać. Ale faktycznie, powinienem się jeszcze trochę zdrzemnąć. Czy mógłbyś odwieźć Amandę do hotelu?

Zach spojrzał na Caer. Spokojnie wytrzymała jego wzrok. Było jasne, że Caer zostaje tutaj. Także Will Travis, fałszywy pielęgniarz, co do tego Zach nie miał najmniejszych wątpliwości.

Czyli nie pozostaje mu nic innego, jak spełnić prośbę Seana.

– Amando, jedziemy do hotelu. Jutro rano trzeba wstać bardzo wcześnie.

Amanda z ponurą miną skinęła głową. Ale do męża uśmiechnęła się promiennie.

– Pa, kochanie. Jak to dobrze, że jutro wieczorem będziemy już w domu.

– Gdzie nadal przez jakiś czas trzeba będzie zachować powściągliwość – oświadczyła chłodno Caer. – Czy zdajesz sobie sprawę, że to mogło się skończyć tragicznie?

– Chciałam tylko pomóc mężowi wyzdrowieć! – oświadczyła Amanda, spoglądając na Caer niemal prowokująco. Podeszła do Seana, pocałowała go w czoło. Sean objął ją i przytulił do piersi.

– Wracaj, kochanie, do hotelu.

– Dobrze, kochanie – powiedziała, prostując się z wielką godnością. Niestety, zamierzony efekt psuły lampki, nadal migoczące pod płaszczem.

Była już w drzwiach, kiedy Sean zawołał.

– Kochanie!

– Tak?

– Twój biust nadal świeci jak neon!

Wsunęła rękę pod płaszcz. Musiała mieć tam jakiś wyłącznik. Lampki zgasły, Amanda z dumnie uniesioną platynowo-blond głową opuściła pokój.

Zach ruszył za nią. Po drodze zerknął na Caer, która nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. Ale jej oczy wcale się nie uśmiechały. Zach był pewien, że Caer, tak samo jak on, zastanawia się teraz, czy Amanda faktycznie zjawiała się tutaj z miłości do męża.

Jeśli była świadoma stanu jego serca, była też świadoma, że dla Seana upojna noc oznaczała wyrok śmierci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W samolocie Amanda siedziała obok Seana, Zach obok Caer, która przedtem przyznała się, że nigdy dotąd nie korzystała z tego środka komunikacji. Sądząc po jej obecnym zachowaniu, mówiła prawdę.

Była spięta. Bardzo spięta, trudno było tego nie wyczuć. Zach jednak, wstyd przyznać, nie tylko na to zwrócił uwagę. Także na to, jak miło siedzieć obok Caer, czując jej ciepło i subtelny zapach perfum. W sumie dziwne odczucia, skoro ta kobieta znajduje się na jego liście podejrzanych. Na jego wyczucie absolutnie zataiła coś przed nim, chociaż, co było najdziwniejsze, kiedy czuwała przy Seanie, wydawała mu się najbardziej otwartą, uczciwą kobietą na świecie.

Tuż przed startem samolotu stewardesa przyniosła szampana, sok pomarańczowy i mimozy.

– Nie trzeba – rzucił półgłosem Zach, widząc, jak Caer sięga do torebki po pieniądze. – W pierwszej klasie gratis.

Schowała z powrotem pieniądze, podziękowała stewardesie i wzięła sobie mimozę. A potem wyraźnie zajęła się swoimi myślami.

O czym myślała? Może była zmartwiona, że będzie miała do czynienia z Amandą?

Pod wieloma względami małżeństwo tych dwojga – Sean plus Amanda – było jak dwie strony medalu. Sean, bardzo uprzejmy, świetnie ułożony człowiek, szanował bliźnich. Jego żona Amanda – nie. Sean ciężko pracował na swoje pieniądze. Amanda wzięła z nimi ślub. Nie kryła, że uważa siebie za coś o wiele lepszego niż osoby zatrudnione przez O'Rileyów. Dotyczyło to również Caer, do której Amanda od początku

nastawiona była bardzo nieprzychylnie. Absolutnie nie widziała potrzeby zabierania do Stanów pielęgniarki. Sean jednak nie ustąpił. A kiedy Sean coś postanowił, nawet Amandzie nie udawało mu się tego wyperswadować.

Pozostawała nadzieja, że Amanda, co chwilę rzucająca złe spojrzenia na Caer, nie poświęci całej podróży na obmyślanie, jak obrzydzić jej pobyt w Stanach.

Kiedy samolot wjechał na pas startowy i zaczął nabierać szybkości, palce Caer kurczowo zacisnęły się na poręczach fotela.

– Wszystko w porządku – powiedział Zach, przykrywając dłonią jej rękę. – Samolot, żeby wzbić się w powietrze, musi nabrać szybkości.

– Ro... rozumiem – powiedziała cicho, ale widać było, że wcale nie poczuła się pewniej. Dlatego Zach dalej trzymał rękę na jej dłoni. Samolot oderwał się od ziemi, poszedł w górę, wyrównał i pofrunął przed siebie. Dopiero wtedy Zach powoli cofnął rękę.

To był długi lot. Caer, nie zwracając uwagi na lodowate spojrzenia Amandy, co jakiś czas podchodziła do Seana, żeby spytać, jak się czuje i upewnić się, czy wziął swoje lekarstwo. Zach natomiast starał się w ogóle nie spoglądać na Amandę. Podejrzewał, że już do końca życia, kiedy na nią spojrzy, przed jego oczami natychmiast pojawi się obraz wspaniałych piersi przystrojonych lampkami na choinkę.

Pomógł Caer nałożyć słuchawki, potem uśmiechał się pobłaźliwie, kiedy Caer rozplýwała się nad podobno wyjątkowo smacznym kurczakiem z makaronem. Takie danie wybrała sobie na lunch. Wypiła też kieliszek szampana, zauważył jednak, że piła bardzo powoli, rozkoszując się jego smakiem. Po lunchu zdrzemnęła się trochę, Zach też na moment pozwolił sobie przebywać w objęciach Morfeusza. Kiedy obudził się, zauważył, że

większość pasażerów – mimo że lecieli w dzień – oddaje się tej właśnie czynności. Śpi. Także Sean i Amanda.

Wstał, przeciągnął się i podszedł do Seana. Czuł się trochę głupio, jak świeżo upieczony ojciec, który wpatruje się w oseska, sprawdzając, czy dziecko oddycha.

Głupio nie głupio, wszystko może się zdarzyć...

Sean oddychał.

Kiedy wracał na swoje miejsce, zauważył, że Caer już się obudziła. Siedziała zamyślona i przyglądała mu się. Kiedy przechwyciła jego wzrok, uniosła znacząco brew i wskazała głową na Seana. Zach skinął głową, dając do zrozumienia, że z Seanem wszystko w porządku.

Przed wylądowaniem podano obiad, ponieważ z powodu różnicy czasu przylatywali do Nowego Jorku w nocy. Caer chyba była zachwycona, że znowu będą jeść. Ale kiedy wylądowali na lotnisku Kennedy'ego i wysiedli z samolotu, była przede wszystkim oszołomiona. Dublin jest metropolią, nikt jednak tak naprawdę nie zdaje sobie do końca sprawy, jaki jest Nowy Jork, dopóki nie zobaczy na własne oczy tych nieprzebranych tłumów ludzi, poruszających się z niebywałą prędkością. Dopóki nie usłyszy tego jedyne go w swoim rodzaju nowojorskiego gwaru, zlepku wszystkich języków świata.

Z samolotu Caer wyszła śmiałym krokiem i natychmiast zatrzymała się, zapatrzona, chłonąc całkiem dla niej nową rzeczywistość.

– Idziemy! Idziemy! – rzuciła chłodno Amanda, mijając ją szybkim krokiem. – Mamy mało czasu na przesiadkę na następny samolot.

Sean jechał na wózku inwalidzkim, wózek pchał pracownik lotniska. Ten wózek czekał na Seana. Był bardzo z tego powodu niezadowolony, ale

wszyscy, z Amandą włącznie, zgodnie orzekli, że absolutnie ma z niego skorzystać.

Przeszli przez odprawę celną w przyzwoitym czasie, przemieścili się do innego terminala i wsiedli do o wiele mniejszego samolotu, który miał zawieźć ich do stanu Rhode Island. Kiedy sadowili się w swoich fotelach, Caer znów zrobiła się podejrzenie blada.

– Zach, czy w tym samolocie też podadzą szampana? – spytała szeptem.

– Nie – szepnął Zach. – Ale można kupić alkohol. Caer poczerwieniała.

Po jednej stronie samolotu były pojedyncze fotele, po drugiej fotele podwójne. Zach znów siedział obok Caer, przed nimi Amanda i Sean.

I znów podczas startu Caer kurczowo chwyciła się za poręcze fotela. Tym razem, kiedy Zach przykrył dłonią jej dłoń, uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Nie był to łagodny lot. Samolotem rzucało, w rezultacie, chociaż lecieli już ponad kwadrans, Caer nadal trzymała Zacha za rękę.

– To krótki lot – wyjaśnił Zach. – Lecimy nisko, poza tym samolot jest o wiele mniejszy, leci wolniej, stąd trochę atrakcji. Ale nie ma powodu do niepokoju. Wyobraź sobie, że wypłynęłaś w morze i statek kołysze się na falach.

Caer skinęła głową, jednak jego ręki nadal nie puszczała. Przez cały lot – krótki, jak zapowiedział Zach.

Przed terminalem w Providence czekała na nich limuzyna. Zach razem z kierowcą upchnęli bagaże – było tego sporo – i ruszyli w drogę do domu. Caer wcale nie była speszona limuzyną. Przeciwnie. Zach zauważył, że

bardzo jej się tu podobało, przede wszystkim butelki z napojami w zabudowanych półkach.

– Poproszę o wodę – odezwał się Sean.

Chwilę potem Zach usłyszał znudzony głos Amandy:

– A ja o whisky.

Caer podała Seanowi wodę, a Zach odszukał wśród licznych buteleczek whisky.

– Z lodem? – spytał.

– Nie trzeba. Po prostu podaj mi butelkę. Muszę się wzmocnić, zanim stawię czoło furii.

– Ma na myśli Kat – mruknął Zach do Caer, wzruszając lekko ramionami. – No cóż... Ludzie różnie postrzegają innych...

– Oczywiście, panie Flynn! – powiedziała Amanda podirytowanym głosem, po czym spojrzawszy na Caer, zniżyła głos i dokończyła prawie konfidencjonalnym szeptem, jakby nagle stały się najlepszymi przyjaciółkami: – Dla niego ona jest aniołem. Dzięki niej robi kasę...

– Co ty wygadujesz, Amando! – obruszył się Sean. – Zach pomógł Kat na starcie i chwala mu za to. A swoje pieniądze zarabia w agencji. Chłopaki świetnie sobie radzą. Czy wiesz, Caer, że Zach przedtem pracował w policji? W Miami. To miasto koniecznie powinnaś zobaczyć. Na pewno znajdzie się na to czas. Mam nadzieję, że nie będę długo potrzebował opieki pielęgniarstwa.

– Teraz na pewno potrzebujesz – oświadczyła Caer, zgodnie z życzeniem Seana zwracając się do niego na „ty”.

Sean uśmiechnął się.

– Na pewno będę potrzebował podczas świąt. Patrzył na nią, zachwycony, jakby była jakimś wspaniałym prezentem pod choinkę.

Amanda westchnęła i wlepiła oczy w szybę.

Caer zrobiła dokładnie to samo, kiedy wjechali do Newport i mijali okazałe rezydencje i stare dworki, udekorowane świątecznie. Na ogół ciekawie i ze smakiem, chociaż czasami było w tym trochę przesady.

Choinka przed jednym z dworków migotała lampkami na zielono i czerwono. Caer z Zachem wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Oczywiście obojgu natychmiast przypomniał się rozjarzony biust Amandy.

Kierowca zwolnił. Wjeżdżali już na teren posiadłości O'Rileya i Zach od razu zauważył w wyrazistych oczach Caer zachwyt.

Dom O'Rileya, jasno oświetlony, stał dumnie na szczycie wzgórza, na połaci ziemi na pewno większej niż jeden akr. Dom okazały, otynkowany na biało, z masywnymi kolumnami, kopulą i tarasem na dachu. Przystrojony już świątecznie. Na trawniku od frontu stał żłobek, kolumny owinięte były girlandami z ostrokrzewu i jedliny.

Samochód zatrzymał się przed trawnikiem. Zach wysiadł pierwszy i od razu zauważył, że ktoś wychyla się z okna na drugim piętrze i macha do niego. To Bridey.

Drzwi frontowe otwarły się, wybiegła z nich Kat. Krótko ostrzyżona, ruda, jej włosy jednak nigdy jeszcze nie były tak płomieniste. Musiała sobie zrobić koloryzację, teraz jej głowa wyglądała jak kula ognista, frunąca nad trawnikiem.

– Tato! Tato!

– Kociątko moje! – zawołał czule ojciec. Wydawało się, że Kat, przy tej prędkości, wpadnie całym impetem na ojca i oboje wylądują w

limuzynie. Ale nie. Kat wyhamowała metr przed ojcem, zrobiła głęboki wdech i podeszła do niego wolnym krokiem.

Objęła go bardzo ostrożnie, a on przytulił ją tak serdecznie, jakby była dla niego najcenniejszą istotą na świecie.

Z samochodu wysiadła Amanda. Walnęła drzwiami, dając znać, że ona też jest tutaj.

– Witaj, Kat – powiedziała chłodno.

Kat, wtulona w pierś ojca, coś tam wymamrotała.

– Ależ to dziecko kocha ojca! – zauważyła Amanda głosem słodkim jak sacharyna.

Kat odsunęła się od Seana.

– A ojciec, mając już jedno dziecko, bierze sobie drugie, za żonę. Cudownie, prawda?

– Kat, wybacz, mamy gości! – powiedział Sean o ton głośniej.

– Gości? – Amanda spojrzała na Caer prawie z pogardą. – Kat, to panna Donahue, pielęgniarka, którą twój ojciec zatrudnił w Irlandii. A Zach to właściwie rodzina, prawda?

Kat spojrzała na Caer z niekłamany zachwytem.

– Witaj w Rhode Island! – powiedziała z radosnym uśmiechem, wyciągając do niej rękę. Była wniebowzięta. Wiadomo przecież, że tak atrakcyjna pielęgniarka będzie wkurzać jej macochę maksymalnie.

– Witaj, Kat – powiedziała Caer. – Miło cię poznać.

– Mnie też! Bardzo! – wykrzyknęła entuzjastycznie Kat i skupiła się znów na ojcu. – Tato, jak się czujesz, powiedz! Naprawdę lepiej?

– Naprawdę. Mam całe wiadro pigulek i mam Caer, która pilnuje, żebym je łykał. Ale czuję się naprawdę dobrze. Kochani, może wejdziemy w końcu do środka?

– Jasne. Tato, chodź.

Kat wzięła ojca pod rękę i poprowadziła go w stronę domu. Kierowca walczył z bagażami. Amanda przemknęła obok Kat i Seana i weszła do domu pierwsza. Zach i Caer szli za Kat i Seanem.

Z małego domku wyszedł Tom, dozorca. Przywitał się ze swoim pracodawcą i podszedł do kierowcy, żeby pomóc przy bagażach. Cały czas, oczywiście, zerkał z ciekawością na Caer.

Zach trącił żartobliwie Caer łokciem.

– Toma na pewno polubisz. Pochodzi z Irlandii. Przedstawił Caer Toma, który wyraźnie był nią zachwycony. Po chwili wszyscy weszli już do domu, w holu zrobiło się tłoczno i gwarnie. Clara, żona Toma, gospodyni i kucharka, powtarzała w kółko, jak to cudownie, że pan O'Riley wrócił do domu. Bridey obejmowała Seana równie serdecznie jak przed chwilą Kat, wydając głośne okrzyki, wyraz największej radości na widok Seana, który, jak widać, ma się dobrze. Wtórowali jej głośno Cal, młodszy wspólnik Seana, oraz Marni, jego żona. Bridey wycalowała Zacha w oba policzki i powiedziała wiele serdecznych słów, świadczących, że jego widok po prostu ją uszczęśliwił. Swoją przemowę zakończyła stwierdzeniem:

– Skoro ty tu jesteś, wszystko będzie dobrze.

Potem Bridey zobaczyła Caer i Zach zauważył coś dziwnego. Bridey jakby westchnęła i wyraźnie rozedrganą rękę przyłożyła do serca.

Caer wysunęła się trochę do przodu.

– Dobry wieczór – powiedziała uprzejmie, wyciągając rękę. – Jestem Caer Donahue, pielęgniarka pana O'Rileya.

Bridey, nie odrywając od niej oczu, machinalnie uściśnęła jej dłoń.

– Wiem – powiedziała nieswoim głosem. – Wiem już, kim jesteś.

Cały czas patrzyła na Caer tak, jakby zobaczyła ducha.

– Cal, co z Eddiem? – spytał z niepokojem Sean. – Natrafiono na jakiś ślad? Rozmawiałeś z policją?

– Niestety, niczego jeszcze nie znaleziono – odparł Cal.

– A z policją już rozmawiałem.

– Seanie... – odezwała się ciepłutko jego żona. – Może Eddie dokądś wyjechał, chce przeżyć jakąś przygodę! Na pewno wkrótce się odezwie. A ty niczym się nie martw. Myśl o sobie, o swoim zdrowiu.

– Jasne – przytaknął Cal. – Jest teraz z nami Zach, on wszystkiego dopilnuje.

Cal był szczupły, ale sprężysty, chyba silny. Twarz przyjemna, przystojna na swój sposób. Jego żona, bardzo drobna, niższa była co najmniej o głowę. Też sprawiała miłe wrażenie. Taka świeżutka, pogodna i ładniutka, z długimi ciemnobrązowymi lśniącymi włosami.

– Tato! – odezwała się niemal dramatycznym tonem Kat.

– Po tak długiej podróży powinieneś od razu iść do łóżka! Ty...

Ojciec roześmiał się.

– Kat O'Riley, nie przesadzaj! Potrafię jeszcze samodzielnie myśleć!

– A ja potrafię zaprowadzić mojego męża na górę i położyć spać! – oświadczyła Amanda.

– Na górę? O nie! – powiedziała równie stanowczo Kat. – Tata, dopóki nie poczuje się lepiej, będzie spał na dole. Razem z Clarą

przygotowałyśmy ci już pokój. Caer, ty zajmiesz pokój obok pokoju taty. Będziesz blisko, kiedy będzie cię potrzebował.

– W takim razie ja też z wielką chęcią przeniosłabym się na parter – powiedziała oschłym tonem Amanda.

– Kochanie, po co? – zaprotestował Sean. – Zostań w naszym pokoju. Dlaczego ma być pusty i zimny? A ja niebawem tam wrócę.

– Seanie...

– Amando, dosyć. Jestem trochę zmęczony. Przed podróżą nie spałem dobrze, faktycznie powinienem się już położyć. Będę spał tutaj, ty tam. Koniec dyskusji. W końcu to tylko na jakiś czas.

Atmosfera zrobiła się trochę napięta. Na szczęście do akcji wkroczyła Marni. Podeszła do Caer, przedstawiła jej się, przedstawiła też swego męża. Była naprawdę miła, słowa uprzejme, ale w jej oczach, jak zauważył Zach, nie było cienia życzliwości.

Cał przeciwnie. Spoglądał na Caer z pełną aprobatą.

– Witaj w Stanach, Caer. Słyszałem, że Sean przywiezie pielęgniarkę, nie spodziewałem się jednak, że taką śliczną.

– Dziękuję – powiedziała Caer.

– Cal! – zawołał Sean. – Chcę wiedzieć dokładnie, co zostało zrobione w sprawie Eddiego!

– Tato! – To oczywiście znowu interweniowała Kat.

– Jutro z samego rana przyjedzie tu detektyw Morrissey i przekaze ci wszystko osobiście. A teraz, bardzo proszę, idź już wreszcie spać!

Sean wyraźnie miał zamiar protestować, ale głos zabrała Caer.

– Twoja córka ma rację, Seanie. Powinieneś się położyć. I trzeba wziąć tabletki.

– Seanie, posłuchaj się – dorzucił z uśmiechem Cal.
– Musisz jak najprędzej wrócić do formy. Bez ciebie biznes długo nie pociągnie. My...

– Cal! – przerwała mu kategoriycznym tonem żona. – Nie denerwuj szefa!

– Bo i nie ma czym! – oświadczyła Bridey. – Przyjechał Zach i zobaczycie, wszystko będzie dobrze.

Tak orzekła Bridey, ale Kat była innego zdania. Powiedziała o tym Zachowi później, kiedy tylko we dwoje usiedli w kuchni, żeby przy herbacie spokojnie pogadać w cztery oczy.

– Wcale nie będzie dobrze, Zach. Mam przeczucie, że Eddie nie żyje. Ktoś go zabił. Mnie od samego początku to wszystko się nie podobało. Ten pomysł, żeby tata z tą kobietą leciał na drugą stronę Atlantyku. A kiedy Eddie nie przyszedł na przyjęcie, dla mnie był to zły znak...

– Kat, nie przesadzaj z Amandą. Rozmawiałem z lekarzami. Seana przebadano na wszystkie strony, nie znaleziono żadnej trucizny.

Zach sam się sobie dziwił, że wziął nagle w obronę Amandę, która zjawiając się w szpitalu prawie goła, ustrojona w kretyńskie lampki, żeby rozpalić zmysły chorego, starego człowieka, musiała wiedzieć, że może tym go zabić. Z drugiej strony jednak ta sama Amanda była po prostu za głupia, żeby zaaplikować mężowi truciznę, której lekarze w Dublinie nie byli w stanie wykryć.

Kat bezradnie potrząsnęła głową.

– Och, Boże! Czyli ona nawet ciebie owinęła sobie dookoła palca.

– O! Co to, to nie!

– Powiedzmy... Zach, posłuchaj. Bo ja, kiedy tak się nad tym wszystkim zastanawiam... Eddie znika, następnego dnia mój ojciec ląduje w szpitalu w Irlandii. Nie wydaje ci się to podejrzane?

– Oczywiście, że tak. Bardzo podejrzane. Zwłaszcza to, że rozchorował się zaraz po przyjeździe.

– Myślisz, że ojciec został podtruty tutaj, jeszcze przed wyjazdem?!

– Kat, myśleć można wszystko. Niestety, trzeba jeszcze mieć dowody.

– Zach wstał. – Idziemy spać. Już prawie północ. Jutro z samego rana, jak mówiłaś, przyjedzie tu ten detektyw. Bardzo dobrze. Kat, a na dobranoc jeszcze raz przestroga. Nie wolno nikogo oskarżać, póki nie ma się w rękę niezbitych dowodów. Nie zapominaj, że twój ojciec ożenił się z Amandą. Dlaczego? A to już jego słodka tajemnica. Ale zrobił to, a na pewno jest przy zdrowych zmysłach.

Kat prychnęła.

– Owszem. Ale nie wtedy, kiedy chodzi o Amandę!

– Trudno. W każdym razie nie powinnaś wszczynać żadnych kłótni.

Nie wolno ci denerwować chorego ojca!

Kat także wstała i zaczęła zbierać ze stołu filiżanki.

– Dobrze. Postaram się. Zach, a jeszcze tylko powiedz mi, skąd wytrzasnąłeś Caer?

– Po prostu już była. Pracuje w szpitalu, do którego zawieziono twojego ojca.

– Ale cudownie, że to ona! Cudownie!–Kat zachichotała. Podskoczyła do Zacha i złapała go za obie ręce. – Widziałeś, jak Cal gapił się na Caer? Marni była wściekła. Amandę, ile razy spojrzy na Caer, trafia szlag. Ona uważa, że jest super. A postaw ją obok Caer! Przy niej wygląda jak

wyblakła lalka z plastiku! Zach! Ja osobiście jestem Caer wprost zachwycona!

– Tym niemniej pamiętaj, Kat. Żadnych spięć.

– Nie musisz mi tego powtarzać. Będę łagodna jak baranek. Och, Zach! Cudownie, że tu jesteś. Od razu jest całkiem inaczej. Aha! A czy wiesz, że moja płyta ma świetne recenzje? Sprzedaje się coraz lepiej. Mam za co ci dziękować, Zach.

– Dziękuj swojemu talentowi, Kat.

– Nie, Zach. Przede wszystkim dziękuję tobie... -powiedziała cicho, wpatrując się w niego wielkimi orzechowymi oczami. – Detektyw zakochany w muzyce... Dzięki tobie mogłam zacząć robić to, co uwielbiam. A teraz, jako detektyw, chronisz mojego ojca. Dzięki, Zach... – Oczy Kat załśniły podejrzenie. Odwróciła się szybko i ruszyła do drzwi, rzucając jeszcze przez ramię: – Morrissey będzie tu koło dziewiątej. Nie zaśpij. – Nie ma sprawy. Wstanę.

Pewnie. Już o świcie. Bardzo chciał być przy rozmowie Seana z Morrisseyem. Potem koniecznie trzeba będzie pogadać z nim na osobności. Na pewno jakoś da się to zorganizować.

Wyszedł z kuchni. Przeszedł kawałek korytarzem i ostrożnie uchylił drzwi do pokoju, który tymczasowo zajął pan domu. Sean spał, klatka piersiowa unosiła się miarowo. Czyli wszystko w porządku. Zach, zadowolony, zaczął cicho zamykać drzwi, nagle jednak znieruchomiał. Spojrzał w głąb pokoju, na wewnętrzne drzwi do pokoju, w którym ulokowano Caer.

Usłyszał szmery, ciche kroki. A więc Caer już była tam, to dobrze. Nagle przypomniał sobie dość dziwną reakcję Bridey na widok Caer.

Bardzo dziwną... Nieważne. Kimkolwiek by nie była Caer, czuł, że cel jej przyjazdu jest jasny. Opiekować się Seanem i chronić go.

Zamknął drzwi i poszedł do swojego pokoju. Tego samego, który zajmował od lat, przyjeżdżając w odwiedziny do Seana. Pokoju, w którym czuł się jak u siebie. Jak w domu.

Pokój, który przydzielono Caer, przypadł jej bardzo do gustu. Przede wszystkim były tu wewnętrzne drzwi do pokoju Seana, co bardzo ułatwi opiekę nad nim.

Tego wieczoru Sean, człowiek dumny, sam wyszykował się do snu. Stanowczo odrzucił wszelką pomoc. Ale kiedy już leżał w łóżku i posłusznie łykał swoje tabletki, widać było, że jest ledwo żywy. Następnego dnia rano miał obejrzeć go lekarz. Caer, po dokładnym przestudiowaniu książki od Michaela, była przygotowana do udzielania odpowiedzi na jego pytania. Lekarstwa Seana – łagodny środek nasenny, lek na żołądek, zapobiegający powtórzeniu się poprzednich sensacji, lek na ciśnienie krwi, na serce i witaminy – wzięła do siebie. Kat i Clara były jak najbardziej za tym, żeby lekarstwa były u pielęgniarki. Amandy nie pytano o zdanie z powodu jej nieobecności. Bardzo szybko poszła na górę odświeżyć się po podróży.

Caer rozpakowała się, umieściła swoje rzeczy w szufladach, w szafach i jeszcze raz ogarnęła spojrzeniem cały pokój. Nieduży, ale bardzo elegancki. Stało tam wielkie staroświeckie łóżko saniowe, podłoga zasłana była miękkimi perskimi dywanami, beżowo-niebieskimi. Duża szafa i szafki przy łóżku z lśniącego twardego drewna. A gdyby zapragnęła rozrywki, miała do dyspozycji telewizor z wielkim ekranem, cieniutkim jak listek mięty.

Łazienka zastawiona była wszystkim, czego dusza zapragnie. Mydła, szampony i odżywki, sól do kąpieli, balsamy do ciała i mnóstwo jeszcze innych rzeczy.

Caer wstała, podeszła cicho do wewnętrznych drzwi

I uchyliła je. Widziała w półmroku, jak klatka Seana podnosi się miarowo i opada. Spał.

Zamknęła drzwi. Usiadła w nogach łóżka, zamknęła oczy i zrobiła w duchu króciutki przegląd mieszkańców tego domu i przyległości. A więc Sean – same superlatywy. Amanda. Wiadomo już, co to za ziółko. Zach. Pozytywnie. Chyba zaczyna ją za bardzo interesować. Bridey. Jej reakcja, kiedy poznały się, niepokojąca. Podejrzewała Caer. Kat... Caer musiała się uśmiechnąć. Kat za swoim tatą poszłaby w ogień. Do Amandy, delikatnie mówiąc, nie czuje sympatii. Tom i Clara na pierwszy rzut oka ludzie bardzo przyzwoici, lojalni wobec szefa. Cal i Marni. Cal chyba prostolinijny, szczerzy człowiek. Marni też szczerza – wcale nie ukrywała, że obecność Caer w tym domu wcale jej nie cieszy.

Ileż różnych emocji – dobrych i złych – pod tym jednym dachem! A Sean łudzi się, że uda mu się zachować tu pokój...

Sean. Komuś zdecydowanie przeszkadza, że Sean żyje. Komu? Z listy podejrzanych Caer mogła skreślić tylko dwie osoby. Bridey i Zacha. Zacha tylko dlatego, że nie było go na Rhode Island, gdy zaginął Eddie. Nie było go też w Irlandii, gdy rozchorował się Sean.

Zach Flynn był dokładnie taki, jakim na pewno chciał być. Silny, pewny siebie, dobry fachowiec. Wszystkie techniki śledcze ma na pewno w małym palcu. Czyli wielki plus, że oprócz Caer jest tu jeszcze ktoś, kto potrafi prowadzić śledztwo.

Niestety, śledztwo polega na dochodzeniu prawdy. Zach sprawiał wrażenie człowieka, który nie spocznie, póki nie osiągnie celu.

I to było niepokojące. Caer nie mogła sobie pozwolić, żeby Zach doszedł prawdy o niej.

W tym momencie jednak nie miała ochoty nad tym się zastanawiać, bo bardzo chciało jej się pić. Kat, oprowadzając ją po domu, powtarzała kilkakrotnie, że Caer ma się czuć tu swobodnie i brać sobie z kuchni wszystko, czego jej potrzeba. O dowolnej porze.

Wyszła na korytarz. W całym domu panowała cisza wręcz ogłuszająca. Wszyscy prawdopodobnie byli w swoich pokojach. O ile już nie spali.

Weszła do kuchni, gdzie natychmiast zauważyła, że zamiast banalnej kuchenki jest rewelacja – prawdziwy piec kuchenny. Czajnik natomiast to prawdziwe dzieło sztuki z polerowanej miedzi.

Zaczęła nalewać wodę do czajnika. Nagle znieruchomiała, wyczuwając za sobą czyjaś obecność.

Odwróciła się. W kuchni była Bridey. Drobniutka staruszka z twarzą pomarszczoną jak suszone jabłuszko. Pomyślała, że Bridey w ciągu swojego długiego życia musiała uśmiechać się bardzo często.

Teraz się nie uśmiechała.

– Wiem, kim jesteś, Caer. Ale nie wiem, dlaczego tu jesteś.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zach nie mógł zasnąć. Był usprawiedliwiony – sytuacja, w jakiej się znalazł, nie należała do najłatwiejszych. Jego zadaniem było ustalenie, czy pana domu, w którym Zach aktualnie przebywał, ktoś faktycznie próbuje zamordować, czy nie. Zdaniem córki owego człowieka potencjalną morderczynią była jego żona.

Rzucił się na łóżku godzinę, dwie. W końcu poddał się. Wstał, nałożył szlafrok i na bosaka powędrował do kuchni.

Ale tam nie wszedł, bo w kuchni ktoś był. Słyszał wyraźnie cichy szmer rozmowy. Zatrzymał się więc i nadstawił uszu, mimo że podsłuchiwanie wcale nie było jego ulubioną techniką śledczą. Ale czego się nie robi dla dobra sprawy...

Niestety, rozmawiano bardzo cicho. Nie rozumiał ani słowa. Chociaż rozmówczynie rozpoznał. Caer i Bridey.

Nie pozostawało mu nic innego, jak wejść do środka. Zrobił to, bardzo zadowolony, że jest na bosaka, choć w miejscach, gdzie nie było dywanu, podłoga z twardego drewna była bardzo zimna. Niestety, brak obuwia, dzięki czemu poruszał się bardzo cicho, na niewiele się przydał. I tak niczego nie usłyszał. Po prostu panie zakończyły rozmowę i Caer zajęła się nastawianiem wody.

Bridey na widok Zacha rozpromieniła się.

- Napijesz się z nami herbaty, prawda, Zach? – spytała rozradowana, już idąc do kredensu po jeszcze jedną filiżankę.
- Z wielką przyjemnością, Bridey. Po to tu przyszedłem.
- Robimy czarną herbatę – odezwała się Caer. – Żadne ziółka!

– Ziołowa? Fuj! – Zach skrzywił się, potem uśmiechnął.

Obie panie zakrzętnęły się. Caer nasypała herbaty do małego zaparzacza ustawionego na imbryku i przelała go wrzątkiem. Bridey porozstawiała filiżanki, przyniosła cukier, mleko w dzbanuszkach, łyżeczki i serwetki. Cały czas mamrocząc pod nosem:

– Na pewno mamy tu gdzieś kruche bułeczki... Na pewno...

– Nie rób sobie kłopotu, Bridey – powiedział Zach, ale nie ustępowała.

– Musisz zjeść bułeczkę. Zaraz znajdę.

Caer spojrzała na Zacha, wyraźnie rozbawiona, a Zach spojrzał na Caer. Miała na sobie jasnoniebieski flanelowy szlafrok, kołnierz szlafroka przykryty kaskadą kruczoczarnych włosów. Oczy Caer, w zestawieniu z jasnym szlafrokiem, przybrały kolor szafirów. Pod szlafrokiem miała piżamę, na nogach kaptcie. Wszystko było nowe. Zach natychmiast przypomniał sobie jej torby z zakupami przed wyjazdem. Torby z najdroższych sklepów.

– Siadaj, Zach! – rzuciła przez ramię Bridey, nadal zajęta tropieniem bułeczek. – A my przed chwilą rozmawialiśmy o Irlandii, o starych obyczajach.

– Ciekawe – mruknął Zach.

Raptem w środku nocy zachciało im się rozmawiać o irlandzkich obyczajach! Niestety, jakoś trudno mu było w to uwierzyć. Więcej – czuł, że nie była to rozmowa na błaży temat. Z wielką chęcią dowiedziałby się, o czym rozmawiały.

Dlatego jutro postąpi według dewizy – divide et impera. Dziel i rządź. Z każdą z nich porozmawia z osobna.

– Aha! – wykrzyknęła triumfalnie Bridey, otwierając pojemnik na chleb. – Mam was, świeżutkie bułeczki z borówkami amerykańskimi! Włożę je na chwilę do mikrofalówki.

Caer postawiła na stole imbryk ze świeżo zaparzoną herbatą i uśmiechając się miło do staruszki, powiedziała:

– Ciepłe bułeczki. Cudownie, Bridey. Zach, a dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Bo jestem przemęczony – wyznał szczerze.

– Nie dziwię się.

Caer zajęła się nalewaniem herbaty.

– Z mlekiem?

– Tak.

– Słodzisz?

– Oczywiście... Dziękuję.

Odebrał od Caer swoją filiżankę z herbatą, odczekał chwilę i zapytał, niby mimochodem:

– A o czym żeście tak rozmawiały, o tej Irlandii?

– O starych wierzeniach – poinformowała Bridey. – O leprikonach, o banshee...

– Chyba nie wierzysz w leprikony, Bridey.

– Ja wierzę – oznajmiła Caer. – Trzeba traktować je z szacunkiem. Wystarczy, że obrazisz jednego, do końca życia będziesz miał pecha.

– Oczywiście... – mruknęła Bridey. – Jej Wysokość Amanda ledwo postawiła nogę na irlandzkiej ziemi, już obraziła leprikona i dlatego Sean się rozchorował.

Czyli Bridey ewidentnie nie przepadała za Amandą.

– A czym go raptem mogła obrazić? – spytał Zach.

– Ona uważa, że miłość do starego kraju to bzdura. Przeszłość dla niej w ogóle nie istnieje! Och, Boże! Sean zawsze był człowiekiem bardzo rozsądnym! A ożenił się z ptasim mózdzkiem! Ale cóż... człowiek zakochany zawsze traci rozum.

Bridey, westchnąwszy, wyjęła z mikrofalówki talerz z bułeczkami i postawiła na stole. Wreszcie sama przy nim usiadła.

– A poza tym... – dokończyła lekko drżącym głosem.

– Eddie nie żyje.

– Eddie zaginął, Bridey – skorygował Zach.

– On nie żyje, Zach. Ja to wiem. Widziałam go we śnie, przychodził do mnie kilka razy. Ty zresztą też wiesz, że on nie żyje i musisz dojść prawdy. Ten zbrodniarz powinien za to zapłacić...

Zach nachylił się ponad stołem, uściśnął lekko obie pomarszczone dłonie staruszki i powiedział miękko:

– Dowiem się wszystkiego. Przyrzekam ci, Bridey.

– Ten sam człowiek zagraża Seanowi!

– Może tak, może nie – powiedział ostrożnie Zach.

– Wszyscy powinniśmy pamiętać, że nie wolno nikogo oskarżać, nie mając w ręku niezbitych dowodów.

– Przecież wiem... – Bridey westchnęła. – Zabierajcie się za te bułeczki, bo ostygną.

Caer odgryzła kawałek ciepłej bułeczki.

– Pyszne, Bridey!

Bridey uśmiechnęła się do niej, Zachowi jednak ten uśmiech wydawał się trochę wymuszony.

– Jest takie powiedzonko – powiedziała Bridey. – Możesz zabrać piekarza z Irlandii, ale Irlandii piekarzowi nie odbierzesz. Możesz wyjechać na zawsze, nigdy jednak nie zapomnisz o starym kraju, jego obyczajach, o tym, czego uczono cię w dzieciństwie.

Uśmiech Caer absolutnie nie był wymuszony.

– I dobrze, że tak jest! Dzięki tobie, Bridey, udaje mi się jakoś wytrzymać z dala od domu.

Bridey pokiwała głową. Minę miała bardzo niewesołą, co jeszcze bardziej utwierdziło Zacha w przekonaniu, że rozmowa, jaką prowadziły Caer i Bridey musiała być bardzo istotna.

Spokojnie. Dowie się, o co chodzi. W swoim czasie. Skończył jeść bułeczkę, dopił herbatę i wstał.

– Dziękuję, Bridey. Teraz na pewno będę spał jak suseł.

Bridey podziękowała mu uśmiechem. Caer też wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. A Zach pomyślał, że ta kobieta nawet w worku wyglądałaby atrakcyjnie, a co dopiero w piżamie i szlafroku. Nic dziwnego, że kiedy tak na nią patrzył, do głowy mu przychodziły same nieprzyzwoite myśli.

Czyli najlepiej już stąd zniknąć.

– Dobranoc!

– Dobranoc – powtórzyły jak echo Bridey i Caer.

Zach wychodził z kuchni z bardzo mieszanymi uczuciami. Przede wszystkim czuł lekki niepokój z powodu tych myśli, które przychodziły mu do głowy, kiedy patrzył na Caer. Może to kolory, te niebieskości plus czerń włosów, tak mu się spodobały? Bzdura, żadne kolory. Pociąga go to, co pod

flanelą, a to bardzo niedobrze. Zanim nie rozszyfruje tej kobiety do końca, nie powinien ulegać jej urokowi.

Nie wspominając już o tym, że nie przyjechał tu romansować.

Bridey najprawdopodobniej ma rację. Eddie nie żyje. I tak jak sugerowała Kat, dwa smutne wydarzenia prawie w jednym czasie to raczej nie jest zbieg okoliczności.

Sean był następnym na liście ofiar.

Detektyw Brad Morrissey był mocno zbudowanym facetem koło czterdziestki. Spokojny, opanowany, siwe włosy ostrzyżone na języka i smutne oczy. Przypominał trochę buldoga. Poza tym fachowiec. Newport na Rhode Island raczej nie słynął z wyjątkowo krwawych morderstw, Morrissey sprawiał jednak wrażenie kogoś, kto naprawdę zna się na rzeczy, szczególnie kiedy składał Seanowi dokładny raport z przebiegu smutnych wydarzeń.

– Straż Przybrzeżna znalazła łódź dryfującą po zatoce Narragansett, tuż przy wejściu do cieśniny Rhode Island. Sprawdziliśmy księgę rejsów. Eddie Ray prowadził ją bardzo starannie. Wpisał do niej nazwisko pasażera i na jak długo wynajął jacht. Odnotował, że zapłacono gotówką. Jeden pasażer, niejaki John Alden. Jacht został odholowany, technicy z naszego laboratorium sprawdzili go bardzo dokładnie. Znaleziono, oczywiście, mnóstwo śladów, Eddiego, innych pracowników waszej firmy oraz członków rodziny O'Rileya. Technicy nadal nad tym pracują, ale nie robimy sobie zbyt wielkich nadziei. Grudzień co prawda mamy ciepły, ale jakby nie było, jest zima, ten Alden prawdopodobnie miał nałożone rękawiczki.

Morrissey siedział z rękoma złożonymi na podolku. Mówił zwrócony twarzą do Seana, co jakiś czas jednak spoglądał na siedzącego obok Zacha, jakby szukał u niego potwierdzenia.

– Nie ma żadnych śladów walki? – spytał Zach.

– Nie. Ręczę głową. Osobiście sprawdzałem łódź. Wszystko było na swoim miejscu. Tylko Eddie i pasażer znikli. Może ktoś ich związał, czymś obciążył i wrzucił do wody. Płetwonurkowie już sprawdzali w wodzie. Nie znaleźli niczego! Na policyjną gorącą linię nikt nie dzwonił. W sumie żadna niespodzianka, nie wiemy przecież, jak wygląda ten Alden i czy jest to jego prawdziwe nazwisko. No cóż... to by było na tyle. Bóg mi świadkiem, panie O'Riley, że wołałbym powiedzieć panu więcej. Niestety, nie znamy jeszcze odpowiedzi na żadne pytanie.

– I już zrezygnowaliście?! – spytał Sean. W jego głosie słyhać było hamowany gniew.

Zach milczał. Morrissey na pewno nie zrezygnował, sprawiał wrażenie policjanta, który będzie szukał i drażył do skutku. Ale Sean, bardzo zaangażowany emocjonalnie, nie potrafił ukryć swego rozczarowania. Czemu nie można się było dziwić.

– Nie, panie O'Riley, wcale nie zrezygnowaliśmy – oświadczył Morrissey stanowczym głosem. – Szukamy dalej.

– Seanie, może ja bym też spojrział na tę łajbę? – zaproponował Zach.

– Znam te jachty, panie Morrissey, i znam wszystkich O'Rileyów. Może uda mi się znaleźć coś, czego ktoś inny nie był w stanie wychwycić.

Morrissey był absolutnie „za”.

– Świetny pomysł. Co prawda jacht oglądała już córka pana O'Rileya, także Cal i jego żona. Ale jeśli pan Flynn ma też ochotę, bardzo proszę.

Jesteśmy otwarci na każdą pomoc, poza tym wcale nie twierdzimy, że jesteśmy nieomylni. I wcale tak szybko nie rezygnujemy, panie O'Riley. Na pewno nie. Panie Flynn, jacht stoi na przystani, nadal jest zabezpieczony taśmą. Pojedziemy tam razem i przeprowadzę pana.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść! – warknął Sean. Do pokoju weszła Kat.

– Tato, trzeba wziąć lekarstwo. Tak powiedziała Caer. Chce ci też zmierzyć ciśnienie. Panie Morrissey...

Spojrzała na Morrisseya z uśmiechem pełnym nadziei.

– Niestety, nic nowego – powiedział detektyw. – Już się zbieram.

– Jadę z panem – oznajmił Zach, wstając z krzesła.

– Dokąd? – spytała Kat.

– Na jacht – powiedział krótko Zach.

– Na „Sea Maiden”... – Kat zastanowiła się przez moment. – Może weźmiesz ze sobą Caer? Amanda jedzie na zakupy, ja zostanę z tatą. A Caer zobaczy przy okazji miasto i ocean. Zrozumie, dlaczego musi tak walczyć z tatą, który ciągle usiłuje wyrwać się z domu. Oczywiście, nad wodę.

– Kat! – Sean spojrzał na córkę, wyraźnie zniecierpliwiony. – Ja przestrzegam zaleceń lekarzy, młoda damo. A stan mojego żołądka jest już idealny.

– Ale stan serca idealny nie jest, tak samo ciśnienie pozostawia wiele do życzenia.

– No... fakt. A co do Caer, masz rację. Dziewczyna powinna ruszyć się z domu.

Detektyw Morrissey wstał.

– Do widzenia państwu. Panie Flynn, poczekam przed domem.

Wyszedł. Sean też wstał. Kat natychmiast podskoczyła do niego i wzięła go pod ramię. Sean zaczął protestować, ale kochał przecież swoją córkę, więc szybko się poddał.

– Zach, weź moje bmw – rzucił na odchodnym. – Będziecie mieli czym wrócić, detektyw Morrissey nie będzie musiał was odwozić. Powiem Caer, żeby do ciebie przyszła.

Zach poszedł do dużej sieni za kuchnią, skąd można było wejść do garażu. Wyjął z szafy swój płaszcz, stanął w drzwiach i czekał na Caer, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

Zjawiła się po kilku minutach.

– Przepraszam, Zach, to nie był mój pomysł. Ale wszyscy uznali, że powinnam rozejrzeć się po okolicy.

– Ja też. A jak tam sytuacja?

– Bridey jest jeszcze u siebie, Amanda też. Kat powiedziała, że jak Bridey zejdzie, Amanda zaraz pojedzie na zakupy.

Zach uśmiechnął się.

– Rozumiem. I Kat będzie mogła sobie sama posiedzieć z ojcem.

– Zgadza się.

– No to jedziemy.

Pojechali na przystań. Zach wjechał na parking i ustawił bmw w miejscu, gdzie stała tabliczka „O'Riley”. Caer wysiadła z samochodu i z wyraźnym zachwytem spojrzała na rzędy jachtów. Było ich mnóstwo, ponieważ firma czarterowa O'Rileya była jedną z wielu. Z tym, że zdecydowanie -miała najlepszą lokalizację, na wąskim kawałku lądu między basenami jachtowymi. Wchodziło się do niej po starych drewnianych schodkach, w środku biuro urządzone bardzo ładnie, w stylu wiktoriańskim.

Inne biura firm czarterowych były zdecydowanie mniejsze, niektóre z nich to po prostu zwykłe budki z okienkiem, w których mieściła się tylko jedna osoba.

Parking ciągnął się wzdłuż nabrzeża, aż do samego końca basenów jachtowych, tam, gdzie z morza wynurzała się wielka granitowa skała. Na końcu parkingu była restauracja, wokół basenów mnóstwo sklepików z pamiątkami, barków i kafejek.

Detektyw Morrissey czekał na Zacha niedaleko biura O'Rileya.

– Caer, chodź – powiedział Zach. – Posiedzisz w biurze, a ja pogadam chwilę z Morrisseyem.

W biurze był Cal z żoną. Cal zajęty papierkową robotą, Marni wycieraniem kurzu z półek, na których stały skarby Seana, zbierane od lat. Szesnastowieczny sekstans, kotwica ze statku wielorybniczego, po którym dawno już nie było śladu, zbiór starych monet amerykańskich i wiele innych interesujących przedmiotów.

Marni powitała ich promiennym uśmiechem. Jak na oko Zacha, chyba nieszczerym.

– Witajcie – powiedziała. Pocałowała Zacha w policzek i skinęła głową Caer.

Cal natomiast powitał ich entuzjastycznie. I nie było w tym żadnego udawania. No cóż, w końcu reakcje jak najbardziej normalne. Cal reagował jak normalny facet. Caer była tak oszłamiająca, że tylko mężczyzna martwy albo o innej orientacji seksualnej nie zwróciłby na nią uwagi. Natomiast Marni, jak większość kobiet, traktowała Caer jak zagrożenie. Vide: reakcja jej męża.

– Jak się czuje Sean, Caer? – spytała Marni.

- Bardzo dobrze.
- A ty zaczynasz zwiedzać Amerykę?
- Nie, pracuję. Jestem zatrudniona do końca tego roku.
- Ale już chodzisz sobie po mieście, prawda? – pytała dalej słodziutko Marni.
- Marni! – rzucił ostrzegawczo Cal.
- Och, przepraszam... – Marni wyraźnie się spieszyła. – Nie chciałam być złośliwa. Ale to przez tę atmosferę, jaka panuje u nas od pół roku. Zdecydowanie nie najlepszą. Kat z powodu małżeństwa ojca jest bardzo nieszczęśliwa. Amanda też jest nieszczęśliwa, kiedy Kat pojawia się w Newport. Biedny Sean, jak on sobie z tym wszystkim daje radę...
- Cal wstał i czule objął żonę ramieniem.
- Marni darzy Seana wielką sympatią. Oboje zresztą martwimy się tą całą sytuacją.
- Jak się nie martwić, skoro doszło do tego, że Kat jest przekonana, że to Amanda chciała otruć jej ojca! – wyrzuciła z siebie dramatycznym głosem Marni.
- Kat po prostu martwi się o swego ojca – stwierdził Zach, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej bezosobowo.
- Jasne... – mruknął Cal. – Tym bardziej że jeśli chodzi o Eddiego, wszyscy mają jak najgorsze przeczucia.
- Cal! – Zach zwrócił się twarzą do Cala. – Powiedz mi dokładnie, co działo się tamtego dnia. Miałeś wtedy też jakiś rejs? A ty, Marni? Ty wiele czasu spędzasz w biurze, prawda?

– Oczywiście, że spędzam w biurze wiele czasu – oświadczyła z oburzeniem Marni. – Nie obijam się. Cal jest w firmie od niedawna, oboje staramy się, to normalne.

– Marni, przecież ja ci niczego nie zarzucam. Po prostu chciałbym wiedzieć, gdzie byłaś, kiedy Eddie wpisywał ten rejs do książki!

– Przepraszam, Zach. Znów się wygłupiłam. Jestem przewrażliwiona. Zaraz, niech pomyślę... Tamtego dnia Sean wyjeżdżał do Irlandii. Wysłałam na miasto kupić mu nowe wełniane skarpety, takie specjalne, które podobno -jakoś tam podtrzymują nogi, kiedy człowiek idzie. Och, dlaczego ja wtedy wysłałam! Może gdyby...

– Marni! – rzucił ostrzegawczym tonem Cal. – Tylko znowu nie zaczynaj! Gdyby Eddie nie zdecydował się na ten rejs w ostatniej chwili, gdyby wtedy był sztorm i nikt nie wypływał w morze... I tak dalej, i tak dalej. Przerabiamy to codziennie.

Marni smutno pokiwała głową.

– A więc, Cal... ? – spytał Zach.

– Co?

– Gdzie ty wtedy byłeś?

– Ja? Och... – Cal spojrzał ze skruchą. – Niestety, w domu. Uciałem sobie drzemkę. Nie mieliśmy wtedy nic do roboty, w firmie był Eddie, więc pozwoliłem sobie na trochę wyjść...

– A może jednak zapamiętałeś coś, jakiś szczegół. Coś nietypowego, co wydarzyło się tamtego dnia?

– Niestety nie, Zach.

– Trudno. Teraz przeproszę was na chwilę. Czeka na mnie detektyw Morrissey. Chcę rozejrzeć się po „Sea Maiden”. Czy moglibyście pokazać Caer przystań i nasze jachty?

– Oczywiście! – powiedziała Marni. – Z wielką chęcią zaprezentujemy panie Donahue naszą małą flotę.

Zach spojrzał na Caer. Na twarzy kamienny spokój. Jeśli była zaniepokojona, że zostaje oddana w ręce zazdrosnej kobiety, nie dawała tego poznać po sobie.

– Z przyjemnością obejrzę jachty – powiedziała z miłym uśmiechem.
– I proszę, mówmy sobie po imieniu.

Zach obiecał, że postara się wrócić jak najszybciej i poszedł na spotkanie z Morrisseyem.

„Sea Maiden”, jako miejsce zbrodni, zabezpieczona była specjalną taśmą. Piękny jacht, trójmasztowiec, urzekający nawet wtedy, kiedy sobie wypoczywał. Nie była to największa jednostka we flocie O'Rileya, ale była ulubienicą wszystkich. Lśniącą, smukłą i uległą, bardzo łatwo było nią manewrować, mógł robić to jeden człowiek. Eddie „Sea Maiden” uwielbiał. Lubił też bawić się w instruktora. Jedną z podstawowych atrakcji, proponowanych przez firmę O'Rileya, było coś w rodzaju ekspresowego szkolenia. Eddie lubił popracować i z młodymi, i ze starymi. Uczyć ich, jak odczytać wiatr i stawiać żagle.

– Może pan wejść na pokład – powiedział Morrissey.

– Technicy skończyli już robotę.

Zach wolnym krokiem przemierzył pokład wzdłuż, od dzioba do rufy, przyjrzał się zwiniętym żaglom, obejrzał luk i zszedł do kajuty. Sprawdził papiery na biurku. Żadnych zastanawiających notatek. Radar funkcjonował

bez zarzutu, tak samo radio. Na ścianach wisiały mapy zatoki Narragansett i cieśniny Rhode Island.

Przeszedł przez kuchnię, główną kajutę, zajrzał do dwóch małych kajut. Wszędzie idealny porządek. Kiedy jednak wracał do schodków, żeby wyjść na pokład, zauważył coś białego, coś, czemu warto było przyjrzeć się dokładniej.

Przykucnął.

Morrisson cały czas szedł za nim krok w krok, nie odzywając się, żeby nie przeszkadzać. Teraz po raz pierwszy otworzył usta.

– Talk.

– Sprawdzaliście to? – spytał Zach.

– Człowieku! Może i nie jesteśmy metropolią, ale laboratorium mamy niezłe. Jasne, że sprawdziliśmy. To talk. Ciekawe, skąd się tutaj wziął. Kto zabiera ze sobą talk na wycieczkę jachtem?

– Ten, kto bierze ze sobą kombinezon płetwonurka – poinformował go Zach.

Morrissey zmarszczył brwi, czyli prawdopodobnie o nurkowaniu miał nikłe pojęcie. Dlatego Zach wyjaśnił mu to dokładniej.

– Kombinezony nurków są bardzo obcisłe, takie zresztą powinny być. Łatwiej nałożyć, jeśli nasypie się do nich talku.

– Myśli pan, że Eddie nurkował?

– Nie. Eddie nigdy nie nurkuje w zimie.

Dziwne, pomyślał Zach. Firma O'Riley wynajmowała firmę sprzątającą. Po każdym rejsie łódź doprowadzana była do porządku. Czyli ten talk musiał wysypać się komuś podczas tego ostatniego rejsu, po którym na pokład weszła nie ekipa sprzątająca, lecz policja.

Załóżmy, że na pokład wchodzi ktoś z zamiarem zabicia Eddiego Raya. Jak potem zniknąć bez śladu? Najlepszy sposób to skok do wody, oczywiście w kombinezonie chroniącym przed lodowatą wodą i umożliwiającym odpłynięcie w bezpieczne miejsce.

Myśli Morrisseya biegły dokładnie tym samym torem.

– Czyli podejrzewa pan, że ktoś wszedł na pokład, zabił Eddiego, wyskoczył z jachtu i odpłynął? – spytał.

– Całkiem możliwe.

– Panie Flynn, czy zdaje pan sobie sprawę, jak zimna jest tu woda o tej porze roku?

– Tak. Ale powtarzam. Jest to całkiem możliwe.

– W takim razie bierzemy się za sprawdzanie sklepów ze sprzętem do nurkowania. Przecież w zimie nikt nie oferuje turystom wycieczki połączonej z nurkowaniem?

– Na pewno nie. Tylko rejs.

– Rozumiem... Ale tak się jeszcze zastanawiam. Zabójca musiał zabrać na pokład butlę z tlenem. Jak to zrobił, że Eddie tego nie zauważył?

– Nie mam pojęcia, panie Morrissey – przyznał Zach. – Poza tym wiadomo, same ślady talku niczego jeszcze nie dowodzą.

– Ale przynajmniej to... Nam niczego nie udało się znaleźć. Chłopaki ze Straży Nabrzeżnej, którzy natrafili na jacht, mówili, że wyglądał jak statek widmo. Nic nie ruszone. Ci, co nim płynęli, nie otworzyli nawet puszek z colą. Niczego nie tknęli.

– A pogoda?

– Ocean gładziutki. Dzień był piękny. Rześko, ale pogodnie. Tylko łagodna bryza.

Zach zastanowił się przez moment.

– Na brzegu nie znaleziono żadnych ciał? Nic?

– Nie. Szpitale sprawdzone. Żadnych niezidentyfikowanych pacjentów. Teraz, jak powiedziałem, biorę się za sklepy ze sprzętem do nurkowania i wypożyczalnie sprzętu. Oczywiście, zrobimy to dyskretnie. Wiadomo, jeśli pańska teoria może okazać się słuszna, lepiej, żeby nikt nie wiedział, że podążamy tym tropem.

– Nasz zabójca prawdopodobnie miał własny sprzęt.

– Może. Ale musiał nabrać tlenu do butli.

– Fakt. Absolutnie jestem za sprawdzeniem tych sklepów i wypożyczalni, panie Morrissey. Czegoś trzeba się w końcu uchwycić.

Pożegnali się. Zach zszedł z pokładu „Sea Maiden” i wrócił do biura Seana, gdzie zastał wszystkich pochylonych nad biurkiem.

– Co robicie? – spytał.

– Oglądamy sobie – powiedział Cal. – Caer tyle już słyszała o Eddiem. Pomyślałem sobie, że obejrzenie starych fotografii może być dla niej interesujące. Poza tym Caer poprosiła, żebym pokazał jej ostatni wpis do księgi rejsów. Ty na pewno też będziesz chciał na to rzucić okiem.

Trzeba przyznać, że panna Donahue jest bardzo dociekliwa.

Zach przechwycił spojrzenie Caer. Jasne, spokojne, nic nie mówiło. Cholera, dlaczego jemu wszystko, co robi Caer, wydaje się podejrzane? Była pielęgniarką, opiekowała się Seanem już w Irlandii. Teoretycznie, gdyby miał wymienić osoby, które jego zdaniem nie mają nic wspólnego z zaginięciem Eddiego, Caer powinna być na jednym z pierwszych miejsc...

Ale dlaczego interesuje ją ten wpis do księgi rejsów?

– Tak, Cal. Bardzo chętnie na to spojrzę – powiedział. – Czy sprawdzali ślady na książce?

– Jasne. Sprawdzali wszędzie. Jak się domyślasz, znaleźli mnóstwo. Między innymi pracowników firmy sprzątającej. Wątpię jednak, czy ten cały John Alden dotykał tej książki. Przecież to Eddie dokonał wpisu.

Zach pokiwał głową i przysunął do siebie książkę.

– Tutaj – powiedziała Marni, wskazując palcem. Eddie starannym pismem wpisał datę, nazwisko pasażera

i pobraną kwotę, z dopiskiem: gotówka. Potem z boku była notatka o trasie. Opłynięcie zatoki, potem do cieśniny. Przesmykiem obok Cow Cay*.

Morrissey powiedział, że łódź odnaleziono jakieś sto metrów od Cow Cay, małej wysepki, teraz niezamieszkałej. Kiedyś osadnicy hodowali tam bydło, stąd wzięła się jej nazwa. Teraz była to własność federalna, administrowana przez Park Service – agencję, która zarządza Parkami Narodowymi. Latem wysepkę nawiedzali tłumnie turyści, ponieważ można było tu legalnie zrobić sobie piknik i przywieźć czworonożnego ulubieńca. Teraz, w grudniu, nie było tam żywej duszy.

** Cow Cay (ang.) – Wyspa Krów. (Przyp. tłum.)*

Jeśli ktoś miał sprzęt do nurkowania, przepłynięcie z miejsca, gdzie znaleziono „Sea Maiden” na Cow Cay nie było żadnym problemem.

– Cal, jakie masz plany na dzisiaj? – spytał Zach.

– Biorę „Sea Lady” i zabieram pewne małżeństwo na dwugodzinny rejs.

– W takim razie ja biorę „Sea Lass”. Caer, zabieram cię ze sobą. Najwyższy czas, żeby irlandzka dziewczyna pokolysała się po Atlantyku.

A przy okazji będzie mógł pogadać z tą dziewczyną w cztery oczy. Może uda się dojść, dlaczego z powodu tej kobiety włącza się w nim bez przerwy jego wewnętrzny sygnał alarmowy.

Zauważył, że Caer trochę zbladła.

– Ale... – zaczęła Marni. Zach spojrział na nią.

– Tak, słucham?

– Och, nic. Rób, co chcesz.

Bo i mógł robić, co chciał. Sean, jeśli chodzi o wybór łodzi, dał Zachowi *carte blanche*.

– Pomyślałam sobie tylko – kończyła Marni – że Caer pracuje. Sean może jej potrzebować.

– Z Seanem jest teraz Kat. Chciała pobyć z ojcem sam na sam – poinformował ją Zach. – Caer?

Bała się, miała to wypisane na twarzy, ale skinęła głową.

– Jesteś obyta z wodą, Caer? – spytał Cal.

– Niestety, nie. Ale wszystkiego warto spróbować! – odparła, wyraźnie starając się, żeby zabrzmiało to entuzjastycznie.

Ale się nie wykręca, czyli nie jest źle, pomyślał Zach.

– Idziemy, Caer. – Wziął ją pod łokieć i wyprowadził z biura. Zamknął za sobą drzwi, zeszli po schodkach, wtedy spytał: – Domyślam się, że jeszcze nigdy nie byłaś na żagłowiec?

– Nigdy.

– Boisz się wody?

– Nie.

„Sea Lass” była niedużym jachtem, zaledwie cztery i pół metra długości. Świetnym na wycieczkę dla jakiejś pary albo nielicznej rodziny.

Poza tym jacht ten miał silnik najlepszy z najlepszych. Dlatego właśnie Zach go wybrał. Nie miał najmniejszej ochoty na leniwe kołysanie się po falach.

– Wskakuj, Caer. Śmiało!

Trudno powiedzieć, że wskoczyła. Ale jakoś dała radę znaleźć się na pokładzie.

Zach odcumował łódź. Wsiadł, usadził Caer na białej ławeczce koło głównego masztu i włączył silnik.

Caer była wyraźnie rozczarowana.

– Zach! Nie będziemy żeglować? – zawołała, starając się zagłuszyć warkot silnika.

– Nie. Popłyniemy szybko do miejsca, gdzie znaleziono „Sea Maiden”.

Powietrze było rześkie, powierzchnia wody bez jednej fałdki. Dokładnie taki sam dzień, jak wtedy, kiedy Eddie wypłynął na zatokę i znikł.

Kiedy wypłynęli z basenu, Zach obejrzał się. Cal i Marni stali przed biurem, patrzyli, jak „Sea Lass” wychodzi w morze. Byli daleko, twarze niewyraźne. Szkoda. Zach z wielką chęcią by zobaczył, co wypisane jest teraz na tych twarzach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Co też ludziom przychodzi do głowy, żeby robić właśnie coś takiego? Niektórzy wręcz to uwielbiają, Caer jednak jakoś trudno było się do tego przekonać. Mimo że jacht, sunący szybko do przodu, wcale się nie kołysał.

Tak. Ale ten wiatr. Plus temperatura, było nie było, zimowa. Czyli kombinacja nadzwyczaj przykra.

Zach powinien chyba zaproponować, żeby zeszła do kajuty. Zamiast drzeć tu jak liść na wietrze. Ale on chyba w ogóle tego nie zauważył. Trzymał rumpel, wzrok miał utkwiony w odległej wysepce, do której gnała łódź. Chyba w ogóle nie czuł zimna ani wiatru. Caer nie pozostawało więc nic innego, jak zacisnąć zęby i czekać na upragniony moment, kiedy jacht się zatrzyma.

Zatrzymał się. Na autentycznym wodnym pustkowiu. Dookoła, jak okiem sięgnąć, żadnych łodzi. A wyspa, do której zmierzali, oddalona o co najmniej sto metrów.

Caer była pewna, że jej pośladki przymarzły do tej białej ławeczki. Sytuacja tragiczna, ale Zach nadal jakby kompletnie zapomniał o jej skromnej osobie. Zgasił silnik, wstał i kilkakrotnie przemierzył łódź wzdłuż i wszerz, uważnie rozglądając się na boki. Potem zaczął kręcić jakąś korbą.

- Co robisz, Zach?
- Zarzucam kotwicę.
- Aha.

Próbowała wstać z ławeczki. Udało się, choć okazało się to jednak bardzo bolesne.

- Zach! Czy na tym właśnie polega pływanie jachtem?

- Nie. Zwykle pływam na żaglach.
- To po co ten silnik?
- Żeby nie musieć żeglować.
- No to po co bierzesz jacht?

Spojrzał na nią tak, jakby zaczynała go lekko wkurzać. Ale wyjaśnił:

– Bo czasami chcę pożeglować. A czasami nie ma wiatru, trzeba włączyć silnik. Zdarza się też, że człowiek po prostu chce dokądś szybko dopłynąć.

- Rozumiem.

Poszła za nim na przód łodzi, starając się poruszać bardzo ostrożnie i dostosować do kołysania jachtu. Bo się kołysał, choć morze wydawało się nieruchome.

- Co widzisz, Caer? – spytał Zach.
- Wodę.
- Co jeszcze?
- Niebo...
- I wyspę. Cow Cay.
- Tak. I wyspę. Myślisz, że Eddie tam się ukrył?
- Nie, Caer. Eddie nie żyje.
- Skąd wiesz?

– Eddie nigdy nie robił głupich żartów. Do głowy by mu nie przyszło zrobić coś takiego Seanowi i Kat.

- Może uderzył się o coś i wypadł za burtę?

– Miał przecież na pokładzie pasażera. On też znikł. Obaj wypadli za burtę? Raczej niemożliwe.

Na moment znikł pod pokładem. Wrócił z jakimś pojemnikiem, z którego wyciągnął coś wielkiego i żółtego. Chwycił za jakąś pętelkę, pociągnął i to wielkie żółte wyrzucił za burtę. Ale sznurek trzymał, żeby to wielkie żółte nie odpłynęło.

To wielkie żółte zaczęło puchnąć i nagle zrobiło się z niego coś w rodzaju tratwy.

- Zach, co ty chcesz zrobić?
- Dostać się na wyspę.
- Na tym?!
- Tak.
- A ja co?
- Zostaniesz tutaj.
- Tutaj? Sama? Nigdy w życiu!

Jedna z brwi zaczęła powoli wędrować w górę. Oczy błyszczały. Zach wyraźnie był rozbawiony.

- Chcesz płynąć ze mną, Caer?
- O tak! Proszę! Błagam!
- Wolałbym, żebyś została na „Sea Lass”. Nie bój się, będę przez cały czas na ciebie patrzył. Na jachcie oprócz nas nie ma nikogo. Na pewno. Sprawdziłem.

- Ale ja płynę z tobą!
- Naprawdę tego chcesz?
- Oczywiście, że nie! Ale co mam robić?!
- W takim razie... twoja wola.

Podszedł do burty i z innego pojemnika, wbudowanego do kadłuba ze szklanego włókna, wyjął dwa wiosła.

– Chodź, Caer. Pomogę ci zejść do łódki.

Chwytał ją, mocno i pewnie, dzięki temu przemieszczenie się z pokładu „Sea Lass” do nadmuchiwanej łódki ratunkowej odbyło się szybko i sprawnie. Caer usiadła, Zach poprosił, żeby pottrzymała wiosła i sam wsiadł.

Nie płynęli długo. Chwała Bogu. Caer przez cały czas czuła pod sobą lodowaty chłód wody.

Dopłynęli do małej piaszczystej plaży. Zach wyskoczył z łódki pierwszy i pomógł wsiąść Caer.

– Całe szczęście, że nie chodzisz w szpilkach – powiedział, spoglądając z aprobatą na jej solidne sportowe obuwie na dwucentymetrowych obcasach.

– Skąd wiesz, że ich nie zakładam, kiedy jest ku temu okazja?

– Ty? – spytał z wyraźnym niedowierzaniem.

– Tak, ja! Właśnie ja!

Zach wciągnął łódkę na brzeg, odwrócił się i bez słowa ruszył przed siebie.

Czyli dalej zachowywał się fatalnie.

– Zach, może powiesz mi, co będziemy tu robić?! Cisza. Co miała robić? Poszła potulnie za nim brzegiem

wyspy, która wcale jej się nie podobała. Pusto, dziko. Cicho, tylko czasami słyhać było żaloszny krzyk mewy. Drzewa rosły z rzadka. Bezlistne, przypomniała sobie jednak, że przecież to zima. Ziemia naga, czasami tylko pojawiał się brązowo-zielony placek zeschniętej trawy. Brzeg plaży oblepiony wodorostami.

Zach przeszedł wzdłuż plaży. Wrócił do punktu wyjścia i spojrzał na „Sea Lass”. Odwrócił się i poszedł z powrotem. Caer oczywiście szła za

nim, krok w krok, obejmując się mocno ramionami, żeby chronić się przed przenikliwym chłodem.

Zach, wracając, szedł dokładnie po swoich śladach. Tym razem jednak poszedł dalej, jakieś trzydzieści metrów. Nagle zatrzymał się.

– Jak myślisz, co to może być? – spytał, spoglądając w dół. Caer też spojrzała w dół. Piach jak piach. Ale...

– Wygląda tak, jakby ktoś ciągnął coś po piasku, kawałeczek...

– Nie sędzę.

– A co sądzisz?

– To ślad. Stopy.

– Stopy? W takim razie wyjątkowo dużej.

– Dużej, bo ten ktoś miał nałożone płetwy.

Poszedł jeszcze kawałek do przodu. Szedł bardzo powoli, nie odrywając oczu od ziemi. Caer instynktownie odsunęła się na bok, żeby mu nie przeszkadzać.

Zach zatrzymał się, potrząsając bezradnie głową.

– Niestety, nic nie widać. Za dużo czasu już minęło. Ale myślę, że mam rację. Z tym że... – Spojrzał na Caer, pomyślał chwilę i wskazał jej kierunek palcem. – Idź tam. Powoli, patrz uważnie. Szukaj czegoś, co tutaj, w tych warunkach, wyda ci się dziwne.

– A na przykład co?

– Na przykład w zimie robienie tu pikników jest zabronione. Ocean może być niebezpieczny, lepiej, żeby ludzie tu się nie kręcili. Pod koniec sezonu turystycznego wyspa jest sprządana. Czyli, reasumując, nie powinno być śladów czyjejś obecności.

Po dziesięciu minutach Caer doszła do wniosku, że ci, co sprząтали, spisali się na medal. Nie znalazła niczego. Ale kiedy wróciła do Zacha, zastała go klęczącego na mokrym piachu wśród zarośli. W rękę trzymał małą plastikową torebkę, do której ostrożnie wkładał żdźbła trawy.

– Trawa też jest podejrzana? – spytała Caer, nie mogąc darować sobie szczypty ironii.

– Na tej trawie coś jest – powiedział Zach i wstał. – Możemy wracać.

– Nie, jeszcze nie wracamy. Przedtem musisz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Zach spojrział na nią z wyraźną niechęcią. A ona na niego prawie z rozpaczą.

– Nie dziw się, Zach. W końcu sam mnie w to wciągnąłeś. Gdybym została na plaży, nie zadawałabym ci żadnych pytań. Doskonale wiem, że prowadzisz śledztwo w sprawie zaginięcia Eddiego i...

– To jest talk – powiedział beznamiętnym głosem.

– Talk?

– Proszę, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Myślę, że znam już scenariusz. Zabójca zabił Eddiego, zanurkował i przyplłynął tu, na tę wyspę. Wydaje mi się, że nie miał współnika. Sam wcześniej ukrył tu łódkę.

– Mówisz, że przyplłynął tutaj. Wskoczył do wody. Przecież ta woda...

– Jest lodowata. Fakt. Ale ten ktoś miał na sobie kombinezon płetwonurka. Stąd talk. Talk wsypuje się do kombinezonu, żeby łatwiej go było nałożyć. Odrobinę talku znalazłem na „Sea Maiden”. Wydaje mi się, że śladowe ilości talku są też na tych żdźbłach trawy. Oczywiście, rozumiesz, że to, co powiedziałem, masz zachować dla siebie.

A w ogóle dlaczego jej to powiedział? Nie miał pojęcia. Ale stało się.

Zaczął iść z powrotem do łódki. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

– Nie wiem, kim naprawdę jesteś, Caer. Ale wierzę, że chcesz pomóc Seanowi.

– Zach, przysięgam, że ja...

– Przysięgnij mi po prostu, że naprawdę chcesz pomóc Seanowi.

– Naprawdę chcę mu pomóc. Przysięgam.

Patrzył jej prosto w oczy. Wcale ich nie zmrużyła, nie ukryła za firanką gęstych czarnych rzęs. Wcale nie spojrzała w bok. Też patrzyła mu prosto w oczy i on wiedział – do cholery, skąd? – że powinien jej ufać. Choć tak, ogólnie rzecz biorąc, miał tysiące wątpliwości.

– Caer, naprawdę opiekujesz się nim troskliwie? Czy Sean przyjmuje wszystkie leki, jakie ma przepisane?

– Oczywiście.

– Caer, czy ty naprawdę nie masz mi nic do powiedzenia?

Była doskonale świadoma, że na tej wysepce, oblanej lodowatym oceanem, są sami. Jedyni świadkowie ich rozmowy to wiatr i mewy. A oczy Zacha, te przepiękne oczy koloru morza, były teraz zimne. Jak ocean. Sprawdzały ją.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – oświadczyła stanowczym głosem, wytrzymując jego wzrok. – Przysięgam, jestem tutaj tylko po to, by Sean O'Riley żył jeszcze przez wiele lat.

Zach przez dłuższą chwilę milczał. Potem wyciągnął rękę.

– Chodź. Wsiadamy do łodzi.

Przez całą drogę powrotną na „Sea Lass” nie odezwał się ani słowem.

Dopłynęli. Zach, zręcznie balansując w małej łódce, pomógł Caer przesiąść się na jacht. Wszedł sam na pokład, wciągnął łódkę. Odłożył na

miejsce wiosła i zszedł na dół. Wrócił z ręcznikami. Wytarł nimi łódkę do sucha i dopiero wtedy schował ją do pojemnika.

Caer śledziła wzrokiem każdy jego ruch. W pewnej chwili Zach spojrzął na nią i powiedział:

- Nikt nie powinien wiedzieć, że tu byliśmy.
- W porządku.
- Zejdź pod pokład. Weź z kuchni wodę sodową albo piwo, co tam chcesz. To rzeczywiście ma wyglądać, jakbym pokazywał ci okolicę.

Zrobiła, jak kazał. Znalazła małą lodówkę. Najpierw sięgnęła po piwo, ale potem zmieniła zamiar. Wyjęła butelkę wody sodowej.

W końcu jest pielęgniarką. Po powrocie do Newport zajmie się pacjentem. Nie powinna pić alkoholu.

Wróciła na pokład. Zach prawdopodobnie doszedł do wniosku, że można jej zaufać, przynajmniej do jakiegoś stopnia. Bo jakby zelżał. I w końcu postanowił się trochę o nią zatroszczyć.

- Może posiedzisz w kajucie. Słońce niedługo zacznie zachodzić, w drodze powrotnej będzie o wiele zimniej.
- Zostanę na pokładzie. Nic mi nie będzie. Oczywiście, to tylko jej upór. Zmarzła przecież na kość.

Ale coś ciągnęło ją do białej ławeczki. Usiadła i patrzyła, jak Zach podnosi kotwicę i włącza silnik.

Spod kadłuba wytrysnęła fontanna. Łódź pomknęła. Zach gnał, póki nie dopłynęli do tablic w kanale. Wtedy zwolnił do dozwolonej prędkości. Wpłynęli do basenu. Zach wyłączył silnik, wyskoczył na brzeg i przycumował jacht.

– Może kiedyś nauczę cię żeglarskich węzłów – powiedział z uśmiechem. – Następnym razem popłyniemy na żaglach. To naprawdę wielka frajda. Na pewno ci się spodoba. Mam nadzieję, że nie dostaniesz choroby morskiej.

Caer również się uśmiechnęła.

– Ja też mam taką nadzieję.

Nagle podszedł do niej, podniósł rękę i zaczesał jej za ucho jakiś niesforny kosmyk.

– Wiatr potargał ci włosy, Caer.

– Nie szkodzi. Bardzo jestem zadowolona z zapoznawania się z okolicą.

Ku jej zaskoczeniu, objął ją ramieniem. Zaraz jednak zorientowała się, dlaczego. Z biura wyszedł im na powitanie Cal. Teraz zauważyła, że ten wysoki, jasnowłosy mężczyzna o długich kończynach ma nieproporcjonalnie duże dłonie

I stopy. Ale miało to swój urok.

– No i jak? – wołał z daleka. – Podobało się?

– Wspaniale! – wykrzyknęła z entuzjazmem Caer. – Chociaż było okropnie zimno!

– Dlatego teraz szybko wracamy do domu – powiedział Zach. – Cal, jakbyś coś jeszcze znalazł czy sobie przypomniał, daj znać.

– Jasne. Ciągłe przeszukuję biuro. Książkę rejsów studiowałem milion razy. Zach, powiedz... Eddie nie żyje, prawda?

– Obawiam się, że nie żyje.

Z biura wyszła Marni, tylko w swetrze. Drżała z zimna.

– Caer, musisz tu przyjechać kiedyś w lecie – powiedziała, tuląc się do męża. – Wtedy jest tu cudownie. Człowiek smaży się na słońcu. O wiele cieplej niż na tej przereklamowanej Florydzie!

– Uważaj, co mówisz, kobieto! – rzucił żartobliwie Zach, było nie było, rodem z Florydy. – Caer, jedziemy. Do zobaczenia!

Nadal obejmując Caer ramieniem, poprowadził ją do samochodu. Czyli wiadomo, że jak odejdą kawałek, Cal i Marni natychmiast zaczną ich obgadywać.

– Zach, przepraszam, ale nie rozumiem, po co ta cała demonstracja? – spytała, ruchem głowy wskazując na jego rękę na swoim ramieniu.

– Po prostu lubię obserwować reakcje ludzi.

– Przedtem komplikując sytuację?

– Można i tak to ująć. Albo inaczej. Czasami dobrze jest wsadzić kij w mrowisko.

– Chyba nie myślisz, że oni chcieli śmierci Eddiego!

– Myślę przede wszystkim, że wszystko jest możliwe. Zabrzmiało to bardzo ponuro.

– Czy to znaczy, że też podejrzewasz Amandę? Jak Kat?

– Caer, na razie myślę tylko, że wszystko jest możliwe. Z tym, że jestem prawie przekonany, że Eddie został zamordowany i domyślam się, jak uciekł zabójca. Ale o tym nikt nie powinien się dowiedzieć, jasne?

– Jasne, Zach. Nikomu nie pisnę ani słowa.

Sean czuł się dobrze. Kilka godzin w środku dnia, kiedy słońce grzało przyjemnie, spędził na dworze, w fotelu, otulony w swój najcieplejszy płaszcz. Oczywiście w towarzystwie Kat.

Zach zaraz po powrocie zadzwonił do detektywa Morris-seya, potem zamknął się z Seanem w jego gabinecie, żeby pogadać o śladach znalezionych na jachcie.

W którymś momencie do gabinetu zajrzała Caer. Podała Seanowi lekarstwo i nalegała, żeby się zdrzemnął.

Na obiad Sean przyszedł o własnych siłach. Chyba był zadowolony, że do stołu zasiedli również Cal i Marni. Zach zauważył, że Marni w stosunku do Seana zachowuje się niemal jak Amanda. Bardzo słodziutka. Sądząc po wyrazie twarzy Amanda nie była tym zachwycona, ale nie reagowała. Było tak, jakby wszyscy, łącznie z Kat, zawarli milczące porozumienie. Ze względu na stan Seana ma być miło, żadnych spięć.

Zach zauważył też, że Caer obserwuje wszystkich tak samo uważnie jak on. Jakby próbowała dowiedzieć się o każdym jak najwięcej. Czy tak zachowuje się pielęgniarka?

Chyba nie. Czyżby Caer była kimś więcej?

Chyba naprawdę zaczyna padać mu na mózg.

Nie, to nie to. Po prostu jest podejrzliwy wobec wszystkich. Przecież Eddie został zamordowany. Dla Zacha był to już niezbity fakt.

Kiedy po obiedzie poszedł do swojego pokoju, nadal zastanawiał się nad tymi samymi pytaniami, nurtującymi go od wielu dni.

Dlaczego?

Dlaczego ktoś zabił Eddiego? Dlaczego ktoś najprawdopodobniej chce zabić i Seana?

Firma O'Rileya prosperowała świetnie, była warta naprawdę duże pieniądze. Ale sprawy finansowe uregulowane były umowami o partnerstwie i testamentami. Morderstwo z tego właśnie powodu nie miało

sensu. To samo dotyczyło majątku osobistego obu mężczyzn, Eddiego i Seana. Zachowi nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł zabić Eddiego dla pieniędzy. Jeśli chodzi o Seana, większość jego majątku dziedziczyła Kat. Córka, która uwielbiała ojca. Amanda? Owszem, nie broniła się przed spadkiem, ale wcale nie spodziewała się deszczu pieniędzy.

A więc jeśli nie spadek, to co?

Po raz drugi zadzwonił do Morrisseya. Też z komórki. Nie chciał, żeby ktokolwiek w domu słyszał ich rozmowę. Morrissey zapewnił go, że wysłał już człowieka, który dyskretnie sprawdza sklepy ze sprzętem do nurkowania. Był pełen uznania dla poczynań Zacha. Zach podziękował za uznanie i umówił się z detektywem, że następnego dnia rano podrzuci do zbadania trawę, którą przywiózł z Cow Cay.

Rozłączył się. Do Morrisseya czuł coraz większy respekt. Świetny gość, a przecież gliniarze potrafią być durniami. W końcu Zach sam był gliniarzem. Miał nadzieję, że nie gliniarzem durniem.

Ponieważ nie miał już nic do roboty, włączył komputer, wszedł do Internetu i zaczął przeglądać doniesienia w prasie na temat zaginięcia Eddiego. Opublikowano zdjęcie Eddiego, nikt jednak nie zgłaszał, że go gdzieś widział. Nikt też w ciągu ostatnich kilku dni nie natknął się na niejakiego Johna Aldena.

Dlatego Zach postanowił, że jutro sam pochodzi po mieście. Sprawdzi miejscowe hotele, motele, pensjonaty, może przez któryś z nich przewinął się gość o nazwisku Alden. Popyta też we wszystkich biznesach w pobliżu biura O'Rileya, czy nikt nie widział tu podejrzanych osób w dniu, w którym zaginał Eddie.

Ktoś musiał w końcu coś widzieć.

Zamknął komputer i wyszedł na korytarz. W pokoju Bridey ktoś był. Słyszał głosy, ale nie było powodu do niepokoju, bo usłyszał też i śmiech. Śmiech Bridey.

Drzwi były otwarte. Podeszedł bliżej i zajrzał do środka. Ujrzał trzy damy. Bridey siedziała na sofce koło okna, Caer stała przy małym stoliku, a Kat leżała sobie na łóżku. Na widok Zacha zerwała się z łóżka, podbiegła do niego i uściskała go serdecznie.

– Chodź do nas, chodź, Zach! Bridey opowiada takie ciekawe rzeczy o Irlandii!

– Caer na pewno je wszystkie zna – powiedziała ze śmiechem Bridey.

– Ale jest tak kochana, że słucha cierpliwie gędzenia staruszki. Ale Zach to poważny młody człowiek, nie wolno mu zawracać głowy.

– Dlaczego? – obruszył się Zach. – O czym opowiadasz, Bridey?

– O leprikonach. – powiedziała Kat.

– O, to ciekawe. Nie mam nic przeciwko skrzatom. A kto jest teraz z twoim ojcem, Kat?

– U taty jest fizjoterapeuta. Robi mu masaż, potem tata trochę poćwiczy.

– To bardzo ważne – wtrąciła Caer. – Im szybciej zacznie ćwiczyć, tym szybciej serce wróci do formy.

Zach usiadł na łóżku, Kat opadła obok i jak młodsza rozbrykana siostra żartobliwie zwichrzyła mu włosy. Caer obserwowała ich, Zach zauważył to kątem oka. Był zdumiony, kiedy błyszczące oczy Caer raptem pokryły się mgiełką. Jakaś bardzo melancholijna refleksja?

– Bridey, słuchamy! – zawołała Kat.

– Dobrze, dobrze, już mówię. A więc, jak już wspomniałam, w dzisiejszych czasach, jeśli chodzi o leprykony, ludziom całkiem się już pomieszało. W filmach zawsze przedstawia się je jako stworzenia złośliwe, niedobre. A przecież to nieprawda. Leprikon jest po prostu spryciurą i żartownisiem. A że jednocześnie lubi złoto i potrafi je ukryć... Czy to źle? Dzięki temu nasza Irlandia jest bogatsza.

– A ja też coś o nich wiem! – pochwalił się Zach.

– Trzeba złapać leprykona, a potem przejść na drugą stronę tęczy. Bo on tam ukrywa swój gliniany garnek pełen złota.

– To tylko teoria... – mruknęła sceptycznie Bridey.

– Schwywanie leprykona jest prawie niemożliwe. Można go złapać tylko wtedy, kiedy się na niego patrzy. Wtedy nie może uciec. Ale wystarczy, że na sekundę odwrócisz wzrok i już ci umknie.

– Ciociu, a jak to jest z tą banshee? – spytała Kat i zachichotała.

– Nie ma co się śmiać – skarciła ją ciotka. – Banshee to duch śmierci, nie wiedziałaś o tym? Zabiera człowieka tam, skąd się już nie wraca. Kiedy słyszysz, jak wyje wiatr, kiedy wokół ciebie tylko ciemność, wtedy wiadomo, że nadchodzi banshee. Wszyscy muszą uważać.

Mówiła to z taką powagą, że nawet Zach poczuł się trochę nieswojo. Na moment zapadła cisza.

– Bridey – odezwała się po chwili Caer – banshee to z języka gaelickiego *bean sidhe*, czyli „kobieta z czarodziejskiego wzgórza”, prawda? Niektórzy mówią, że banshee to kobiety, które bardzo młodo straciły życie w tragicznych okolicznościach...

– Młodo? – Kat wybuchnęła śmiechem. – Widziałam banshee w kilku filmach, zawsze była to okropna stara jędza!

– Przepraszam, ale to absolutnie nieprawda! – zaprotestowała stanowczym głosem Caer.

– Oczywiście! – poparła ją Bridey. – Caer ma rację. Banshee to kobieta, która umarła bardzo młodo. Dlatego banshee jest smutna. Ale tylko taka właśnie kobieta, która wcześniej straciła życie, może zostać banshee. Zastępuje inną banshee, która chce już odpocząć. Robi to z własnej woli, nie wolno jej do niczego przymuszać, bo to wielki grzech. A kiedy zostanie banshee, musi wytrwać, póki nie znajdzie sobie następczyni. Banshee przychodzi do nas, by ułatwić nam drogę na tamten świat. Musi być miła, cierpliwa. Taka była i za życia. Bo zły człowiek nawet po śmierci jest zły.

Caer cicho odchrząknęła, na znak, że teraz ona ponownie zabiera głos.

– Banshee ma bardzo ważną rolę do spełnienia – powiedziała cicho. – Śmierć to też początek, początek czegoś nowego, nieznanego. Napawa nas lękiem, tak samo jak przyjście na świat. Ale dziecko zaraz po narodzinach trafia w ramiona matki. A na tamten świat idziemy sami... No tak... – Caer potrząsnęła głową, jakby chciała rozpędzić jakieś ponure myśli, i spojrzała na Zacha. – Piękne są te stare irlandzkie legendy, prawda? Tłumaczą, co to jest życie, a jednocześnie... jednocześnie tyle w nich magii. Ale czy nam wszystkim nie przyda się trochę magii? – Wstała. – Kat, zejść na dół, zajrzeć do twojego ojca.

Kat skinęła głową.

– Dobry pomysł. -I ziewnęła. – Ciociu Bridey, pójdę już. Tak bardzo chce mi się... – Nagle zadrżała.

– Kat? Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Zach.

– Och, nic. Tylko tak sobie pomyślałam...

– Co pomyślałaś?

- Tamtego dnia, kiedy zaginął Eddie...
 - Pogoda była piękna. Tak napisali w gazetach. Ani śladu sztormu.
 - Tak, tak. Ale w nocy, przedtem... było tak dziwnie...
 - Co, dziecko? – spytała Bridey. Jej twarz nagle zmieniła się, jakby było na niej dwa razy więcej zmarszczek. – Co było dziwne?
 - Ten sen, ciociu. Śnił mi się sztorm. Morze było wzburzone...
 - Och, to tylko sen! – powiedziała Caer. – Wszystkim nam się czasami coś tam śni, nie zawsze przyjemnego. Chwileczkę... – nagle spoważniała. – Czy Eddie był... jest Irlandczykiem?
 - Przynajmniej dzięki koneksjom – powiedziała Bridey.
 - A ty wiesz, Zach – odezwała się Kat – że i mnie czasami śni się po irlandzku.
 - Nic dziwnego – powiedział. – Jesteś przecież rodowitą Irlandką.
 - Nie do końca. Moja mama była tym, co ty nazywasz amerykańskim kundlem!
 - Ale Irlandię masz we krwi, dziecko – oświadczyła Bridey. – Ty i twój tata jesteście Irlandczykami. Dla mnie to powód do dumy.
 - Nie trzeba bać się bansheee – powiedziała miękko Caer, już w progu. – Ludzie boją się banshee, bo boją się śmierci. Każdy musi umrzeć, to naturalna kolej rzeczy. Nikt nie lubi iść w nieznaną, iść tam samemu. Dlatego jest banshee. Pomoże człowiekowi w przejściu z życia do śmierci. Trzyma go z ręką...
 - Śmierć to śmierć – powiedziała Kat.
- Caer wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się.
- Oczywiście. Idę teraz do twojego taty.
- Zach wstał.

– Pójdę z tobą. Powiem Seanowi dobranoc. Podeszedł do Bridey i pocałował ją w czoło.

– Jak dobrze, że tu jesteś, chłopcze – powiedziała staruszka, patrząc na niego z czułością. – Jak dobrze... dobrze...

Zach leciutko uściśnął jej dłoń i poczuł niepokój. Ta krucha stara dłoń była stanowczo zbyt ciepła.

– Jak się czujesz, Bridey?

– Trochę zmęczona. Ale każdy wiek ma swoje prawa, chłopcze.

– Powinien zbadać cię lekarz. Pokaż mu się, kiedy przyjedzie do Seana, dobrze? Proszę, Bridey.

– Dobrze, dobrze. Skoro nalegasz...

– Koniecznie, ciociu! – włączyła się Kat. – Ja też martwię się o ciebie.

– Skoro tak się martwisz, pomóż mi położyć się do łóżka. A lekarzowi pokażę się, nie martwcie się. Niestety, zima dla starych kości zawsze jest niełaskawa. Zach, idź już, chłopcze. Dobranoc, niech cię Bóg błogosławi.

– Ciebie też, Bridey.

Pocałował ją jeszcze raz w czoło i wyszedł. Dogonił Caer, kiedy dochodziła już do drzwi pokoju Seana.

– Nie do końca masz rację, Caer. Śmierć nie zawsze to naturalna kolej rzeczy. Na przykład...

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– ... w przypadku morderstwa.

– Zgadza się – przytaknęła, nie odrywając oczu od jego twarzy. – W przypadku morderstwa na pewno nie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez całą noc stary dom jęczał, skomlał i szeptał. Caer leżała na łóżku, z rękoma podłożonymi pod głowę i wpatrując się w cienie na suficie rysowane przez noc, nasłuchiwała, starając się rozszyfrować każdy dźwięk. A więc – wiatr. Bawi się gałęziami drzew i drewnianymi okiennicami, stąd to walenie o ścianę. Poza tym dom osiada, wydając przy tym charakterystyczny dźwięk. Wiedziała o tym, dlatego nie był to dla niej powód do niepokoju.

Tej nocy wiatr był coraz silniejszy. Zawodził. Najpierw cicho. Żałosny płacz, prawie niesłyszalny. A kiedy przybierał na sile, kiedy z coraz większą wściekłością chłostał okiennice i okapy, to już nie był płacz, a krzyk, z daleka, rozpaczliwy.

Noc, pora ciszy, a tyle dźwięków...

Była pewna, że wszyscy mieszkańcy tego domu już śpią.

Ale nie. Usłyszała bowiem nowy dźwięk, cichy, którego inni nie powinni usłyszeć. Zaskrzypiały schody. Ktoś szedł po nich, starając się robić to jak najciszej.

Czy naprawdę? W końcu każdy ma prawo wstać z łóżka i chodzić po domu, nawet w środku nocy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Kto to może być? Na pewno nie Bridey. Ona w swoim pokoju ma wodę, wszystko, czego może potrzebować w nocy. W jej wieku chodzenie samej w ciemnościach mogłoby skończyć się tragicznie. Mogłaby upaść i złamać kość biodrową.

Nie, to na pewno nie Bridey.

Kat? Nie może zasnąć i schodzi na dół, żeby zrobić sobie herbaty. Albo Zach... O, Caer poznała go już wystarczająco. Zach ze swoją determinacją gotów jest skradać się po domu co noc.

Sean – nie. Dostał środek nasenny i na pewno mocno śpi. Sean z dnia na dzień jest silniejszy, wkrótce pielęgniarka będzie mu niepotrzebna. Ale ona i tak tu zostanie, zatrudnił ją przecież do końca roku... Nie, to nie może być Sean. Zajmuje pokój na parterze, a ten ktoś schodzi po schodach w dół.

Może to Amanda jest tym nocnym markiem? W końcu, było nie było, to jest jej dom. Może postanowiła zejść do kuchni albo, jako troskliwa żona, chce sprawdzić, czy mąż dobrze śpi.

Znów cichutkie skrzypnięcie.

Znów jeden krok.

Miała znakomity słuch. Była więc okazja go wykorzystać. Znów skrzypnięcie.

Nie miała już żadnych wątpliwości. Ktoś jest na schodach, schodzi jak najciszej. Robi to ukradkiem.

Dlaczego? Każdy, kto przebywa teraz w tym domu, ma pełną swobodę poruszania się, o każdej porze dnia i nocy...

Dość zastanawiania się. Caer cichutko zsunęła z siebie kołdrę i bezszelestnie postawiła stopy na podłodze.

Było późno, ale Zach, mimo że bardzo zmęczony, nie mógł zasnąć. Kiedy kolejna próba zaśnięcia nie powiodła się, poddał się. Tym bardziej że wiedział, co mu nie daje zasnąć.

A raczej – kto.

Eddie.

Dlaczego raptem tak się zdarzyło, że tamtego tragicznego dnia był w biurze sam?

Cal uciął sobie drzemkę, Marni poszła na zakupy. Oboje, kiedy mu o tym powiedzieli, wyraźnie czuli się winni. Jak dzieci przyłapane na wagarach. Oczywiście, gdyby tamten dzień okazał się jak każdy inny, na pewno nie mieliby żadnych wyrzutów sumienia. W sezonie mają mnóstwo roboty, na pewno pracowali po godzinach. Teraz mogli sobie śmiało trochę odpuścić.

Przedtem Eddie powiedział, że musi coś zrobić. Cal nie miał pojęcia, co, czyli prawdopodobnie nie była to sprawa służbowa. Dlaczego więc Eddie poszedł z tym do firmy? Odpowiedzi na to pytanie najprawdopodobniej należy szukać w służbowym komputerze Eddiego.

Która to może być godzina? Nacisnął guziczek w zegarku, żeby podświetlić tarczę. Północ, czyli wcale jeszcze nie tak późno.

Wstał z łóżka i ubrał się ciepło. Nałożył płaszcz, nie zapomniał o szaliku i czapce. Już w drzwiach zatrzymał się i spojrzał na swoją teczkę, w której zamknięty był jego Smith and Wesson, kaliber. 38.

Brać ze sobą?

Jasne, że tak. Przecież Eddie nie żyje. Na wycieczkę o północy do cudzej firmy nie zaszkodzi pójść z bronią.

Wyjął z teczki pistolet, wsunął za pasek spodni i cicho wyszedł na korytarz.

Głupie gadanie o tych banshee... Kat generalnie nie bała się ciemności, nie bała się być sama, ale tak było dotychczas. Bo dziś, tej nocy chyba słyszała... banshee. Setki upiornych żałobnie, krzyczących i zawodzących w ciemnościach.

Banshee... Bzdura, to wiatr, który już po południu zaczął przybierać na sile. I robił to nadal. Może nadciąga sztorm. Może na Boże Narodzenie będziemy mieli śnieg.

Cienie na suficie tańczyły jakieś koszmarnie tango. Choć to tylko cienie, rzucające przez gałęzie uginające się za oknem w porywach wiatru. Ale wycie tego wiatru było cholernie wkurzające. Teraz znów ten krzyk, krzyk największego przerażenia...

Wydawało jej się, że cały dom się trzęsie. Wyraźnie oddycha. Robi wdech i wydech.

Po raz kolejny zmieniła pozycję na łożku. Powinna się choć trochę przespać. W ciągu dnia musi być przytomna, trzeba przecież trzymać straż przy tacie. Na szczęście czuł się już nieźle i był tutaj, w domu, a nie za oceanem razem z tym babsztylem...

Z tym babsztylem, który teraz śpi w sypialni na końcu korytarza. W sypialni ojca, bo niestety jest to kobieta, z którą się ożenił.

Była bliska płaczu. Co zdarzyło się już chyba milion razy. Tata zawsze był takim mądrym człowiekiem. Dlaczego ożenił się właśnie z tą blondynką? Kat generalnie nie miała nic przeciwko blondynkom, choć powszechnie uważane były za stworzenia o raczej niskim ilorazie inteligencji. Coś musiało w tym być. Tata miał tyle zainteresowań, przede wszystkim kochał książki, a Amanda prawdopodobnie czytała je tylko w jednej postaci – katalogów, przed wybraniem się na zakupy.

Nagle na ścianie coś się poruszyło. Coś jak skrzydła nietoperza monstrualnej wielkości...

Głęboki wdech. I ulga. Przecież to cień wielkiego dębu rosnącego za jej oknem. Wicher przycisnął jego gałęzie na moment do okna, światło latarni na dworze podświetliło je i stąd ten makabryczny cień na ścianie.

Dąb. Wicher miota jego gałęziami...

Dlaczego więc teraz ten ogromny cień znieruchomiał?!

Poza tym jeszcze coś. Skrzypnęły schody.

Skrzypnęły schody, raz, drugi.

Wtedy nie wytrzymała i wyskoczyła z łóżka. Eddie nie żyje, ojcu ktoś podał truciznę. A teraz ktoś obcy skrada się po domu!

Trzeba jak najszybciej iść po Zacha. Jego pokój jest niedaleko. Zach ma pozwolenie na broń...

Przez dobrą chwilę stała jak słup soli. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Była jak sparaliżowana. W końcu jednak nadludzkim wysiłkiem udało jej się ożywić swoje ciało. Podeszła na palcach do drzwi, położyła dłoń na klamce. Zimna. Lodowata. I mogłaby przysiąc, że otaczająca ciemność, ciemność, o której zwykle mówi się, że jest aksamitna, nagle zmieniła się w czarną, złowrogą mgłę. Poruszaną czyimś oddechem. Oddechem kogoś o gigantycznych płucach...

Powolutku uchyliła drzwi, centymetr po centymetrze. Wyszła i na palcach zaczęła posuwać się do przodu. Korytarz wydawał jej się zdecydowanie większy niż zwykle, na pewno dłuższy. Było w nim bardzo zimno, wypełniony był tą samą ożywioną mgłą. Czyjś ciepły oddech skraplał się w lodowatym powietrzu. Ktoś oddychał, nie tylko, była pewna, że słyszy też cichy, szyderczy śmiech...

Ktoś szedł za nią?!

Nie, chyba jest przed nią...

Sama już nie wiedziała. Strach ścisnął za gardło. Ją, Kat O'Riley, która nie wierzyła w żadne duchy, żadne banshee, voodoo czy wampiry!

Kiedyś, bo teraz czuła wokół siebie zagrożenie, lodowato zimne jak dotknięcie kościstej ręki Żniwiarza, tej kostuchy, która wychodzi z ciemności i łapie człowieka za szyję.

O, tam przed sobą widzi już jego twarz, same kości, puste oczodoły. Trupią czaszkę!

Dopadła do drzwi. W chwili, gdy łapała za klamkę, poczuła się trochę silniejsza. Poczwała się prawie normalnie, kiedy otwierała drzwi. Chwała Bogu, byłby przecież wstyd, gdyby rozhisteryzowana wpadła do tego pokoju z dzikim wrzaskiem, że na dworze, za jej oknem zawodzi cały tłum banshee, a po korytarzu snuje się ponury Żniwiarz, który przed chwilą chciał jej przetrącić kark.

Miała zamiar spokojnie przekazać Zachowi, że na schodach ktoś jest. – Zach?

Żadnej odpowiedzi. Znowu poczuła paniczny strach. To coś, wielkie i straszne, co prześladowało ją w korytarzu, było przedtem tutaj i porwało Zacha!

Podbiegła do łóżka. Puste.

Teraz miała już tylko jedno pragnienie. Jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju i zamknąć się w szafie. Bo tu, w tym domu, jest bardzo niebezpiecznie.

Czyli zagrożony jest i ojciec.

Pognała na dół, dygocząc z strachu. Matko Święta, co zastanie w sypialni ojca?!

Resztki rozsądku podpowiedziały odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie. Nikt nie musiał porywać Zacha. Po prostu wyszedł z pokoju.

Zach wiedział, że Eddie po kilkanaście razy wchodził na strony dotyczące Rewolucji Amerykańskiej, przestudiował dosłownie setki map. W sumie nic zaskakującego, Rewolucja Amerykańska była prawdziwą pasją Eddiego i Seana. Odkurzali ją od lat i uczestniczyli w niezliczonych imprezach, podczas których odtwarzano wydarzenia z przeszłości.

Surfował po Internecie śladami Eddiego przeszło godzinę. Póki litery na ekranie nie zaczęły mu się zlewać przed oczami. Wtedy powiedział sobie – dość. Wyszedł z biura i zszedł po drewnianych schodkach. Usłyszał szum fal, pobrzękiwanie dzwonków i łańcuchów przy jachtach, a przede wszystkim wiatr. Sklepiki i barki dookoła oświetlone były na noc, wody zatoki za nimi czarne jak smoła. Czasami tylko rozjaśnione grzywą wysokiej fali, różnokolorowej od światła lampek, porozwieszanych wzdłuż basenów jachtowych.

W nocy chwycił mróz. Zach owinał mocniej szyję wełnianym szalikiem, naciągnął czapkę na uszy i ruszył do samochodu. Szedł, zasłuchany w zawodzenie wiatru. Szedł tak przez chwilę, bo nagle jego uwagę zwrócił całkiem inny, obcy dźwięk.

Odgłos kroków. Ktoś szedł. Kto? Ktoś był jednak w firmie i teraz szedł za nim?

Odwrócił się. Flagi na domach i jachtach, świąteczne dekoracje, wszystko łopocze na wietrze.

I nigdzie żywej duszy.

Schował się? Można było to zrobić bardzo łatwo. Przykucnąć za którymś z samochodów. Stać za słupem latarni albo za gigantycznym

Świątym Mikołajem przed sklepem z pamiątkami, biednym Mikołajem trzęsącym się na wietrze jak galareta.

Ręka Zacha wsunęła się pod płaszcz, palce objęły pistolet, wetknięty za pasek spodni. Bacznym spojrzeniem jeszcze raz zlustrował otoczenie.

Nikogo. Przynajmniej w polu widzenia. Czyli prawdopodobnie tylko mu się wydawało. W końcu jest już dobrze po północy, wiatr porywisty, a oczy zmęczone komputerem potrafią robić sztuczki.

Dziwne, ale czuł się bardzo nieswojo. W miejscu, w którym teoretycznie nie powinien się niczego obawiać. Co prawda nie brak wykolejeńców chodzących z bronią, ale tu...

Tu nikogo nie ma. Najprawdopodobniej wiatr coś oberwał i poniósł ze sobą. To coś, miotane porywami wiatru, stuknęło kilkakrotnie o chodnik i pofrunęło dalej.

Tej wersji należy się trzymać.

Do domu dojechał bez żadnych zakłóceń, kiedy jednak wysiadł z samochodu i wszedł do domu przez kuchenne drzwi, znów poczuł się nieswojo, co było po prostu idiotyzmem. Nawet jeśli ktoś tam był, na parkingu koło firmy, niemożliwe, żeby przyjechał tu za nim.

Cholera! Przecież on znowu to usłyszał!

Odgłos kroków.

Czuł, jak włos jeży mu się na głowie.

Wszedł, jak najciszej zamknął za sobą drzwi i wyciągnął broń. Bezszelestnie przemknął przez kuchnię, potem dalej, korytarzem. Minał jadalnię, gabinet Seana. Zatrzymał się w holu.

Cisza.

A chwilę potem usłyszał, jak zaskrzypiały schody.

– Stać! – ryknął. – Nie ruszać się!

Nagle cały hol zalało jasne światło. Spojrzał w górę. Na szczycie schodów ktoś stał, niestety Zach, oślepiiony ostrym światłem, nie potrafił go zidentyfikować. Ale to na pewno ta osoba zapaliła światło.

Jednocześnie – i prawie równocześnie – ktoś krzyknął cicho, ktoś pisnął, a ktoś koło drzwi, prowadzących od tymczasowej sypialni Seana na parterze, odezwał się mocno poirytowanym głosem.

Po sekundzie oczy Zacha dostosowały się do ostrego światła i mógł dokonać identyfikacji. Przed schodami stała Kat, wymachując patelnią. To ona piszczała. Cicho krzyknęła Caer, stojąca przed drzwiami do swojego pokoju. A zirytowana kobieta to Amanda O'Riley.

Światło zapaliła Bridey. Stała na szczycie schodów jak anioł zemsty, z ręką na kontakcie.

A Zach stał z wycelowaną bronią.

Szybko zabezpieczył pistolet, wsunął go za pasek spodni i warknął:

– Co tu, do cholery, się dzieje?!

Był to wielki błąd. Bo im wszystkim naraz rozwiązały się języki.

– Czyli to byłaś ty! Ty! – wrzasnęła Kat, wymachując patelnią w stronę Amandy.

Kat gotowa do walki.

– A co! Może mi nie wolno?! – wydarła się wściekła Amanda. – To też mój dom, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie!

– Ale Amando... – włączyła się Caer, jedyna przemawiająca normalnym głosem. – Wyglądało to tak, jakby ktoś się skradał po schodach...

– Ja się nie skradam! Ja chodzę! – oznajmiła Amanda, biorąc się pod boki. – A wyszłam, bo mi się wydawało, że ktoś się skrada! A skradała się Kat, oczywiście. Albo ty, Caer. Bo ty łazisz po całym domu, a nie ma ciebie tam, gdzie powinnaś być. Masz opiekować się Seanem, a nie latać do Bridey, żeby słuchać tych jej głupich bajek! Masz...

– Cisza! – huknął Zach.

O dziwo, poskutkowało. Wszystkie panie nabrały wody w usta.

I w tym momencie znów huknęło, ale to już nie był Zach. On tylko poinformował:

– Drzwi na tyłach domu.

Znów walenie. Jeszcze raz, i jeszcze raz. Jakby wiatr próbował wyrwać drzwi z zawiasów.

Zach natychmiast ponownie wyciągnął broń, odbezpieczył i ruszył na tyły domu. Doszedł do drzwi, którymi wychodziło się na werandę, przed którą rozpościerał się piękny trawnik, a niżej widać było granitowy klif nad wodą oceanu.

Drzwi, szeroko otwarte, kołysały się na zawiasach.

Wyszedł na werandę i rozejrzał się. Tylko noc i cisza, wicher jakby ucichł. Żadnych odgłosów świadczących, że nieproszony gość ucieka gdzieś w ciemnościach. Wyglądało na to, że ktoś nie zamknął porządnie drzwi i wiatr zaczął nimi szarpać.

Ale było to niemożliwe. W tym domu nigdy nie zostawiano na noc drzwi nie zamkniętych na klucz. Poza tym w domu był alarm, niestety Clara i Tom zwykle o zmroku szli już do swojego domku, a domownicy najczęściej zapominali o włączeniu alarmu.

Zach zaklął w duchu. Powinien był wcześniej sprawdzić te drzwi.

Z werandy widział też domek ustrojony świątecznymi lampkami. Zasłony na parterze były rozsunięte, widać było wesoło migoczącą lampkami choinkę Clary i Toma.

Znów zerwał się wiatr. Znów gałęzie drzew zaczęły ocierać się o ściany domu.

Wiatr przerodził się w wichur. Omal nie wyrwał mu drzwi z rąk, kiedy zaczął je zamykać. Ale zamknął. Porządnie, na klucz, i włączył alarm.

Kiedy wrócił do holu, zobaczył, że pojawił się w nim Sean. W piżamie. Jeśli chodzi o resztę towarzystwa, to Kat stała spięta, wyprężona jak owa kotka na gorącym blaszanym dachu. Caer w swoim niebieskim szlafroku wyglądała jak czarnowłosa anioł. Bridey zeszła na dół, zaś Amanda stała koło Seana, który obejmował ją ramieniem. Zach jednak jakoś dziwnie był przekonany, że to Amanda położyła sobie rękę Seana na ramię.

– I co? – spytał Sean.

– Nie wiem – odparł Zach. – Nikogo nie zauważyłem. Drzwi na tyłach domu były szeroko otwarte. Nic nie zostało ruszone. Dzwonię na policję.

– Nie, nie dzwonisz. Co im powiesz? Że w tym domu po nocy wszyscy się skradają? I ktoś nie zamknął na noc porządnie drzwi?

– To Clara – powiedziała Amanda. – Ona jest już za stara...

– Za stara na co? – wybuchnęła Kat. – Tato, Clara chyba nie jest starsza od ciebie?

– Clara jest członkiem rodziny i proszę zostawić ją w spokoju – oświadczyła twardym głosem Bridey. – Poza tym Clara na pewno o niczym nie zapomniała.

Amanda wcale nie zamierzała ustąpić.

– Nie zapomniała, ale drzwi były otwarte! Tylko Clara mogła je tak zostawić!

– Nie! – oświadczyła stanowczym głosem Bridey: – Na pewno nie Clara.

– To kto?

Wszyscy wlepili oczy w Bridey.

– To banshee. W naszym domu jest banshee – powiedziała Bridey łagodnym głosem, spoglądając na nich jak na gromadkę dzieci, które na niczym się jeszcze nie znają.

I dokończyła szeptem.

– Nie czujecie tego?

Cał, modląc się w duchu, żeby wichur nie wyrwał mu drzwi z rąk, wystawił buty za próg i zamknął drzwi. Uff... Całą operację udało mu się przeprowadzić bezszelestnie.

Ta noc jest koszmarna. Może synoptycy znów się pomylili i nadciąga sztorm. Bo oni przewidzieli wiatr łagodny, rano pogodny, ale chłodny.

Wszedł na palcach do salonu i zastygł.

Bo tuż przed nim ukazała się nagle jakaś postać.

Był mężczyzną, ale wrzasnął. Dokładnie w chwili, kiedy niezidentyfikowana postać wydała z siebie również histeryczny krzyk. Chyba jeszcze głośniejszy.

Wymacał kontakt na ścianie. Pstryk i w salonie zrobiło się jasno, mógł się więc zorientować, kto go tak wystraszył.

Jego własna żona. Spanikowana tak jak on. Usta miała otwarte, jakby chciała sobie krzyknąć jeszcze raz.

Kompletnie ubrana, ale bez butów. Czyli też zostawiła je za drzwiami i na palcach szła do sypialni.

– Marni! Omal nie umarłem ze strachu!

– A ja? Omal nie dostałam zawału!

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie. Po czym Cal sposepniał.

– Gdzie byłaś, Marni? Kiedy wyszłaś? Po co?

– Chwileczkę! A ty? Kiedy wyszedłeś i po co?

– Ja... ja coś usłyszałem. Jakiś jęk. Pomyślałem sobie, że może kogoś pobili, leży na podwórzu i trzeba człowiekowi pomóc.

Marni westchnęła.

– Ja też to słyszałam. Myślałam, że ktoś jęczy od frontu, może zraniona hiena. Och, Cal!

Roześmiała się. Podbiegła do męża i wtuliła się w niego, kryjąc twarz na jego ramieniu.

– Myślałam, że śpisz, Cal. Bałam się okropnie, ale nie chciałam cię budzić. Dlatego poszłam sama.

– Moja dzielna dziewczynka! Ja też myślałem, że śpisz i nie chciałem cię budzić. Chodź, sprawdzimy drzwi i wracamy do łóżka.

Marni uśmiechnęła się.

– Mam lepszy pomysł. Trochę zmarzłam. Napijmy się najpierw grogu, a potem idziemy do łóżka.

Mąż pocałował ją w czubek nosa.

– Zgoda. Sprawdzamy drzwi, potem gorący grog, potem do łóżka. Jutro śpimy do oporu. Olewamy robotę.

– Nie, Cal. Tego nie możemy zrobić, zwłaszcza teraz, kiedy Eddie zaginał, a Sean jeszcze nie wrócił do formy. Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Masz rację. A więc olewamy wszystko, tylko nie robotę.

Marni roześmiała się.

– I tak trzymać! Chociaż wątpię, czy jutro będziemy mieli jakichś klientów. Ale iść do pracy trzeba.

– Jasne.

– W takim razie plan jest następujący. Ty sprawdzasz drzwi, ja robię grog, a potem...

Marni zachichotała i znacząco poruszała brwiami. Cał roześmiał się i ochoczo zabrał się za realizację planu. Najpierw sprawdzić drzwi...

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka, kiedy Zach wszedł do pokoju zwanego przez domowników śniadaniowym, Clara, serwując radosne: „dzień dobry, jak się spało”, postawiła przed nim talerz ze świeżymi bułeczkami z kruchego ciasta.

– Jesteś niezrównana, Claro – powiedział Zach. Wziął sobie jedną bułeczkę i zaczął jeść na stojąco. Chciał jak najprędzej znaleźć się w samochodzie, jechać na posterunek i tam spokojnie pogadać z detektywem Morrisseyem.

Minionej nocy, pełnej emocji, którą Bridey dodatkowo okrasiała swoją rewelacją, Zach zrobił obchód domu. Chciał to oczywiście zrobić sam. Niestety, trzy damy nie odstępowały go na krok. Kat, Amanda, nawet Caer.

Sprawdził dom bardzo dokładnie, od piwnic po dach. Zajrzał do każdej szafy, do każdej komórki, do każdego zakamarka. Zaglądał nawet pod łóżka. I nic, żadnego nieproszonego gościa. Sean prawdopodobnie miał rację, twierdząc, że drzwi na tyłach domu ktoś zostawił otwarte. Zachowi jednak zależało, żeby detektyw Morrissey dowiedział się o całym incydencie. Chciał też przekazać Morrisseyowi źdźbła trawy z wyspy. Oczywiście, wcale nie był pewien na sto procent, czy będzie to jakiś dowód. Nawet jeśli okaże się, że to faktycznie talk. Ale przynajmniej była to jakaś poszlaka. Poza tym detektyw Morrissey w stosunku do niego był życzliwy i uprzejmy, więc zależało mu, żeby czymś się wykazać.

– Zrobiłam ci kawę, Zach – powiedziała Clara.

– Nie, dziękuję. Muszę lecieć. Podziwiam cię, Claro. Taki wielki dom, tyle ludzi, a zawsze wysprzątane na błysk i wszyscy nakarmieni. Znakomicie dajesz sobie radę...

– No, nie bardzo!

Do kuchni wkroczyła Amanda i bezceremonialnie wyjmując Clarze z rąk kubek z kawą, którą Clara właśnie naląła dla Zacha, poirytowanym głosem dokończyła swoją wypowiedź:

– Wczoraj wieczorem zostawiłaś tylne drzwi na noc otwarte! Mam nadzieję, że więcej to się nie powtórzy.

Clara spojrzała na nią spłoszonym wzrokiem i zaczęła nerwowo wycierać ręce w fartuch.

– Ja nie zostawiłam drzwi otwartych, pani O'Riley. Na pewno nie.

– To kto? Tom?

– Tom wczoraj wyszedł stąd pierwszy. Chciał zapalić lampki na choince, żeby świeciły się, kiedy wrócę do domu. Ja wyszłam stąd trochę później...

– Przez drzwi na tyłach domu, prawda?!

– Tak, pani O'Riley. Ale zamknęłam je na pewno porządnie na klucz.

– Czyli co? Uważasz, że kłamię?

– Oczywiście, że nie.

– Ale inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Clara spojrzała bezradnie na Zacha, wyraźnie szukając u niego pomocy.

– Powiedz sam, Zach, powiedz, jak było z tymi drzwiami! – nalegała Amanda.

– Drzwi były otwarte, Claro – przyznał Zach, choć poczuł się przy tym paskudnie.

Amanda natomiast, jakby mało jej było jednej reprimendy, odwróciła się do niego i wygłosiła oskarżycielskim tonem:

– A ty wczoraj w nocy wychodziłeś! Tak się zdenerwowałam tymi drzwiami, że dopiero teraz to sobie uświadomiłam!

– Owszem, wychodziłem. Byłem w firmie.

– W środku nocy?!

– Nie mogłem zasnąć, postanowiłem więc wykorzystać czas na rozejrzenie się po biurze. Przecież jestem tu po to, żeby odnaleźć Eddiego.

– Czyżby? – Amanda prychnęła pogardliwie. – A mnie się wydaje, że jesteś tutaj, bo ta mała suka, co śpi jeszcze na górze, uważa, że to ja próbowałam zabić jej ojca.

Clara zbladła. Zach dyskretnie wskazał jej palcem drzwi i Clara – bez wątpienia z przeogromną ulgą – umknęła z kuchni.

Zach odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Amandą.

– Pani O'Riley! – odezwał się bardzo chłodno. – Przykro to mówić, ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że pani kocha Seana. Jeśli tak jednak jest, nie powinna pani nazywać jego córki suką. Zwłaszcza w tym domu.

Amanda uśmiechnęła się, odrzucając w tył gęszcz swoich platynowych włosów.

– Posłuchaj, Zach. Tak się zdarzyło, że za tego faceta wyszłam za mąż. W rezultacie mam na karku małolatę...

– Która jest prawie w twoim wieku! Tę uwagę Amanda puściła mimo uszu.

– ... poza tym inną sukę, żonę Cala, a także zdychającą ciotkę i tę trzęsącą się staruszkę w kuchni. Nie wiem, na jak długo wystarczy mi dobrej woli. Tym bardziej że dla Seana cały ten harem jest w sumie ważniejszy niż ja. Dlatego może powiesz tej gówniarce, żeby trzymała język za zębami i przestała mnie oskarżać!

Wzięła sobie jedną bułeczkę i wyszła, nie czekając na odpowiedź. Na której prawdopodobnie wcale jej nie zależało.

Po cholerę Sean ożenił się właśnie z nią?

Była wredna, ale w obecności Seana słodka jak miód. Kiedy Kat prychała, jak to kotka, odpowiadała bardzo uprzejmie. Wobec Bridey starała się być serdeczna, wobec Clary i Toma... poprawna, w końcu byli to tylko służący.

Zacha Flynna, rzecz jasna, nie trawiła.

I to cud, że jeszcze nie udało jej się pozbyć Caer.

Poszedł do kuchni, żeby podtrzymać na duchu zdruzgotaną Clare. Powiedzieć jej, że tak naprawdę nikomu do głowy nie przyszło obarczać jej winą. Z kuchni przeszedł do garażu, otworzył drzwi na zewnątrz i wyjrzał na świat.

Był chłodny, rześki poranek, wiatr ucichł. Cisza i spokój. Po takim wieczorze, nocy i poranku wydawało się to zaskakujące.

Jadąc na posterunek, przyłapał się na tym, że już po raz kolejny rozmyśla o Caer. Tak jakoś bardzo prywatnie. Bo i nie ma co się oszukiwać. Coś ciągnie go do niej. Zaczyna szukać jej towarzystwa. Zabrał ją na wyspę i choć może było to lekkomyślne, włączył ją do poszukiwań. Powiedział jej to, czego jeszcze nie mówił nikomu. A przed oczyma miał prawie nieustannie jej oczy. Kobaltowe. Poza tym te jej włosy, takie kruczoczarne. I

te nieprawdopodobnie długie nogi. Cudowne nogi. Gdyby tak owinęły się wokół jego bioder...

Jęknął głośno. I jechał dalej.

Sean z dnia na dzień był w coraz lepszej formie. Ale Caer, świadoma swoich obowiązków, nadal troskliwie opiekowała się pacjentem. Tego ranka, kiedy brał prysznic i ubierał się, siedziała na krześle w jego pokoju. Jak zawsze czujna i gotowa na każde zawołanie.

Sean szykował się do wizyty u kardiologa. Miał zawieźć go Tom. Ku zdumieniu Caer, Amanda wcale nie miała ochoty tam jechać.

Wobec powyższego z Seanem pojechała Caer. Po drodze Sean pokazywał jej co piękniejsze rezydencje i stare dworki.

– Musisz kiedyś je sobie dokładniej obejrzeć, Caer. Zwłaszcza teraz, w tej świątecznej szacie!

– Przyjechałam tu przecież pracować, Seanie.

– Tak, ale ja czuję się już o wiele lepiej. Nie musisz pracować przez cały dzień.

– I już raz wzięłam sobie wolne! Zaraz po przyjeździe zrobiłam sobie wycieczkę na wyspę!

– I bardzo dobrze!

Sean był bardzo sympatyczny. Przystojny, uśmiech miał zniewalający. Fakt, że tak młoda kobieta zdecydowała się wyjść za niego, może i nie był taki dziwny.

Dziwne było to, że wybrał sobie właśnie ją.

Ale sprawy małżeńskie Seana to naprawdę nie problem Caer Donahue.

Dojechali na miejsce. Tom wysiadł z samochodu i chciał podprowadzić Seana do drzwi, ale starszy pan zaprotestował.

– Nie, dziękuję, Tom. Mogę iść o własnych siłach. Nawet jest to wskazane.

Chwilę później Sean w asyście Caer wkroczył do pokoju zabiegowego. Pielęgniarka zmierzyła mu ciśnienie, temperaturę i go osłuchiwała. Po pewnym czasie wszedł kardiolog, doktor Rankin, i zaczął wypytywać Caer, jakie leki bierze Sean. Caer uśmiechnęła się i powiedziała, że najlepiej wie sam pacjent. I Sean rzeczywiście bezbłędnie wyrecytował wszystkie nazwy lekarstw, dawki i pory, w jakich je przyjmuje.

Kiedy Seana zabrano na USG, Caer wyszła do poczekalni. Siedziała tam jakaś kobieta i czytała gazetę. W gazecie, jak zauważyła Caer, nadal zamieszczano zdjęcie Eddiego. Co prawda już mniejsze, ale nadal na pierwszej stronie. Nad zdjęciem dużymi literami informacja, że mieszkaniec Newport, który zaginął w tajemniczych okolicznościach, nadal nie został odnaleziony.

Badanie Seana trwało nadal i w tym czasie doktor poprosił Caer do swojego gabinetu. Wypytał ją dokładnie, co wydarzyło się w Irlandii. Caer zdała mu dokładną relację. Doktor Rankin słuchał i kręcił głową.

– Podejrzewano otrucie?

– Tak.

– Ale nie znaleziono niczego?

– Nie. Chociaż zrobiono wszystkie możliwe badania!

– Ależ ja wierzę pani, wierzę. Tylko że to naprawdę dziwny przypadek.

– A jak teraz ocenia pan stan pana O'Rileya, panie doktorze?

– Niezły. Sprawdziliśmy serce, stan żył, poddaliśmy testowi wysiłkowemu. Po tej całej przygodzie panu O'Rileyowi udaje się dość

szybko odzyskać kondycję. Pani, jak zrozumiałem, będzie tu do Nowego Roku?

– Tak.

– To dobrze. Bo mimo wszystko trzeba nad nim czuwać.

Caer zawahała się, wiedziała jednak, że jako pielęgniarzka to właśnie pytanie, bardzo delikatne, powinna zadać lekarzowi.

– Panie doktorze, czy pan O'Riley odzyskał już formę do tego stopnia, że może wrócić do... hm... normalnych relacji ze swoją żoną?

– No cóż... Sean powiedział mi, że tymczasowo zajmuje teraz osobny pokój na parterze. Żona została na piętrze, tak? Wie pani, co? Niech tak zostanie jeszcze przez jakiś czas.

– Pani O'Riley nie będzie zachwycona.

– Trudno – powiedział doktor i pożegnał się, ponieważ inni pacjenci czekali.

Po chwili pojawił się Sean. Rozpromieniony.

– Jestem oficjalnie w dobrej formie – oznajmił.

– Ale nie jest to jeszcze stan idealny – powiedziała ostrożnie Caer.

– Mogę prowadzić samochód.

– Nie, nie powinien pan. Lepiej, żeby Tom woził pana jeszcze przez jakiś czas.

– Tom ma mnóstwo pracy. To duży dom, duży trawnik. Clara też ma pełne ręce roboty. Dlatego zatrudniamy dziewczyny do sprzątnia, przychodzą kilka razy w tygodniu.

– To zrozumiałe. Jedna osoba nie poradzi sobie. Seanie, a czy któraś z tych dziewczyn ma...

– Klucze do domu? Oczywiście, że nie. Clara wpuszcza je do środka, potem pilnuje ich jak kokoszka. Bardzo podejrzliwa kokoszka.

– No tak... Ale wczoraj wieczorem drzwi były otwarte. Sean uśmiechnął się, nachylił się ku Caer i spytał konspiracyjnym szeptem:

– To ty jeszcze nie wiesz?

Caer odruchowo również zniżyła głos.

– O czym?

– W domu jest banshee...

Mrugnął do niej wesoło. Caer uśmiechnęła się raczej blado. Nie powiedziała nic, tylko wzięła go pod ramię i poprowadziła do samochodu. Dopiero kiedy oboje usiedli już z tyłu samochodu, odezwała się przyciszonym, pełnym powagi głosem.

– Seanie...

– Słucham?

– Ty wiesz, że... Zach jest przekonany, że twój przyjaciel Eddie nie żyje.

– Wiem.

– Boję się, że ktoś próbuje zabić ciebie. Nawet nie drgnął. Dalej patrzył przed siebie.

– O tym też wiem, Caer. Między innymi z tego powodu tu jesteś, rozumiesz? Żeby ktoś mi znowu czegoś nie podał, co mogłoby mi zaszkodzić. Bo ja nie mam zamiaru się poddawać. Zbyt wiele rzeczy mam jeszcze do zrobienia. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że koniec musi kiedyś nastąpić. Ale na mnie jeszcze nie pora, dlatego chciałem mieć przy sobie ciebie i Zacha. Poza tym... Ale dajmy już temu spokój. Popatrz...

Wskazał ręką na drogę.

– Tamtędy jedzie się do Green Animals. Starego dworu, w którym jest prawdziwa menażeria. Zwierzęta z tropiku. Bridey uwielbia tam jeździć. Wiadomo. Poznałaś już ją, ona lubi wszystko, co niezwykle. Jak na przykład... banshee.

Detektyw Morrissey, usadowiony za swoim biurkiem, spoglądał na Zacha z wyrzutem.

– Dlaczego pan od razu nie zadzwonił? Wysłałibyśmy kogoś, żeby rozejrzał się po okolicy.

– Sean nie chciał wam zawracać głowy. Uważa, że drzwi nie były zamknięte na klucz przez przypadek. Może ma rację. Nic przecież nie zginęło. W każdym razie teraz zawsze dopilnuję, żeby wieczorem został włączony alarm. A co pan sądzi o śladach na tej trawie, którą przywiozłem?

Morrissey lekko wzruszył ramionami.

– Myślę, że faktycznie, tak jak pan podejrzewa, jest to talk. Wątpię jednak, czy dokądkolwiek nas to zaprowadzi – powiedział zrezygnowanym głosem. – Nadal przecież nie mamy ciała. Zakładamy, że Eddie Ray nie żyje, ale ciała nie ma, a więc to nic pewnego. Szczerze mówiąc, zaczynam wątpić też w pańską teorię o zabójcy pletwonurku. Oczywiście sprawdziliśmy sklepy ze sprzętem. Bez efektu. Bo i faktycznie, wielu ludzi ma swój własny sprzęt, a więc...

– Rozumiem – powiedział Zach Morrissey odchylił się w swoim krześle.

– Dobrze pan wie, panie Flynn, że ludzie na ogół nie zabijają bez powodu. Oczywiście, psycholi nie brakuje. Ale taki wyrafinowany morderca, bo ten taki na pewno jest, miał jakiś powód. Jeśli znajdziemy powód, może dojdziemy, kto to zrobił.

- Wiem.
- No cóż... w takim razie dziękuję. Pozostajemy w kontakcie.
- Oczywiście.

Morrissey wstał. Podali sobie ręce, Zach wyszedł i pojechał do biura firmy. Byli tam Cal i Marni. Cal siedział przy telefonie i umawiał się z firmą sprzątającą, Marni przeglądała księgi.

– Posucha? – spytał Zach, trochę zdziwiony brakiem amatorów na wycieczkę jachtem. Przecież dzień był piękny, a turystów w mieście nie brakowało. Głównie emeryci, przyjeżdżali przede wszystkim po to, by podziwiać świąteczne dekoracje.

– Tak. Cisza i spokój – przyznała Marni. – Może to i dobrze. W lecie mamy urwanie głowy. W środku sezonu musimy zatrudniać dodatkowe osoby, inaczej byśmy się nie wyrobili. A teraz Cal sam daje radę. Póki co...

– Marni westchnęła. – Bo podczas świąt znów będzie duży ruch. I na Nowy Rok. Porozmawiam z Seanem, żeby zatrudnić dwóch kapitanów... Co tym razem sprowadza cię do biura, Zach?

- Komputer Eddiego.
- Aha. A więc proszę, stoi tam.
- Dzięki.

Oczywiście, nie pisnął ani słowa, że doskonale już wie, który komputer jest Eddiego.

Usiadł przy biurku Eddiego, włączył komputer i przejrzał wszystkie operacje z ostatnich dziesięciu dni. Kiedy wszedł na strony, których przeciętny użytkownik raczej nie odwiedzał, zorientował się, że za nim stoi Marni i patrzy w ekran.

- Jak ty to zrobiłeś? – spytała.

– Co?

– Jak wróciłeś tyle dni wstecz? Ja umiem wrócić tylko do stron, które odwiedzałam ostatnio.

– To wcale nie takie trudne. Wiadomo, że każdy komputer, nawet ten najgorszy, ma zapisanych w pamięci mnóstwo informacji. A ten komputer jest całkiem niezły.

– O, tak. Dlatego Eddie koniecznie chciał mieć ten właśnie komputer. A mnie wszystko jedno. Internet to Internet. Mamy swoją stronę, wiesz o tym? Eddie ją zrobił. Nie uwierzysz, ale stary Eddie jako jedyny z nas zna się na tym! – powiedziała Marni z uśmiechem, ale uśmiech szybko znikł, kiedy uświadomiła sobie, że mówi w czasie teraźniejszym o kimś, kto prawdopodobnie nie żyje. Dalej stała za Zachem. Dlatego spytał.

– Macie tu kawę?

– Jasne! Wreszcie poszła.

Zach mógł spokojnie pracować dalej. A więc – niezbite fakty. Jak dotychczas trzy. Eddie wypłynął z facetem, który przedstawił się jako John Alden. John Alden płacił gotówką. Łódź znaleziono koło Cow Cay.

Do trzech niezbitych faktów dodał jeszcze inne, niesprawdzone, ale w które on osobiście wierzył. Ktoś zabił Eddiego i w kombinezonie płetwonurka dopłynął do wyspy. Potem jakoś z tej wyspy się wydostał. Ten ktoś zabił Eddiego z jakiegoś powodu.

Potem przeszedł do naprawdę czystych hipotez. Ktoś próbuje zabić Seana. Jeśli tak – to kto? Amanda, jego żona, dla korzyści materialnych? Byłoby to bardzo logiczne. Młoda, piękna. Sean stary i bogaty. Typowy scenariusz, bardzo pasujący do tej sytuacji. Może nawet za bardzo.

Z jakich powodów ludzie zabijają? Miłość, namiętność, chciwość.

Eddie wchodził na wszystkie strony, gdzie mógł uzyskać informacje o Rhode Island i Rewolucji Amerykańskiej. Studiował mapy tych okolic, szukał informacji o bitwach i dowódcach. Także o Nigelu Bridgewaterze, którego powiesili Brytyjczycy. To był miejscowy bohater. Eddie odwiedzał strony poświęcone w całości Nigelowi, szukał też stron, gdzie były o nim tylko wzmianki. Nie robił jednak żadnych notatek, nie wyciągał żadnych wniosków. W każdym razie nie zapisywał tego w komputerze.

Otworzył kalendarz Eddiego. Były tam zapiski dotyczące spraw zawodowych. A w rubryce pierwszego dnia świąt notatka z trzema wykrzyknikami:

Sean dostanie swój prezent!!! I robi wielkie oczy!!!

Zamknął kalendarz i odwrócił się. Zobaczył uśmiechniętą Marni z kubkiem kawy.

– Czarna?

– Tak. Czarna. Dzięki.

Marni podała mu kubek i westchnęła.

– Biedny Eddie...

– Nadal mamy nadzieję – powiedział Zach.

– Oczywiście! I trzeba ją mieć. Ale... Mam złe przeczucia. Eddie nigdy by nie wyjechał tak bez słowa. Wiem, że tego by nie zrobił.

– Dzięki, żeś mi to powiedziała.

Wróciła do swojego biurka, a do biura weszła grupa młodych mężczyzn. Chcieli wynająć jacht i popływać sobie po zatoce. Zajął się nimi Cal, który skończył już pertraktacje przez telefon.

Zach zamknął komputer Eddiego. Był prawie pewien, że wreszcie czegoś się doszukał. Co prawda, niewiele, ale dobre i to. Teraz koniecznie powinien wybrać się do domu Eddiego. I porozmawiać z Seanem.

Namiętność, zazdrość, chciwość. Ludzie zabijani są też dlatego, że za dużo wiedzą albo mają coś, czego inni im zazdroszczą.

Czy w przypadku śmierci Eddiego i Seana, firmę przejmują Cal i Marni?

Nie. Kat i Amanda dziedziczyły to, co nie było zapisane innym, łącznie z udziałami Seana w firmie. Czyli Cal odpadał, wyeliminowanie Eddiego i Seana nic by mu nie dało. Amanda jako wdowa prosperowałaby nieźle. Co prawda Sean gros swego majątku zapisał na Kat, ale Amandzie na pewno wiodłoby się lepiej niż przed małżeństwem z Seanem.

Amanda również niczego by nie zyskała, gdyby to ona zabiła Eddiego.

Czyli nie firma, nie osobisty majątek Seana czy Eddiego.

W takim razie – co? Poszukiwania Eddiego i Seana? Od lat tropili Nigela Bridgewater...

Zach pomachał Calowi i Marni na pożegnanie i wyszedł z firmy. Zamyślony.

Tak, to może być jakiś trop. Wojna o niepodległość Stanów, zaginiony skarb patriotów...

Bridey naprawdę poczuła się kiepsko i w całym domu podniesiono alarm. Caer natychmiast zakrzętnęła się koło staruszki. Zrobiła jej herbatę i tosty, nastawiła lekką zupę. Lekarz rodzinny, który przyjechał do Seana, zbadał oczywiście i jego starą ciotkę. Przepisał antybiotyk. Bridey, niby bardzo skrepowanej zamieszaniem wokół swojej osoby, chyba to się podobało.

Kat wzbijała jej poduszki, usiadła i zaczęła jej czytać. Caer wpadła na moment z ciepłym uśmiechem i sakramentalnym pytaniem, jak się Bridey czuje. Potem Caer zeszła na dół na lunch, który jadła w towarzystwie Seana i Amandy. Podczas lunchu Amanda, o dziwo, była czarująca nie tylko w stosunku do męża. Po lunchu udała się do pedikiurzystki.

W pewnym momencie w jadalni pojawił się Zach i załapał się na dorsza, groszek i ziemniaki, posypane zieloną pietruszką, czyli to, co przygotowała Clara na lunch.

Zach mógł dotrzymać towarzystwa Seanowi, Caer więc z czystym sumieniem pobiegła na górę, do Bridey. Wtedy Kat zeszła na dół, aby posiedzieć z ojcem, czyli było już tak, jakby Caer i Kat zawarły milczące porozumienie.

Jedną z nich zawsze pilnowała Seana.

Obie uważały, że Seanowi grozi niebezpieczeństwo, z tym że Kat, jak wiadomo, wytypowała już konkretną osobę. Jej zdaniem Amanda to nikt inny, tylko diabeł wcielony.

Caer usiadła na krześle przy łóżku Bridey i ostrożnie wzięła do ręki starą, pomarszczoną dłoń. Przypomniała sobie, jak Bridey, kiedy się poznały, patrzyła na nią podejrzliwie. Caer zapewniła ją wtedy, że jest tutaj tylko po to, by opiekować się Seanem. Wiedziała jednak, że staruszka nie do końca darzy ją zaufaniem, tak samo zresztą jak Zach. Chociaż żadne z nich nie potrafiło wyjaśnić, dlaczego tak właśnie jest.

– Banshee... – szepnęła Bridey. Wcale nie przez sen, bo nagle otworzyła oczy i zaczęła wpatrywać się w Caer. – Różne rzeczy o niej opowiadają... Podobno przybiera ludzką postać, kiedy wysyłają ją, by chronić kogoś, kogo trzeba ustrzec przed śmiercią.

- Czyli zadanie bardzo szlachetne – rzuciła z uśmiechem Caer.
- Tak... Ale wtedy banshee staje się znów istotą z krwi i kości.

Zaczyna odczuwać wszystko, jak każdy człowiek.

- Czy to źle?
- Czasami dobrze, czasami źle. Bo uczucia bywają bardzo bolesne.

Czasami życzymy komuś źle...

– No cóż... takie jest życie. Dobro przeplata się ze złem. Nic na to nie poradzimy, prawda? Trzeba zobaczyć brzydotę i zło, żeby dostrzec piękno i dobro.

Bridey pokiwała głową i lekko ścisnęła jej palce.

– Caer, czy ty... ty jesteś tu z mojego powodu?

– Nie rozumiem, Bridey. Chcesz wiedzieć, czy z twojego powodu przyjechałam tu z Irlandii? Nie. Przyjechałam tu jako pielęgniarka Seana. Przypomnij sobie.

– Dziecko, jestem bardzo stara, ale nie mam jeszcze demencji. Pytam się, czy jesteś tu z mojego powodu?

– Ja...

Zwykle bardzo łagodne spojrzenie staruszki nagle stwardniało. Nie odrywała oczu od Caer. Po chwili jednak spojrzała w górę, ponad jej ramieniem. Caer odwróciła się odruchowo i zobaczyła, że do pokoju wchodzi Zach.

Ciekawe, czy słyszał, o czym rozmawiały. Och, w sumie nieważne, teraz coś innego zaniepokoiło Caer. To, co powiedziała Bridey o ludzkich uczuciach. Że bywają bolesne.

Bo to prawda. Bywają bardzo bolesne.

Od samego początku była zafascynowana Zachem. W miarę upływu czasu, gdy poznawała go coraz lepiej, podobał się jej jeszcze bardziej. Jego niezwykle oczy i rude, miękkie włosy opadające na czoło. Uroczy uśmiech, barwa jego głosu. Zręczne ruchy. Czulość w jego oczach, kiedy spoglądał teraz na niedomagającą Bridey. Szacunek, jakim darzył innych ludzi, cierpliwość. Jego inteligencja i poczucie odpowiedzialności. Dla ludzi, którzy dla niego coś znaczą, Zach był gotów zrobić wszystko.

Pociągał ją nie tylko jako człowiek. Także jako mężczyzna. Chciała go dotykać, przytulić się do niego, chłonać jego ciepło, jego witalność. Usłyszeć, jak szepcze jej do ucha słowa namiętności, słowa...

– Własnym oczom nie wierzę! Bridey! – Zach, uśmiechając się ciepło, podszedł do staruszki i pocałował ją w czoło. – Przecież podczas świąt chorowanie jest surowo zabronione! Musimy więc jak najszybciej cię z tego wyciągnąć!

Bridey roześmiała się, ale jej śmiech przeszedł w kaszel.

– Bridey, proszę, napij się wody.

Caer nachyliła się nad staruszką, podsuwając jej do ust szklanę z wodą.

Zach stał tuż obok niej. Czowała jego ciepło, słyszała jego miarowy oddech. Miała wrażenie, jakby wyczuwała bicie jego serca. I swojego. Dokładnie w tym samym rytmie.

Bridey skończyła pić. Caer wyprostowała się i odstawiła szklanę na stolik.

– Czuję się już dobrze – oznajmiła Bridey. Zach spojrzał na Caer pytająco.

– Lekarz zbadał Bridey – powiedziała. – Przepisał jej antybiotyki.

Zach skinął głową. Bridey machnęła ręką.

– Powiedziałam, że czuję się już dobrze. A teraz idźcie już sobie, oboje. Chcę się zdrzemnąć.

– Dobrze – powiedziała Caer. – Najpierw drzemka, ale potem pamiętaj, trzeba wziąć lekarstwo.

– Dobrze, dobrze...

Bridey niecierpliwie machnęła ręką. Zach ruszył do drzwi, Caer pochyliła się jeszcze nad chorą i zaczęła starannie otulać ją kołdrą.

– Caer... – szepnęła Bridey. – Eddie nie żyje. Widziałam go we śnie. Powiedz, czy ty przyjechałaś tu z powodu Eddiego?

– Bridey, przysięgam, nie mam pojęcia, co się dzieje z Eddie – powiedziała Caer cichutko, z nadzieją, że Zach ich nie słyszy. – Śpij już, Bridey, śpij...

Pogłaskała ją po policzku i uśmiechnęła się, najcieplej jak umiała.

– Dobrze z ciebie dziecko, Caer... – szepnęła staruszka. – Bardzo dobre. Idź już, rzeczywiście musisz trochę pospać.

Caer wyszła na korytarz, gdzie czekał na nią Zach z posepną miną.

– Kiedy to się stało, Caer?

– Dziś rano Bridey obudziła się z katarem. Kaszłała. Lekarz, który przyjechał rano do Seana, zbadał ją dokładnie i przepisał antybiotyk.

– To dobrze, bardzo dobrze.... Caer, jesteś teraz wolna? Chcesz jechać ze mną?

– Dokąd?

– Do domu Eddiego.

– Sama nie wiem. Sean...

– Sean i Kat wybierają się na świąteczne zakupy. Nie będzie ich co najmniej godzinę. Lekarz pozwolił mu ruszyć się z domu, pod warunkiem, że Sean nie będzie przesadzać.

– Wiem. Lekarz powiedział, że Sean może stopniowo wracać już do dawnego trybu życia.

– A więc jak? Jedziemy? Rozejrzemy się trochę po domu Eddiego, może coś to da.

– My? – Caer nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Czyżbym aż do takiego stopnia cieszyła się twoim zaufaniem?

– Do takiego, choć nie do końca. Z tym, że jeśli chodzi o Seana, ufam ci bezgranicznie.

– Dobrze i to – rzuciła z uśmiechem. – W takim razie jedziemy.

Do domu Eddiego było bardzo niedaleko. Minęli kilka posesji i byli już na miejscu. W niewielkim dziewiętnastowiecznym domu w stylu rustykalnym. Urokliwym zarówno z zewnątrz, jak i w środku. A więc przede wszystkim kominek, przed kominkiem wielka kanapa obita skórą. Na pięknym, starym sekretarzyku, odpowiednio wzmocnionym, stał komputer. Eddie chyba lubił oglądać telewizję, stąd plazmowy telewizor z gigantycznym ekranem. Caer zauważyła też na półkach mnóstwo DVD o Rewolucji Amerykańskiej, żeglarstwie, poszukiwaniu skarbów, archeologii i podobnej tematyce.

– Eddie, tak jak Sean, też interesował się historią? – spytała Caer.

– Tak – odparł Zach, podchodząc do komputera. – To była ich wspólna pasja. Przede wszystkim losy ich ulubionego bohatera z Rhode Island...

– Nigela Bridgewater!

– O! Skąd wiesz?
– Sean opowiedział mi o nim, kiedy leżał w szpitalu w Dublinie.
– Rozumiem... Caer, posiedzę trochę przy komputerze, a ty rozejrzyj się tu, dobrze? Jak coś zwróci twoją uwagę, daj mi znać.

– Dobrze.
– Policja już tu była. Przeszukali dom dokładnie. Nie sądzę, żebyś znalazła coś szczególnego, ale zawsze warto spróbować...

Mówiąc włączyła już komputer. Caer zabrała się więc też do roboty. Zaczęła od książek i DVD. Większość o Rewolucji Amerykańskiej. Kilka pozycji o wojnie secesyjnej, kilka o tematyce bliskiej Caer – o Irlandii. Biografia pierwszego prezydenta Republiki Irlandzkiej, Eamona de Valery, biografia Briana Boru, króla Irlandii, pogromcy Wikingów, także obszerne studium na temat Wikingów w Irlandii.

– Nigel Bridgewater był czymś w rodzaju słynnego Lisa z Bagien z Południa – powiedział Zach, nie przerywając stukania w klawiaturę. – Nigel doskonale znał tutejsze rejony Atlantyku, służył przecież w Brytyjskiej Flocie Wojennej. Potem otworzył drukarnię i rozwoził różnego rodzaju listy

I dokumenty po całym Wschodnim Wybrzeżu. Czasami nawet woził żółd. Legenda mówi, że na krótko przed pojmaniem spotkał się z ambasadorem Francji, jeszcze zanim Francja w pełni włączyła się w sprawy amerykańskie. Dostał wtedy złoto, srebro, klejnoty warte krocie. Miało być to dostarczone Kongresowi Kontynentalnemu. Brytyjczycy od dawna wiedzieli, że Nigel uczestniczy w walce o niepodległość Stanów, ale ciągle udawało mu się umknąć z zastawianych na niego zasadzek. Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy go pojmano. Jego statek, wyładowany bronią,

płynął bardzo powoli. Został ostrzelany w cieśninie Rhode Island. Stał w ogniu i Brytyjczycy pojмали Nigela. Byli na niego wściekli, bo przedtem tyle razy udało mu się wyprowadzić ich w pole. Zabrali go ze statku, zanim poszedł na dno, zrobili mu proces i z miejsca powiesili. Podobno przedtem wzięli go na tortury, ale nic im nie powiedział. A znał nazwiska wszystkich amerykańskich szpiegów w koloniach amerykańskich, nawet w Anglii.

– Prawdziwy bohater.

– Tak. Wielu ludzi sądzi, że ten skarb, który wiozł ze sobą, zatonął razem ze statkiem w cieśninie. Statku nigdy nie odnaleziono. W cieśninie jest bardzo głęboko, woda lodowata, ale przecież Titanika w końcu odnaleziono. Może kiedyś odnajdzie się i statek Nigela. Co wcale jeszcze nie znaczy, że odnajdzie się i skarb. Istnieje bowiem również podejrzenie, że Nigel podczas ostatniego swego rejsu bał się, że może natknąć się na Brytyjczyków, więc przed wyruszeniem w morze skarb i ważne listy ukrył gdzieś na terenie stanu Rhode Island. A gdzie? Tego nikt nie wie.

– Zach! Sądzisz, że Eddie znalazł ten skarb?!

– Nie wiem. Ale może natrafił na jakiś ślad. W swoim kalendarzu w komputerze służbowym zapisał, że w pierwszym dniu świąt da Seanowi jakiś prezent. A Sean zrobi wielkie oczy. Czyli, logicznie, Sean dostanie coś, na czym mu bardzo zależy. Może więc faktycznie ten prezent związany był z tym skarbem. Może sama wiadomość, gdzie należy szukać...

Caer słuchała go i jednocześnie nadal przesuwała palcem po grzbietach książek. W pewnym momencie jej ręka znieruchomiała. Natrafiła na coś, co było wetknięte między dwie książki.

Wyciągnęła to i bardzo szybko obejrzała.

– Zach?

– Co?

– Sądzę, że Eddie chciał Seanowi przekazać więcej niż tylko wiadomość.

– Co?!

Zach zerwał się z krzesła i podszedł do Caer, która wręczyła mu to, co właśnie znalazła. Resztki papieru pakowego i dowód nadania przesyłki pocztą kurierską.

Zach szybko przebiegł wzrokiem po kartce papieru.

– Paczka – powiedział. – Dwanaście kilo.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sean, kiedy dowiedział się, co znaleziono w domu Eddiego, zdecydował:

– Czekamy, aż przesyłka nadejdzie.

– Ale... ale przecież chyba można już zlokalizować tę przesyłkę. Mają ją w systemie – zaprotestowała Caer, spoglądając z nadzieją na Zacha.

Ale Zach pokręcił przecząco głową.

– Niestety – powiedział. – System pocztowy jest nie do ruszenia. Wątpię, czy nawet kumpłom Aidana z FBI udałoby się do nich włamać. Niech będzie więc tak, jak chciał Eddie. On zawsze wierzył w pocztę.

– Bez przesady – mruknął Sean. – Rachunki za elektryczność zawsze przychodzą do mnie po terminie. Przesyłka od Eddiego na pewno nie nadejdzie tak szybko. W okresie przedświątecznym poczta ma urwanie głowy. Ale cóż. Nie pozostaje nic innego, jak czekać.

Sean ziewnął i przeciągnął się.

– Chyba pora na moją drzemkę. A wieczorem jestem umówiony z córką. Ma wypróbować na mnie kilka swoich nowych piosenek...

Uśmiechnął się. Uśmiech znikł, kiedy zobaczył dwie pary oczu, wlepione w niego.

– Słuchajcie, kochani, czy wy musicie dosłownie śledzić każdy mój ruch? Głupi nie jestem, naprawdę uważam na siebie. Niedługo zatrudnicie kogoś, żeby próbował moje jedzenie, zanim cokolwiek wezmę do ust. O, Jezu... – Sean jęknął. – Po co wam to powiedziałem! Czuję, że uważacie to za świetny pomysł!

– Seanie, zrozum... – zaczął Zach, ale Sean nie dał mu dokończyć.

– Przecież wiem! Ten, kto zabił Eddiego, próbuje zabić mnie! Przecież to jasne jak słońce! Myśleliście, że o tym nie wiem? Jasne, że wiem!

– I co teraz? – spytała Caer.

– Nic. Po prostu czekamy. Nic innego nie można zrobić.

– Ja wracam do domu Eddiego – oznajmił Zach. – Dalej będę szperać w jego komputerze.

– Nie, Zach – powiedział stanowczym głosem Sean. – Odłóż to sobie do jutra.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie można żyć tylko pracą. Ty i Caer potrzebujecie trochę rozrywki. Idźcie sobie gdzieś na obiad, posłuchajcie muzyki. Dzień jest piękny, wieczór na pewno też taki będzie. Ze mną zostaje córka, która podjęła stanowczą decyzję, że będzie teraz po prostu przyklejona do mnie. A was dziś wieczorem nie chcę tu widzieć!

– Ale, Seanie...

– Powiedziałem. Amanda je dziś obiad z paniami z klubu miłośniczek ogrodów. Wróci późno. A ze mną będzie Kat, jeśli o to wam chodzi.

– W takim razie... – Zach spojrzał na Caer. – Jestem „za”. A ty?

– Ja? – Caer uśmiechnęła się. – Muszę przyznać, że nie jestem tu przeciążona pracą. Ale skoro szef nalega... Idę się przebrać.

Wyszła z pokoju, a Zach zadał Seanowi jeszcze kilka podstawowych pytań.

– Dokąd radzisz nam pójść?

– Do „Apple Pie”. Nowy, sympatyczny lokal, niedaleko drogi międzystanowej. A potem wpadnijcie do McCafferty'ego. Gra tam kwartet

jazzowy z Luizjany. Rewelacyjny. Dzięki temu Caer naprawdę poczuje nasz kraj.

– Dobrze. Nie jestem jednak tak do końca przekonany, czy powinienem spędzać wieczór poza domem...

– Powinieneś. Stanowczo. Włączę alarm, poza tym, jak powiedziałem, będzie ze mną Kat. Po domu kręcą się też Clara i Tom. Gdyby coś było nie tak, od razu dzwonię na komórkę. Odpowiada?

– Jasne – powiedział Zach. – I jeszcze jedno pytanie.

– Mianowicie? – spytał Sean, wyraźnie trochę już zniecierpliwiony.

– Jak mam się ubrać?

Jak się okazało, warto było przed wyjazdem z Dublina pochodzić po sklepach i kupić między innymi tę ciemnoniebieską koktajlową sukienkę z długimi rękawami. Poza tym pantofle na wysokich obcasach. Dzięki temu człowiek wygląda jako tako...

Lepiej. Bo Kat, która stanęła w drzwiach, powiedziała krótko:

– Super!

– Dzięki, Kat.

– Caer, czy ty płakałaś?!

– A skąd! Musiałam tylko umyć twarz, bo umalowałam się okropnie.

– W taki razie ja to zrobię. Siadaj. Caer usiadła, Kat zabrała się do dzieła.

– No... popatrzmy teraz – powiedziała po kilku minutach. – Moim zdaniem wyszło nieźle. Caer! Wyglądasz rewelacyjnie! Ty zresztą wyglądasz tak zawsze. Nic dziwnego, że Amanda, kiedy na ciebie patrzy, ma śmierć w oczach!

– Amanda... – Caer spojrzała na Kat bardzo poważnym wzrokiem. – Kat, czy ty naprawdę uważasz, że Amanda *zagroza* twojemu ojcu?

– Oczywiście! Mój tata jest już po siedemdziesiątce. Po co jej taki stary mąż? Wiadomo, dla pieniędzy. Ona tylko to ma w głowie. Zakupy i lustro, pół dnia przed nim spędza. Jestem pewna, że gdyby mogła, mnie też by wykończyła. Wiesz co, Caer? Czasami żałuję, że ojcu tak się powiodło i że jest bogaty. Ale stało się. Ojciec całe życie robi to, co uwielbia, może dlatego robi to lepiej niż inni. On i Eddie.

– A Cal?

– Cal jest niezły. Marni świetnie prowadzi księgi rachunkowe. Oboje bardzo się przykładają. Ale wiem, że teraz, kiedy Eddiego nie ma, Calowi nie jest łatwo. Modli się, żeby tata szybko wrócił do formy i nic złego już się nie wydarzyło.

– A ty sądzisz, że coś się jeszcze może wydarzyć?

– A ty tak nie myślisz? W końcu po co tu jesteś?

– Dopilnować, żeby twój ojciec wziął leki, czuwać i obserwować, czy nic złego się nie dzieje z jego sercem albo z ciśnieniem.

– Powiedzmy... – mruknęła Kat.

– Nie rozumiem, Kat. O co chodzi?

– O to, że ty pracujesz dla Zacha. A co, może nie? Flynnowie cię zatrudnili. Tylko nie próbuj mi wmówić, że tak nie jest.

– Bo nie jest!

– Mów, co chcesz. Ale ja mam ciągle nadzieję, że jeszcze coś z tego dodatkowo wyniknie. Zach stanowczo powinien kogoś sobie znaleźć. A wy od początku czujecie do siebie miętę. Wystarczy zauważyć, jak ty na niego patrzysz, kiedy on, oczywiście, tego nie widzi. On patrzy na ciebie

dokładnie tak samo, kiedy ty tego nie widzisz. Jesteś ekstra. Marni i Amanda, choćby stanęły na głowie, przy tobie nie istnieją. Poza tym jest jeszcze jeden powód, który tłumaczy to, dlaczego Amanda ciebie nie znosi. Jesteś od niej znacznie młodsza.

– Ty też – zauważyła z uśmiechem Caer.

– Tak, ale ja to całkiem inna historia. Amanda nie traktuje mnie jak drugą kobietę, potencjalną rywalkę. Jestem tylko córką jej męża. Nienawidzi mnie, ale nie jest o mnie zazdrosna w taki sposób, w jaki jest zazdrosna o ciebie albo o Marni. Marni zawsze przepadała za moim tatą. Kiedyś powiedziała, że to dlatego, iż bardzo wcześnie straciła swojego ojca. A mnie się wydaje, że tylko tak mówi. Szczerze? Jestem pewna, że gdyby mogła, dawno miałyby z nim romans.

– Co?!

– Spokojnie, Caer. Mój ojciec nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił. Dla taty ładna buzia to jeszcze nie wszystko. Dlatego tak nas zatkało, kiedy stracił głowę dla Amandy. Moja mama nie żyje od dawna, tata po jej śmierci właściwie nie umawiał się z żadnymi kobietami. A tu nagle... taka Amanda! A Marni... Przyjrzyj się dokładnie, jak ona zachowuje się w stosunku do mojego ojca. Łasi się do niego. Dziwię się, że Amandzie nie udało się jeszcze przekonać ojca, żeby wyrzucił Calę. W ten sposób przecież pozbyłaby się Marni. Amanda jest wredna. Widziałaś, jak traktuje Clare. Ale i tak nie wygra. Tom i Clara przetrwają Amandę, tak samo Cal i Marni. Mój ojciec wierzy w lojalność. Ale dość tego gadania. W drogę, Caer. Dziś wieczorem ja siedzę przy tacie, a ty, kochana, wykorzystaj szansę, że masz randkę z szefem.

– Z szefem? Kat, żeby sprawa była jasna. Po raz pierwszy zobaczyłam Zacha, kiedy przyjechał do Irlandii do Seana.

– Nieważne. Idź, dziewczyno, i baw się. Wyglądasz powalająco!

Kat chwyciła Caer za rękę i pociągnęła za sobą. Wyszły na korytarz dokładnie w chwili, gdy na schodach ukazał się Zach.

Zach w garniturze. Wyglądał tak, że Caer na moment zabrakło powietrza.

Idąc po schodach, wkładał spinę do mankietów. Włożył, spojrzął w górę i...

I jemu chyba też na moment zabrakło powietrza.

– Do widzenia, już was nie ma! – zapięła radośnie Kat. – Oboje jesteście odstrzeleni, możecie iść!

– Już idziemy, idziemy – mruknął Zach i skłonił się lekko. – Panno Donahue, pani pozwoli...

Wziął ją elegancko pod rękę i poprowadził. Schody, hol, kuchnia, garaż. Otworzył drzwi samochodu, poczekał, aż Caer ulokuje się w środku.

Wcale nie czuła się swobodnie. Bo mimo wszystko faktycznie wyglądało to na randkę.

I wiele mogło się wydarzyć...

Samochód ruszył. Za kierownicą Zach, Caer w fotelu obok, wpatrzona w jego dłonie. Palce długie, smukłe. Nie zniszczone, ale też i nie wypielegnowane przesadnie.

Mocne palce. Mocne... Zadrżała, kiedy pomyślała sobie o ich sile w pewien szczególny sposób...

Zach błysnął białymi zębami w uśmiechu.

– Zadowolona jesteś, że wychodzimy? Chyba nie, bo jesteś spięta.

- Wcale nie – zapewniła go.
- Nie jestem jakimś potworem...
- Ja też nie, zaręczam. Jego uśmiech poszerzył się.
- Pani, panno Donahue, jest przede wszystkim olśniewająca!
- Zgodnie z tym, co powiedziała Kat, oboje jesteśmy odstrzeleni.
- Jesteś olśniewająca, nawet kiedy nie jesteś odstrzelona. Na przykład, kiedy latałaś po piachu na wyspie. Aha, pamiętaj. Dziś wieczorem pełny luz. Sprawy służbowe są tabu.
- Nie wierzę, żebyś o tym przestał myśleć. Nie ty. Lepiej od razu powiedz, co planujesz teraz.
- Wiadomo, co. Dowiedzieć się tego, czego dowiedział się Eddie. Albo co znalazł... Ale naprawdę zmienmy temat. Panno Donahue, proszę opowiedzieć mi o sobie.
- O sobie? Niewiele mam do opowiadania.
- Czyżby? Bo ja mam wrażenie, że o pani można by napisać naprawdę grubą książkę.
- Ach, tak? W takim razie, skoro uważasz, że ja o sobie mogę gadać przez cały wieczór, może lepiej ty opowiesz pierwszy. O sobie. Proszę, słucham.
- Dobrze. A więc... Rodzice umarli, kiedy byłem w szkole średniej. Wspaniali rodzice. Matka miała silną osobowość, jak prawdziwa Irlandka. Ojciec czasami potrafił być surowy, w końcu policjant. Z Seanem kumplowali się przez wiele lat. Mam dwóch braci, najstarszy z nas, Aidan, wstąpił do wojska. Wojsko opłaciło mu naukę, poza tym, dzięki temu, że był wojskowym, mogliśmy wszyscy trzej po śmierci rodziców zostać razem, choć Jeremy i ja byliśmy niepełnoletni. Wszyscy trzej kochamy muzykę i

wszyscy zawsze pracowaliśmy w ochronie porządku publicznego. Rok temu dostaliśmy w spadku plantację koło Nowego Orleanu. Mieszka tam teraz Aidan z żoną i małym dzieckiem. Drugiego mojego brata, Jeremy'ego, na pewno wkrótce poznasz. Mieszka teraz w Salem, w stanie Massachusetts, bo ożenił się z dziewczyną stamtąd... Co jeszcze? Jestem właścicielem kilku małych studiów nagrań. Pierwsze kupiłem, kiedy odłożyłem trochę grosza, potem to pierwsze zarobiło na drugie. I tak już poszło. Wypuszczam płyty z własną etykietą. W muzyce kocham to, co nowe i ekscytujące. Także stare, ale podane po nowemu. Kilku solistów, których wyszukałem, jak na przykład Kat, kupionych zostało już przez duże wytwórnie. Muzyka jest dla mnie odskocznią, jednocześnie przecież pracuję gdzie indziej. Przedtem w policji, w dochodzeniówce, chyba już o tym wiesz. Teraz razem z Aidanem i Jeremym. To by było na tyle. Teraz ty!

- Chwileczkę... Czyli Aidan jest z was najstarszy?
- Tak. Mówiłem ci już. Teraz twoja kolej.
- A więc... O, to chyba ta restauracja!
- Tak. Już dojeżdżamy. Ale się nie wymigasz, Caer!

Polecona przez Seana restauracja mieściła się w pięknym, starym domu w stylu kolonialnym, otynkowanym na biało, z pięknymi kolumnami od frontu. Ubrania personelu też były w stylu kolonialnym, aż po słynne czepki Marthy Washington, małżonki pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, zdobiące głowy personelu płci żeńskiej.

Zaprowadzono ich do elegancko nakrytego stolika we wnęce i podano kartę win.

- Caer, masz ochotę na wino? – spytał Zach.
- A ty co będziesz pił?

– Piwo z beczki. Ale ty zamów to, na co masz ochotę.

– Też na piwo z beczki.

Zamówili piwo, po czym Caer chwyciła za kartę dań i zaczęła studiować ją wyjątkowo wnikliwie.

– Nie wymigasz się, Caer.

– Przepraszam, od czego?

– Nie udawaj. Od opowiedzenia historii swojego życia -powiedział Zach, wyjmując jej kartę z rąk. – Pozwolisz, że sam zamówię coś dla ciebie? Nie jestem szowinistą, ale chciałbym, żebyś zjadła coś naprawdę dobrego i naprawdę amerykańskiego.

– Bardzo proszę.

Kelnerka podała piwo. Oboje zamówili piwo ciemne, z miejscowego browaru. Caer skosztowała i orzekła, że jest znakomite. Zach zamówił nadziewanego indyka, tłuczone ziemniaki i zapiekankę z fasolką szparagową. A na przystawkę minihot dogi z musztardą.

– Są tak amerykańskie jak szarlotka, którą zjemy na deser. A teraz opowiadaj, Caer.

Caer wypiła jeszcze jeden łyk piwa i uśmiechnęła się.

– Ale ty jesteś uparty!

– Muszę. Jedyne sposoby na odkrycie tajemnicy. Czekam na twoją opowieść z wielką niecierpliwością. Irlandczycy potrafią z każdej historii zrobić dramat, przekonałem się o tym nieraz.

Caer roześmiała się.

– Naprawdę? W takim razie dobrze. Mój ojciec był elfem, moja matka banshee. Moja siostra okryła naszą rodzinę hańbą, ponieważ uciekła z leprikonem...

– A jak było naprawdę?

– Naprawdę?

Caer odstawiła swoją szklanę.

– Mój ojciec zginął w walce, miałam wtedy piętnaście lat. Mama wkrótce potem rozchorowała się bardzo ciężko i umarła. Moje rodzeństwo rozjechało się po całej Irlandii. Najmłodszy brat, niemowlę, został adoptowany i zabrany do Australii. A mnie szczęśliwym trafem udało się wykształcić i zdobyć zawód, który daje mi wielką satysfakcję.

– Czyli nie było ci łatwo, fakt. Ale dałaś sobie radę i nie jesteś sama, prawda? Masz przyjaciół, na przykład tę Mary z pubu. Podobało mi się tam, ludzie bardzo sympatyczni. A ty jesteś tam osobą bardzo lubianą.

– No... może. Dziękuję.

Nagle drgnęła zaskoczona. Zach niespodziewanie wyciągnął rękę ponad stołem i musnął palcami jej dłoń.

– Powiedz mi, Caer, co w tobie takiego jest? – spytał cicho.

– We mnie? Co?

– Nie wiem, kim naprawdę jesteś i co zamierzasz. Nie potrafię tego z ciebie wyciągnąć, a jednocześnie wraz z upływem czasu zaczyna mi na tym coraz mniej zależeć. Ufam ci, choć w tym przypadku jest to absolutnie niezgodne z moimi zasadami. Ale co mam zrobić? Kiedy patrzę na ciebie, kiedy słucham twojego głosu, jestem prawie jak zahipnotyzowany...

Podeszła kelnerka. Z minihot dogami, sałatkami i pojemniczkami z musztardą i ketchupem. Zach cofnął rękę, Caer wyprostowała się w krześle i uprzejmie podziękowała kelnerce, która uśmiechnęła się, życzyła im smacznego i poszła sobie.

Caer skosztowała hot doga i orzekła, że jest pyszny. Jadła powoli, delektując się każdym kęsem. Zachowi też te maciupeńkie hot dogi bardzo smakowały.

– Moja historia trochę podobna jest do twojej, Zach – stwierdziła poważnie po chwili. – Oboje wcześniej straciliśmy rodziców...

– Tak. To boli. Nie powinno się tracić tak wcześnie rodziców. Niestety, zdarza się. Tak jak tragedia rodziców, którzy chowają swoje dziecko. Znam dobrze taki przypadek... Cieszę się, że mimo przeciwności losu, dałaś sobie w życiu radę.

– A co by było, gdybym naprawdę była dzieckiem banshee i elfa?

– A tak jest?

– Nie.

– A więc?

– Nic. Ale czasami dziwne rzeczy okazują się prawdziwe.

– Fakt. Ale zwykle to dziwni ludzie sprawiają, że wszystko wokół nich wydaje się dziwne.

– Nie zawsze ludzie... Wierzysz w duchy, Zach?

– W duchy? Aidan, mój najstarszy brat, wierzy w nie święcie. Ale ja... ja zdecydowanie mam wątpliwości.

– Duchy istnieją, Zach.

– Rozmawiałaś z nimi niedawno?

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Wcale nie...

Z rogu sali dobiegły dźwięki muzyki. Grał kwartet smyczkowy, muzycy oczywiście byli ubrani w stroje z epoki kolonialnej.

– Pięknie grają, prawda? – powiedział Zach.

- O, tak.
- To Puccini.

Talerze po przystawkach znikły, podano danie obiadowe. Caer bardzo smakowało nadzienie, w którym zidentyfikowała kukurydzę, orzechy i rodzynki.

Zamówili jeszcze piwo.

Zach opowiedział trochę więcej o Luizjanie i o rodzinnej plantacji, wielokrotnie powtarzając, że Caer musi tam koniecznie kiedyś przyjechać. Opowiadał też o Florydzie, o północnym jej krańcu, gdzie się wychowywał i o południu stanu, gdzie potem pracował. Caer opowiedziała trochę o pracy pielęgniarki, podszkoliła go też trochę z historii Irlandii.

Czas mijał szybko i bardzo przyjemnie. Kiedy jechali do pubu, Zach zabawiał ją wesołymi historyjkami ze swego dzieciństwa. Jak prał się z braćmi, a wystarczyło, że matka złapała któregoś za kark albo jedno jej słowo i chłopaki dawali sobie spokój.

– Baliście się jej? – spytała Caer.

– A skąd! Była cudowna. My trochę dzicy, ale uwielbialiśmy ją. Ojca oczywiście też. Każdy z nas chciał, gdy dorośnie, być podobny do nich.

W pubie Caer została wprowadzona w świat jazzu. Podobało jej się. Bardzo. Siedziała obok Zacha, a on obejmował ją ramieniem i po prostu słuchali muzyki. Nie zamienili ze sobą ani słowa. I to dobrze. Ta cisza między nimi była po prostu... wygodna.

Kiedy wychodzili z pubu, czuła się nieszczęśliwa, że wspólny wieczór dobiega końca.

- Nie chce mi się już wracać – oznajmiła. Zach spojrział na zegarek.
- Mnie też. Jeśli chcesz, pokażę ci jeszcze coś.

- Oczywiście! Ale czy nie jest za późno? Zach roześmiał się.
- Owszem, jest późno, ale mam nadzieję, że uda nam się wejść do środka.

Jechali około pięciu minut, oddalając się od centrum Newport. Zach zaparkował przed starym, zabytkowym domem. Caer zauważyła szyldy na drzwiach. Galeria, sklep muzyczny, fotograf, a na ostatnich drzwiach tabliczka – studio nagrań.

- Twoje, Zach?
- Tak. Mój ostatni nabytek. Wchodzimy na górę.

Weszli na piętro. Zach wyjął z kieszeni klucze, otworzył drzwi i wprowadził Caer do pokoju umeblowanego pięknymi antykami. Biurko, sofa i kilka krzeseł. Na małym stoliku mnóstwo kolorowych czasopism. Jednym słowem było to wygodne miejsce do czekania.

Potem poszli do studia. Caer była zafascynowana całą aparaturą, mnóstwem najrozmaitszych przycisków, kabinami ze szkła, w których były tylko stołki i mikrofony, a koło drzwi wisiały słuchawki.

- Wygląda imponująco – powiedziała. – Ale jak ty na to znajdujesz jeszcze czas?
- Mam ludzi, którzy dla mnie pracują. Menedżerów i techników, większość roboty spada na nich. A to studio jest dobre, naprawdę. Dźwięk, jaki tu uzyskujemy, jest naprawdę wysokiej jakości. Poza tym mamy tu, jak to się mówi, wszelkie wygody.

Poprowadził ją na koniec korytarza. Była tam normalna kuchnia, dalej sypialnia, bardzo ładna, elegancka, w tonacji niebieskiej, obok równie elegancka łazienka.

– Czy tu ktoś mieszka na stałe? – spytała Caer. -Nie. Zatrzymują się tu przyjezdni artyści. Ale w chwili obecnej nie ma tu nikogo.

I w chwili obecnej Caer podjęła decyzję. Nieodwołalną.

To jest twoja noc, Caer. Taka noc może nigdy już się nie powtórzy...

Wolnym krokiem weszła do mrocznej sypialni. Pomyślała, że nigdy jeszcze nie znajdowała się w pomieszczeniu tak... zachęcającym.

Zach przystanął w progu. Odwróciła się do niego.

– Zach... – powiedziała cicho. – Czy teraz to nie ty przypadkiem powinieneś wykonać jakiś ruch?

– Nie powiem, że nigdy nie przyszło mi to do głowy – odparł równie cicho. – Ale kiedy wychodziliśmy dziś z domu, nie było to moim zamiarem.

– Moim też nie. Ale teraz... jest.

Nie podchodził do niej. Czekala, zastanawiając się, ile jeszcze czasu upłynie do chwili, gdy nazwie siebie w duchu idiotką i wybiegnie z tej niebieskiej sypialni.

Nie było okazji się o tym przekonać. Zach w końcu podszedł, a Caer przede wszystkim poczuła ogromne zadowolenie, że w pokoju jest mroczno. Trzęsła się cała. Z tej niepewności.

Potem poczuła wokół siebie ręce Zacha.

Przedtem wyobrażała sobie to nieraz. A teraz... teraz działo się to naprawdę.

Ten cud. Ciepło, siła, wibracje – wszystko, co odczuwała w objęciach Zacha. Delikatny dotyk jego palców, kiedy uniósł jej brodę, żeby spojrzeć jej w twarz.

Potem kolejny cud, ciepły i wilgotny, kiedy jego usta odnalazły jej usta. Dotknęły ich ostrożnie, przywarły i natychmiast wybuchnęły namiętnością.

Wydawało się, że pocałunek trwa w nieskończoność. Caer naturalnie nie miała najmniejszego zamiaru na cokolwiek się uskarżać. Pocałunek trwał i trwał, potem poczuła powiew jedwabiu wokół swej głowy. Zach zdejmował z niej sukienkę. Jej palce zaczęły szybko operować przy jego guzikach.

Nagość była przecież teraz jak najbardziej pożądana.

Nagie ciało przy nagim ciele. Kolejne cuda. Gra mięśni pod jego skórą, bicie serca, unoszenie się i opadanie szerokiej męskiej piersi. Jego oddech mieszający się z jej oddechem.

Spletli się i opadli na łóżko. Caer znów została na jakiś czas unieruchomiona w jego objęciach. Podczas kolejnego gorącego pocałunku. Kiedy oderwał usta od jej ust i dotknął nimi jej ciała, prawie przestała oddychać. Zaczął całować ją całą, czuła jego wargi na piersiach, na szyi, na żebrach, po wewnętrznej stronie ud. Ostrożnie, na początku trochę skrepowana, zaczęła go też dotykać, pieścić.

Rozniecając coraz większy płomień. I w nim, i w sobie.

A potem – ekstaza. Narastająca, oślepiająca.

I uspokojenie. W jego objęciach. Bicie serca. Unoszenie i opadanie szerokiej męskiej piersi.

To wszystko było realne.

Jego twarz była w mroku, kiedy uniósł się na łokciu i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Co takiego jest w tobie, Caer?

Odwróciła się do niego twarzą, zadowolona, że z jej gardła wydobył się teraz śmiech.

– A co takiego jest w tobie? – spytała.

– Och, Caer... Wiesz, co budzi we mnie teraz lęk?

– Boisz się? Czego?

– Czuję, że mógłbym zostać tu na zawsze. Nigdy stąd nie wychodzić.

Jeśli ty będziesz ze mną.

No tak... On był człowiekiem, a ludźmi targają różne emocje, słowa wtedy przychodzą bez trudu. Ale bywa, że czasami wolą potem tych słów nie pamiętać...

Jakie to niesprawiedliwe.

Uśmiechnęła się.

– Nie możemy tu zostać na zawsze, Zach.

– Możemy. Do końca naszych dni, nie byłoby tak źle.

– Kiedyś trzeba będzie stąd pójść.

– Niestety. Ale... – nawet w tym mroku widziała, że się uśmiechnęła – ale na pewno jeszcze nie teraz. Chyba że koniecznie tego chcesz....

Nie, nie chciała. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

Znów działały się cuda. Działy się tak... intensywnie. Umierała, chwilę potem znów budziła się do życia. Tylko po to, żeby znów umierać i znów podążać do tego dziwnego nieba. To był seks, bez wątplenia coś przede wszystkim fizycznego. Ale jednocześnie była w tym magia. Przecież nie zawsze serca biją zgodnym rytmem, nie zawsze dwoje ludzi czuje, że wszystko, ich umysły, dusze i ciało zlały się w jedną całość...

Ale magia ma swoją cenę. Trzeba będzie za nią zapłacić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia, wieczorem, kiedy Zach siedział w gabinecie Seana i przeglądał mapy, nagle w wieczorną ciszę wdarł się czyjś przeraźliwy krzyk.

– Boże! A co to? – zawołała Clara, wlepiając przerażony wzrok w Zacha. Kanapka, którą właśnie mu niosła, oczywiście wypadła jej z rąk.

Zach bez słowa wstał, szarpnął drzwiami i szybko poszedł do pokoju jadalnego, gdzie wszyscy – oprócz chorej Bridey -jedli obiad.

Kiedy wszedł tam, odniósł wrażenie, że patrzy na jakiś obraz. Wszyscy zastygli w różnych pozach. Prawdopodobnie wstrzymali oddech.

Caer stała przed Marni i Amandą, ustawionych za nią jak chórek za solistką. Chociaż Zach nigdy nie widział, żeby dziewczyna z chóru trzymała talerz z plackiem z amerykańskimi borówkami. Tak jak teraz Marni.

Cał zastygł tuż po poderwaniu się z krzesła. Tom musiał wpaść do pokoju bez wątpienia przed sekundą. Twarz miał zaczerwienioną. Sean stał na końcu stołu, obok Kat. Ręka Kat zaciśnięta na srebrnej łożatce do" ciasta.

– Co się dzieje?! – zawołał Zach i oczy wszystkich jak na komendę zwróciły się w jego stronę.

– Szkło – oznajmiła Kat, podnosząc rękę, dźierzającą łożatkę.

Po dłoni Kat spływała strużka krwi.

Zach szybko podszedł do niej i wyjął jej łożatkę z rąk.

– Skaleczyłaś się, krojąc ciasto? – spytał zdumiony, przykładając do skaleczenia serwetkę. – Dlatego tak wrzasnęłaś?

Kat pokręciła przecząco głową.

– Nie. Skaleczyłam się o ciasto.

– Ależ to niemożliwe, dziecko! – wykrzyknęła Clara. – Niemożliwe, żebyś skaleczyła się o ciasto.

– Możliwe. W cieście jest szkło.

Nagle Marni prychnęła. Chwyciła za serwetkę, przyłożyła ją sobie do ust i zaczęła wypluwać ciasto z borówkami.

– Marni! Przełknęłaś już? – spytała Caer z niepokojem.

– Nie! – krzyknęła Marni.

– Claro! – wrzasnęła Amanda.

– Chwileczkę... – zaczął Sean, ale Amanda przerwała mu podniesionym głosem.

– Żadne chwileczkę, Seanie! Clara upiekła ciasto, w cieście jest szkło, ktoś mógł je zjeść i...

– A ja miałam je już w ustach! – wykrzyknęła Marni.

– Na szczęście je wyplułaś. A mogło stać się nieszczęście! – gorączkowała się Amanda. – Seanie, ja wiem, że ty uwielbiasz Clare, ale my dalej nie możemy tak żyć!

– Pani O'Riley! – wykrzyknęła przerażona Clara. – Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła! Nie mam pojęcia, jak to się stało! Przysięgam, ja...

Głos Clary załamał się. Popłynęły łzy. Tom szybko podszedł do żony i objął ją ramieniem.

– Proszę o spokój! – odezwał się stanowczym głosem Sean. – Amando, powstrzymaj się od ferowania pochopnych wyroków. Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak do tego mogło dojść. Claro, proszę, przestań płakać. Dobrze wiesz, jak cię cenię.

– Przepraszam, ale ja omal nie połknęłam tego szkła! – wykrzyknęła Marni i wybiegła z pokoju. Cał pobiegł za nią.

A Zach trzymał już w ręku komórkę i wystukiwał numer Morrisseya.

– Co robisz? – spytała Kat.

– Dzwonię na policję. Trzeba przekazać to ciasto detektywowi Morrisseyowi do zbadania.

– Wcale nie uważam, że należy włączyć w to policję – oświadczył Sean, ale Zach tym razem wcale go nie słuchał.

Połączył się z Morrisseyem i w kilku słowach przedstawił mu sytuację. Morrissey obiecał, że zjawi się jak najszybciej.

– Może szkło było w borówkach kupionych w sklepie – zasugerowała Caer.

– To wszystko przez ciebie! – wykrzyknęła dramatycznie Amanda.

– Przepraszam, o co chodzi? – spytała chłodno Caer.

– O to, że odkąd tu się pojawiłaś, źle się dzieje w tym domu! Ty...

– Nie bądź śmieszna, Amando! – przerwała jej Kat.

– Nasze życie zamieniło się w piekło, odkąd ty pojawiłaś się w tym domu!

– Seanie, słyszałeś? – odezwała się Amanda żalnym głosem. – Zawsze ci mówiłam, że twoja córka nigdy mnie nie zaakceptuje. Ona...

– Cisza! – huknął Sean. – To jest mój dom! Amando, nie zapominaj, że kocham moją córkę. Kat, nie zapominaj, że Amanda jest moją żoną! Caer nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Eddiego czy moją chorobą, na którą zapadłem w Irlandii! Dlatego proszę, Amando, powstrzymaj się od dalszych insynuacji! Proponuję teraz, żebyśmy wszyscy przeszli do salonu. Wypijemy coś mocniejszego i poczekamy na detektywa Morrisseya. Caer

ma rację. Mogło być coś nie tak z borówkami. Claro, kupowałaś świeże czy w słoiku?

– Co? – spytała Clara półprzytomnie. – Och, borówki? W słoiku, panie O'Riley.

– Czyli faktycznie Morrissey jest niezbędny – stwierdził Sean. – Być może szkło jest jeszcze w innych słoikach z borówkami. Idę teraz na drinka. Wam proponuję to samo.

– Tato! Przecież tobie nie wolno pić alkoholu! – zaprotestowała Kat.

– Może i nie wolno. Ale ja koniecznie muszę napić się whisky.

Sean pierwszy wyszedł, reszta podążyła za nim. Ledwo nalano drinki, kiedy w drzwiach pojawił się Morrissey. Caer w tym czasie była na górze, sprawdzała, co z Bridey. Kiedy detektyw wszedł, wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, detektywowi udało się jednak zapanować nad sytuacją. Marni przede wszystkim podkreśliła, że ona i jej mąż nie mieszkają w tym domu, dlatego nie mają pojęcia, co ze słoikiem, z ciastem, z czymkolwiek, co w tym domu się dzieje. Morrissey chciał wiedzieć, kiedy Clara kupiła borówki. Clara, nadal półprzytomna, musiała chwilę pomyśleć, zanim przypomniała sobie, że kupowała borówki tydzień temu. Śmieci zostały już wywiezione, słoika nie dało się uratować. Na szczęście Clara pamiętała, w którym sklepie kupowała borówki, zapamiętała też producenta. Detektyw wiedział więc już, gdzie dalej szukać.

Wyszedł, zabierając ze sobą ciasto. Odprowadzał go Zach.

– Dziwna sytuacja – powiedział detektyw, kiedy znaleźli się już przed domem. – Może powinniście wszyscy na jakiś czas przenieść się do hotelu?

– Niewykonalne – powiedział Zach. – Sean nie dopuszcza nawet myśli, że ktoś z rodziny czy kręgu przyjaciół próbuje zrobić mu coś złego. A

w sumie sytuacja jest bardzo niejasna. Gdyby Kat nie skaleczyła się podczas krojenia ciasta, ktoś mógł najeść się tego szkła. Nie wiadomo, na kogo by padło...

– Może Marni powinna jednak pojechać do szpitala?

– Bo ja wiem... Nie przełknęła tego ciasta, nawet nie przeżuła.

– Pierwszym podejrzanym byłaby osoba, która nie chciałaby jeść ciasta, wiadomo. O ile tego szkła dosypano w domu. O ile Clara nie ma morderczych skłonności...

Morrissey mówił to głosem beznamiętnym. Zach zaprzeczył bardzo żarliwie.

– Głowę dam, że Clara nie ma z tym nic wspólnego! A tego ciasta chcieli wszyscy!

– No cóż... Biorę więc na kiel ciasto i borówki, a pan będzie miał tu na wszystko oko.

Morrissey skinął głową i odszedł. Zach nie zdążył wejść z powrotem, kiedy w drzwiach ukazali się Cal i Marni.

– Idziemy do domu – oznajmił Cal trochę niepewnym głosem, jakby miał wyrzuty sumienia, że on i jego żona wycofują się w tak trudnym momencie.

– Jasne, idźcie – powiedział Zach. – Marni, jesteś pewna, że nie przełknęłaś tego ciasta?

– Nie, absolutnie – zapewniła go Marni. – Gdyby tak było, pierwsza dałabym się, żeby sprowadzić karetkę. Ze mną wszystko w porządku, a ktoś przecież musi pilnować interesu.

– Jasne.

Postali jeszcze trochę.

– Jutro na pewno się zobaczymy – powiedziała po chwili Marni.

– Oczywiście – przytaknął Zach. – Chociaż jutro przez jakiś czas mnie nie będzie. Rozejrzę się po okolicy, może wezmę jacht. Zregeneruję swoje szare komórki. Nic tak nie pompuje człowieka, jak morskie powietrze.

– A co z tymi borówkami? – spytała Marni zaniepokojonym głosem.

– Coś przecież trzeba zrobić.

– Morrissey wziął to na siebie.

Pożegnali się i wreszcie poszli. Zach z powrotem wszedł do domu. Tom i Clara krzatali się po kuchni. Tom, bardzo przygnębiony, zakomunikował Zachowi, że jeśli Amanda dalej będzie tak wrogo nastawiona do Clary, to on i jego żona nie będą mogli tu zostać. Choć bardzo sobie cenią pracę u pana O'Rileya. Zach zapewnił go, że rozumie go doskonale, ale prosił, żeby jeszcze trochę wytrzymali. Na pewno wszystko się wyjaśni.

Poza nimi na dole nie było nikogo. Prawdopodobnie wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Caer, kiedy rozmowa z Morrisseyem dobiegła końca, pobiegła na górę do Bridey. Zach poszedł więc też na górę sprawdzić, co tam słychać.

Caer siedziała na krześle przy łóżku chorej. Trzymała ją za rękę i coś jej opowiadała tym swoim cudownym, melodyjnym głosem. Na pewno o starym kraju, o zielonych wzgórzach, skalistych szczytach gór, o słodkich dźwiękach skrzypiec i harf. W pewnym momencie zaśmiały się obie, kiedy Caer, już głośniejszym głosem, mówiła Bridey, żeby nie zapomniała wystawić na noc buty na korytarz. Na pewno pojawi się leprikon, przecież czyszczenie butów

to jedno z życiowych zadań tych skrzatów. A kiedy leprikon przyjdzie, Bridey go capnie i będzie szansa zdobycia garnka pełnego złota.

Powieki Bridey opadły. Zasnęła. Caer posiedziała jeszcze przy niej przez moment, wstała z krzesła i zauważyła Zacha w drzwiach.

– Zach...

Podeszła do niego szybko.

– Niepokoję się o Bridey – powiedziała cicho zmartwionym głosem.

– Bridey bierze antybiotyk, ale jej stan wcale nie ulega poprawie. A wszyscy wiemy, że zapalenie płuc w jej wieku...

– Będzie dobrze, Caer. W końcu ludzie dożywają setki. Idź teraz do swojego pokoju, będziesz w pobliżu Seana. Jutro posiedzi z nim Kat, a my zrobimy sobie małą wycieczkę.

– To znaczy?

– Natrafiłem na coś, chcę to sprawdzić. Wyruszamy o dziesiątej, zgoda?

– Zgoda. Teraz idę pilnować Seana.

Wyminęli się w progu. Caer poszła na dół, Zach wszedł do pokoju i nachylił się nad chorą staruszką. Niedobrze. Oddychała z trudem, nierówno, oddech był niepokojąco świszczący.

Nie spała. Nagle otworzyła oczy. Nieprzytomne, na pewno nie dostrzegła Zacha. Poruszyła wargami. Zach nachylił się jeszcze bardziej.

– Bridey? Możesz powtórzyć? Przepraszam, nie dosłyszałem...

Powieki opadły. Zach odczekał moment. Wyprostował się. Kiedy zamierzał odejść, Bridey znów poruszyła wargami.

Nachylił się. Tym razem dosłyszał.

– Banshee...

Wiatr za oknem nagle przybrał na sile. W jednej chwili przerodził się w wicher, zawodzący jak upiorne echo.

Banshee, banshee, banshee...

Zach wstał, mimo woli otrząsnął się.

Bridey znów spała, uśmiechając się we śnie.

Wyszedł na korytarz. Przeszedł kawałek i zatrzymał się przy dużym wąskim oknie. Zaslony były rozsunięte. Noc za oknem przepiękna. Poszarpane sylwety skał, rzędy jachtów, srebrzystych od księżycowej poświaty. Latarnie, ustawione wzdłuż basenu jachtowego, rzucały łagodne światło na piękne, stare domy z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Gdzieś tam migoczące różnokolorowe światełka, czyli akcent świąteczny...

Sielanka. Póki Zach nie zobaczył ptaków.

Kruki. Może wrony. Nadlatywały bez przerwy. Było ich już całe stado. Bijąc wielkimi czarnymi skrzydłami przeciągały po niebie i siadały na dachu domku, w którym mieszkała Clara z Tomem.

Do cholery, człowieku, przecież to tylko ptaki! – zwymyślał się w duchu Zach.

Tak. Ale te ptaki rozpościerają swoje skrzydła jak złowieszczą czarną płachtę...

Szybko wrócił do pokoju Bridey. Pochylił się nad chorą i delikatnie dotknął pomarszczonego policzka.

Bridey otworzyła oczy.

– Przepraszam, Bridey, nie chciałem cię obudzić.

– Nie spałam, chłopcze. Słuchałam ptaków. Są tam, na dworze, prawda? Słyszałam bicie skrzydeł. One zawsze przylatują pierwsze.

– O czym ty mówisz, Bridey?

– Ptaki zawsze pojawiają się pierwsze. One wyprzedzają los. Los tych, którzy są błogosławieni albo przeklęci...

Dotknął czoła. Wcale nie rozpalone.

– Bridey, chcesz mnie wystraszyć?

– Wcale nie, chłopcze. I nie martw się o mnie. Niewielu ludzi wie, gdzie będą po śmierci, w niebie czy w piekle. Ja mam to szczęście, że wiem.

– Bridey!

– Przepraszam, Zach, gadam i gadam, a powinnam spać. Ty też powinieneś być już w łóżku. Musisz być wypoczęty, jesteś tu bardzo potrzebny.

Zach pocałował ją w czoło i wrócił do swojego pokoju. Szedł korytarzem i znów słyszał zawrodożenie wichru, jakby lament potępionych. I ptaki, krzyki ptaków. A w głowie cichy szept. To banshee, banshee...

Kat, szykując się do spania, była wściekła.

Amanda, ta larwa. To na pewno ona próbowała zabić tatę. Tata nie chce uwierzyć, że ma żonę potwora, który dla pieniędzy zrobi wszystko. Kiedy tata w końcu przejrzy na oczy?!

Na szczęście, dzięki interwencji Zacha, do akcji wkroczyła policja. Ciekawe, co wykryją. Czy drobno potłuczone szkło w borówkach to sprawa jakiegoś psychologa zatrudnionego w produkcji, czy też faktycznie mamy własnego, prywatnego psychologa tu, na miejscu. W domu.

Umyła zęby, twarz i nałożyła największą, najbardziej przytulną piżamę z flaneli. Wsunęła się pod kołdrę i uśmiechając się pod nosem, przytuliła do siebie jedną ze swoich ukochanych przytulaneek. Pieska collie, wyglądał jak żywy. Tego pieska tata kupił jej wiele lat temu.

Zamknęła oczy. Teoretycznie mogła spokojnie zasnąć. Wiedziała, że wszystkie drzwi są porządnie pozamykane na klucz, alarm włączony. Ojciec i Zach na pewno tego dopilnowali. Ale i tak, mimo woli, wyęzżała słuch. Stary dom pojękiwał. Osiadał, to normalne. Ale ten szum... Co to? Bicie skrzydeł?

Tak, to skrzydła. Skrzydła ptaków, wielu ptaków.

Ptaki, czyli również coś najnormalniejszego w świecie. Nie ma powodu bać się jak małe dziecko.

Powtarzała to sobie w kółko. Przez kilka minut, niestety wcale nie pomogło. Bała się okropnie. Ten złowrogi szum za oknem...

Ptaki... Czowała się tak, jakby grała w filmie „Ptaki”, w tym sławnym horrorze Hitchcocka, a przecież była w swoim domu. Nie powinna dopuścić, żeby rządził nią strach. Poza tym nie była sama. Też na piętrze, prawie obok, śpi Zach. Śpi też Amanda, chociaż ona oczywiście się nie liczy. Ale na dole jest ojciec i Caer.

Na piętrze jest też pokój Bridey...

Na litość boską! Chyba nie ma zamiaru biec teraz z płaczem do chorej, starej ciotki!

Bo i czego właściwie się boi? Głupich ptaków, którym zachciało się polatać w nocy?

Żałosne.

Zdecydowanym ruchem odrzuciła na bok kołdrę. Wstała, podeszła do okna, rozsunęła zasłony i... aż krzyknęła. Wrony. Może kruki. Nieprzebrane ilości. Na dachu domku, na garażu, na drzewach, dookoła domu. Siedziały albo przelatywały z jednego miejsce na drugie. Wielkie, czarne, złowrogie. Zapowiedź nieszczęścia. Ptaki. W nocy. W środku zimy.

I co z tego?! Wyluzuj! Nie po raz pierwszy w życiu widzisz ptaki, łąją się w duchu.

Spojrzała w dół, na szeroki parapet za oknem, i znów krzyknęła. Tym razem o wiele głośniej.

Jeden z ptaków siedział na parapecie. Patrzył na nią. Jednym okiem. Kiedy odwrócił głowę, zauważyła, że drugiego oka nie ma.

Znów spojrzał na nią. Był tak blisko, tuż za szybą. Gdyby okno nie było zamknięte, mógłby ją dziobnąć.

Szybko zaciągnęła zasłony. Ale i tak tego ptaka miała przed oczami. A wyobraźnia podsuwała inny, jeszcze bardziej przerażający obraz. Ptak dziobem rozbija szybę i atakuje ją, wbijając szpony w jej twarz.

Biec do Zacha? Zach jest jak starszy brat, na pewno jej nie wyśmiej.

Ale po co zawracać mu głowę? On ma na tej głowie już tyle, a teraz jeszcze doszło to nagłe uczucie... Przecież to jasne jak słońce, że Zach zakochał się w Caer...

Caer! To jest rozwiązanie! Resztę nocy może przecież spędzić w jej pokoju. Wcale nie musi przyznawać się Caer, że jest tchórzem. Powie jej, że martwi się o ojca i chce być w pobliżu.

Wyszła na korytarz. Zanim jednak doszła do schodów, spojrzała na drzwi do pokoju Bridey. Nogi poniosły ją same.

Bridey spała. Krucha, drobna Bridey, a łóżko duże. Wystarczy miejsca dla nich obu.

Kat ostrożnie ułożyła się obok ciotki, przymknęła oczy. I znów omal nie krzyknęła, kiedy nagle usłyszała cichy, łagodny głos:

- Śpij, śpij, dziecko. Naprawdę nie ma się czego bać.
- Ale te ptaki, ciociu. Ich jest mnóstwo.

– Wiem.

– Widziałaś je, ciociu?

– Słyszę je. To zwiastuny ciemności, Kat. Ale nie bój się, bo to wcale nie znaczy, że ta ciemność jest dla wszystkich, że na całym świecie zgaśnie światło.

Czyli niestety ciocia Bridey znów odpływała w świat fantazji. Ale jej głos był taki słodki, taki kojący...

– Śpij, dziecko, śpij spokojnie. Jestem przy tobie, Kat.

– Kocham cię, ciociu – mruknęła Kat sennym głosem. – Bardzo, bardzo...

Cal stał na tyłach domu przed przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na werandę.

– Dalej tam są? – spytała Marni drżącym głosem. Skinął głową i mocno przytulił ją do siebie.

Mieli wspaniałe podwórze, wymarzone na imprezy na świeżym powietrzu. Oczywiście w lecie, kiedy basen, teraz zakryty na zimę, napęczniony był błękitną wodą. Wtedy często robili tu barbecue, a wszędzie stały fotele ogrodowe, na których rozsiadali się zaproszeni goście.

Dziś wieczorem jednak całe podwórze pełne było ptaków, całkiem nieproszonych gości.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – powiedział Cal, wyraźnie zafascynowany.

Ale Marni te ptaki wcale się nie podobały.

– Cal, czy one nie powinny odlecieć na południe? – szepnęła.

– Teoretycznie tak. Ale z powodu globalnego ocieplenia wszystko już się im pomieszało.

– Nie chcę na nie patrzeć. Cal, sprawdź, czy drzwi są zamknięte na klucz i zaciągnij zasłony. I chodźmy już spać.

Skinął głową, ale nie ruszał się z miejsca. Marni miała wielką ochotę dalej tulić się do męża, ale strach przeważył. Nie, nie mogła patrzeć na te wstrętne ptaszyska. Ani minuty dłużej.

Wysunęła się z jego objęć.

– Idę do łóżka, Cal.

– Dobrze.

Ani drgnął. Stał jak zahipnotyzowany.

– Cal, już zapomniałeś, że dziś wieczorem omal nie umarłam?

– Co?... Och, przepraszam, skarbie! – Odwrócił się i znów ją objął. – Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię stracić!

– Ani ja ciebie – szepnęła. – Kochanie, chodź już do łóżka.

– Jeszcze minutę.

Znów odwrócił twarz ku szklanym drzwiom.

– Jestem zmęczona, Cal. Nie mam siły być tak długo na nogach.

Nawet na nią nie spojrzął, tylko pokiwał głową.

Rozzłoszczona, wbiegła do sypialni i głośno zamknęła drzwi. Ułożyła się na swojej połowie łóżka. Coraz bardziej zła, bo nadal słyszała bicie skrzydeł tych okropnych ptaków.

Zamknęła oczy. Na szczęście czuła, że chyba zaśnie. Wyraźnie zaczynała już odpływać. Myślała sobie o tym i owym, przed oczami przesuwały się różne obrazy...

Nagle siadła prosto jak świeca, potrząsając głową i mrugając oczami, żeby odpędzić od siebie ten ostatni, koszmarny obraz, jaki pojawił jej się przed oczami w chwili, gdy wydawało się, że rzeczywiście już zasypia.

Czarny ptak. Wielki. Przeogromny. Wali potężnym dziobem w szybę. Szyba rozpryskuje się na tysiąc kawałków, ptak wlatuje do środka i wylatuje, unosząc ze sobą Cala.

Zaczęła dygotać na całym ciele. Gotowa wyskoczyć z łóżka i biec, szukać Cala...

Ale, ku jej zdumieniu, Cal leżał obok niej. Spał. Nawet cichutko pochrapywał.

Wtuliła się w niego, starając się znów zasnąć. Bez skutku. Tym razem nie strach, a gniew nie dawał jej zasnąć. Zach, ten pieprzony prywatny detektyw. Znów chce wziąć łódź.

Niech ich wszystkich szlag...

Caer i Sean siedzieli przy stole w pokoju śniadaniowym. Caer, popijając kawę, przeglądała książkę o Nowej Anglii, Sean czytał gazetę. Clara krzątała się dookoła, poprawiając, wygładzając to, co wcale nie wymagało wygładzenia.

Kiedy zadzwonił telefon, Caer aż podskoczyła na swoim krześle.

– To tylko telefon, Caer – powiedział Sean, uśmiechając się pod nosem. – Trochę za głośny, co?

Wstał i podszedł do stoliczka z marmurowym blatem, na którym stał telefon, udający stary aparat z poprzedniej epoki.

– O'Riley, słucham.

Słuchał. Po chwili jego twarz pojaśniała w uśmiechu.

– Rozumiem, sprawa jest poważna, bardzo poważna. Przykro mi to słyszeć, miejmy nadzieję, że nikt nie ucierpiał.

Odłożył słuchawkę, nadal uśmiechnięty.

– Co się stało? – spytała Caer.

Clara stała nieruchomo, wlepiając w Seana oczy.

– Dzwonił detektyw Morrissey – oznajmił. – Znaleźli trzy słoiki z borówkami, w których też było szkło. Wszystkie ustawione na końcu półki, dlatego nikt ich jeszcze nie kupił. Mamy szczęście, że Kat skaleczyła się podczas krojenia ciasta. Gdyby tak się nie stało, ktoś mógłby umrzeć.

– Ale... ale... – wyjąkała Clara.

– Dla nas to bardzo ważna wiadomość, Claro. Mamy dowód, że u nas w domu nikt nie manipulował ani przy borówkach, ani przy cieście. Teraz prowadzone jest dochodzenie, jakim cudem te słoiki trafiły do sklepu.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła triumfująco Kat, ukazując się w progu.

– Od razu wiedziałam, że to nie mogło stać się tutaj, w domu. Ta głupia Amanda jest zwyczajną świnią! Od razu napadła na Clare!

– Kat – odezwał się ostrzegawczo ojciec. – Licz się trochę ze słowami.

– Bardzo mi przykro, tato...

– Miło to słyszeć.

Kat podeszła do stołu i nalewając sobie kawy, uzupełniła swoją wypowiedź:

– ... że masz wredną żonę. Wcale mi nie przykro, że to powiedziałam.

– O, Boże – jęknęła Clara i uciekła do kuchni.

– Tato! A tak a propos żon... Gdzie ona jest, ta twoja ślubna? – spytała Kat, sadowiąc się za stołem.

– Chyba jeszcze śpi.

– Aha... Tato, może wyjdiesz dziś ze mną? Rozmawiałam z Tomem.

Powozí nas trochę.

– Czemu nie? Z przyjemnością pochodzę po mieście w twoim towarzystwie, kochanie.

W tym momencie w pokoju pojawił się Zach z mokrą głową, widocznie brał prysznic dosłownie przed chwilą. Ubrany był na sportowo – dżinsy, gruby sweter, przez ramię przewieszona kurtka.

– A ty dokąd się wybierasz? – spytał ze zdziwieniem Sean.

Zach rzucił kurtkę na krzesło i podszedł do dzbanka z kawą.

– Rozmawiałem z Morrisseyem – powiedział.

– Z nim?! – zwołała Kat. – Przed chwilą dzwonił do nas. Okropna historia z tymi słoikami. Mam nadzieję, że szybko złapią tego drania.

– Morrissey i jego ludzie zajęli się tym. A ja mam zamiar trochę dziś popływać.

– Nie czujesz potrzeby patrzenia gliniarzom na ręce? – spytała Kat, uśmiechając się szeroko.

– Spokojnie. Wiedzą, co robią. Poza tym mogą robić wiele rzeczy, których ja nie mogę. Zbadać ślady w laboratorium, sprawdzić paragony z kart kredytowych i tak dalej. Caer, gotowa? Idziemy. Pamiętaj, żeby wziąć z biura nieprzemakalną kurtkę.

Do pokoju wszedł Tom, który przyniósł pocztę.

– Proszę. Rachunek, rachunek, jeszcze jeden rachunek. List od antykwariusza do Seana. List do Kat... Karta świąteczna, jedna, druga... i list do Caer.

– Do mnie? – spytała wyraźnie zaskoczona Caer.

– Tak. Proszę.

Wręczył jej kopertę. Spojrzała na adres nadawcy. Szpital w Dublinie. Nadawca: Michael Haven.

Czego chciał? Niestety, z odpowiedzią na to pytanie trzeba było poczekać. Tego listu nie zamierzała czytać w obecności innych osób.

– List z domu? Już? Jak miło! – powiedział Sean. Caer szybko wsunęła kopertę do kieszeni.

– To nie z domu, to od jednego ze znajomych. Kat chrząknęła znacząco.

– Znajomy? Bliski znajomy?

Wykrzesanie z siebie uśmiechu wymaga jednak sporo wysiłku, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą.

– Na pewno nie to, co myślisz, Kat. Pracuję z nim, on...

– Dobra, potem pogadacie – rzucił zniecierpliwionym głosem Zach. – Caer, idziemy.

Zach oczywiście na temat listu nie powiedział ani słowa. Choć ten list na pewno wzbudził w nim czujność. Nie mogło być inaczej. Caer zdawała sobie sprawę, że niezależnie od namiętnych przeżyć w studiu nagrań, Zach nadal nie darzy jej bezgranicznym zaufaniem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– A co dokładnie będziemy robić? – spytała Caer, kiedy jechali samochodem na przystań. – Zaskoczyłeś wszystkich, Zach. Ja też nie spodziewałam się, że nie włączysz się do śledztwa w sprawie tych borówek.

– To zadanie dla policji i FBI. Zatrucie artykułu spożywczego jest przestępstwem federalnym. Chociaż ja mam przeczucie, że za tym stoi ktoś z domu Seana.

– Co?!

– Tak. Bo wróćmy do samego początku. Eddie zginął. Eddie nie żyje. Sean jest chory. Rozchorował się zaraz po wyjeździe ze Stanów, dlatego jest bardziej niż możliwe, że to, co mu zaszkodziło, zjadł tuż przed wyjazdem, jeszcze w Stanach. Przebadali go pod kątem wszystkich bakterii, jakie istnieją na świecie, ale nie wzięli pod uwagę metali. Arseniku, na przykład.

– Myślisz, że ktoś zatrzał go arsenikiem?

– Całkiem możliwe. Ale nie byłoby to koniecznie, ponieważ w powszechnym użyciu są też gyromitra.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Gyromitra, czyli grzyby piestrzenicowate. Na przykład piestrzenica kasztanowata. W przypadku niektórych piestrzenicowatych skutki ich spożycia widać dopiero po wielu godzinach.

– Bóle brzucha, torsje i biegunka?

– Tak. A lekarze nie są w stanie niczego wykryć, bo kiedy pacjent trafi do szpitala, w jego żołądku nie ma już śladu po substancji trującej.

– Sądzisz, że Sean miał wtedy umrzeć?

- Na pewno.
- Ale dlaczego ktoś chciałby go zabić?
- Sądzę, że ktoś chce go wyeliminować, bo Eddie dokonał jakiegoś odkrycia, które ma coś wspólnego z Seanem. Może chodzi o ten skarb Nigela Bridgewatera? Wiesz dobrze, że Sean jest zafascynowany tym człowiekiem. Przejrzałem dokładnie wszystko, co Eddie miał w komputerze. Obaj, Sean i Eddie, wierzyli, że Nigel, kiedy przewoził wielkie sumy pieniędzy i ważne listy, zorientował się, że Brytyjczycy są już na jego tropie. Kiedy go pojmano, nie miał przy sobie niczego. Nie chciał wydać ludzi, którzy wspierali finansowo walkę o niepodległość czy uczestniczyli w niej w jakikolwiek inny sposób. Udział w rewolucji, wiadomo, Brytyjczycy uważali za zdradę. Do samego końca nie nazywali tego wojną. Każdy, kto podpisał Deklarację Niepodległości, był świadomy, że jeśli dostanie się w ręce Brytyjczyków, czeka go szubienica.
- Mimo to podpisywali.
- Tak. Z narażeniem własnego życia. Nigel wiedział, co czeka ludzi wymienionych w przewożonych przez niego dokumentach. Dlatego je ukrył, żeby nie dostały się w ręce Brytyjczyków. Ukrył także złoto, srebro i klejnoty, czyli prawdziwy skarb.
- Wiem. Sean marzy o odnalezieniu tego skarbu.
- Tak. A Eddie kochał Seana jak brata. Wiemy już, że wysłał mu coś, co jego zdaniem Seana uszczęśliwi. Mam nadzieję, że przesyłka wkrótce dotrze do adresata. Kto wie, czy Eddie faktycznie nie odnalazł tego skarbu.
- I z tego powodu może został zabity, a zabójca uciekł ze skarbem.

– Może. Ale trzeba wziąć pod uwagę jeszcze inny wariant. Eddie natrafił na ślad, ale do skarbu jeszcze nie dotarł. Przedtem ów zabójca postanowił usunąć z drogi ich obu, Eddiego i Seana.

– Rozumiem. Czyli, jak domyślam się, wyruszamy teraz na poszukiwanie skarbu?

– Zgadza się. Moim zdaniem, skarb nie został jeszcze odnaleziony. Zabójca trochę się pospieszył z zamordowaniem Eddiego i próbą otrucia Seana. Dlaczego ponowił próbę? Może ze strachu, że się zdradzi. Może boi się, że nie dotrze do skarbu pierwszy.

– Może ma rację, bo przecież my teraz wyruszamy na poszukiwanie skarbu? Czy tak? Zach, ty jednak jesteś trochę postrzelony.

Zach uśmiechnął się.

– Może tak... Ale w gabinecie Seana wisi wiele starych map. Jedna z nich oprawiona jest w ramki. Zaznaczone są na niej trasy. Nikt dotąd tego nie zauważył, bo zaznaczone są bardzo sprytnie. Po prostu oryginalne oznaczenia na mapie w pewnych miejscach są ciemniejsze.

– Ale ty zauważyłeś?

– Tak. Kiedy wczoraj wieczorem siedziałem w gabinecie Seana. Ta trasa prowadzi do Cow Cay. A łódź, którą płynął Eddie, znaleziono koło tej wyspy.

– No tak, wszystko jasne... Zach, minęliśmy przystań!

– Tak. Bo najpierw jedziemy po sprzęt.

– Jaki sprzęt?

– Szpadle. Musimy czymś odkopać skarb.

– My?! Chyba oszalałeś, Zach!

– Nie sędzę.

– Człowiek szalony zawsze twierdzi, że nie oszalał. Zach wzruszył lekko ramionami.

– No... może trochę padło mi na mózg. Wczoraj wieczorem chyba coś mi się przywidziało. Ptaki.

– Co? O czym ty mówisz?

– O ptakach. Też je widziałaś? Było ich setki.

– Jakie ptaki?

Ku zaskoczeniu Zacha Caer wydała się tym bardzo przejęta.

– Wrony. Może też kruki. Albo tylko wrony, tylko że wyjątkowo duże.

– Ja ich nie widziałam. Ale była wyraźnie spięta.

– Boisz się ptaków, Caer?

– Oczywiście, że nie.

– Mnóstwo ludzi boi się ptaków. A Bridey uważa, że pojawienie się ptaków to znak.

– Może ma rację...

– Co? Ty też uważasz, że te ptaki to jakiś znak?

– Tak, Zach. Dlaczego mam wierzyć tylko w coś, czego mogę dotknąć? Czy tobie nigdy nie zdarzyło się uwierzyć w coś niewidzialnego?

– Chcesz wiedzieć, czy wierzę w Boga? Tak, wierzę. Prawdopodobnie to spadek po matce Irlandce.

– Wierzysz w Boga, którego nie widzisz. Nie dziw się więc, że ktoś może wierzyć w duchy, cuda, a także w diabła.

– A ja się dziwię. Bóg oczekuje od nas, że przejdziemy przez swoje życie, kierując się zdrowym rozsądkiem. Czyli na przykład ptaki to ptaki. A nie jakiś znak.

– Aha... – Caer roześmiała się głośno.

– Dlaczego się śmiejesz, Caer? – spytał Zach.

– Och, nieważne... Opowiedz lepiej dokładnie, jaka to przygoda czeka nas na tej wyspie.

– Na brzegach mapy tej wyspy, Cow Cay, są małe obrazki, na których pokazano miejsca godne uwagi. Jedno z tych miejsc ma bardzo ciekawą nazwę.

– Jaka?

– Skała Banshee.

– Przepraszam, jak?!

– Skała Banshee. Granitowa skałka na wyspie Cow Cay...

Tymczasem dojechali do parkingu przed przydrożnym supermarketem. Zach zaparkował samochód, ale do supermarketu nie weszli, tylko do niewielkiego, przyklejonego do niego sklepiku Slima i Sally Jenkinsów, których Zach poznał dawno temu, kiedy był jeszcze chłopcem, podczas swoich pierwszych wypraw po okolicy. Caer otrzymała zadanie odszukanie szpadli, Zach natomiast poszedł po kilof i dwa sita do przesiewania piasku. W końcu jak szukać skarbu, to szukać... profesjonalnie!

Za ladą stał syn państwa Jeninsów, Jorey.

– Cześć, Jorey! – powitał go Zach. – Co tam u ciebie słyhać?

– Wszystko dobrze. Jestem teraz w Nowym Jorku, w college[^]. A co u ciebie? Dawno cię nie widziałem. Zach, wiem przecież, że mieszkasz u O'Rileya. Proszę, przekaż mu, że bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Eddiem. Nie mam pojęcia, co on sobie myślał, kiedy brał na pokład tak dziwnego gościa.

Zacha prawie замуrowało.

– Co?! Widziałeś go? Tamtego dnia?

– Tak. Widziałem go w kafejce... – Jorey nagle zbladł. – Zach, czemu tak na mnie patrzysz? Coś niedobrze?

– Niedobrze, bo nie powiedziałeś o tym policji!

– No nie. A powinienem? No jasne. Ale widziałem go tylko przelotnie. Wraciałem wtedy do Nowego Jorku. Kupowałem sobie kawę na drogę. Wszedłem z kafejki, widziałem, jak z kafejki wyszedł facet i zaczął rozmawiać z Eddiem. Tego faceta nigdy bym nie rozpoznał. Właściwie nie było go widać. Miał na sobie długi, szeroki płaszcz, w ręku torbę podróżną. Na głowie kapelusz typu fedora. Po cholere komuś taki kapelusz, kiedy wypływa żaglówką?

– Jorey, koniecznie musisz powiedzieć o tym policji.

– Wiem. Głupi jestem, że tego jeszcze nie zrobiłem. Nie ze złej woli, po prostu nie pomyślałem.

– Jorey, jak myślisz, czy ta torba była wystarczająco duża, żeby schować w niej sprzęt do nurkowania?

– Chyba tak. Była naprawdę duża, a facet mały, na pewno była dla niego za ciężka.

– Twarzy nie widziałeś?

– Nie. Bo i jak? Kapelusz nasunięty na oczy, poza tym wąsy, prawdziwe sumiaste wąsy. Obrzydliwe.

Caer wróciła ze szpadlami. Jorey spojrział na nią, uśmiechnął się głupawo i nie odrywał już od niej oczu.

– Dzień dobry! Czym mogę pani służyć?

– Dzień dobry. Jesteśmy razem – powiedziała Caer, wskazując na Zacha.

– Irlandka?

– Tak.

– Jorey – odezwał się Zach. – Jorey! Spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Co?

– Może sobie jeszcze o czymś przypomnieć?

– Czekał, niech pomyślę... Potem było tak. Ten gość dokądś poszedł, a Eddie żartował, że w dzisiejszych czasach nikt nie chodzi z taką gotówką w kieszeni. Aha, i Eddie powiedział jeszcze, że facet koniecznie chciał płynąć na „Sea Maiden”. Zach, myślisz, że on zabił Eddiego?

Zach z posępną miną pokiwał głową.

– Cholera! – zaklął Jorey. – Powinienem być lepiej mu się przyjrzeć. Powiedzieć Eddiemu, żeby tego gościa nie brał na pokład.

– Nie ma sensu teraz cokolwiek sobie wyrzucać. Skąd mogłeś wiedzieć, jak to wszystko się skończy? Poza tym Eddie był dorosłym człowiekiem. Wątpię, czy byś go namówił, żeby zrezygnował z klienta.

Zach szybko napisał na karteczce numer komórki detektywa Morrisseya.

– – Weź, Jorey. Zadzwoń do niego koniecznie. Może będzie chciał zadać ci jakieś pytania, które mnie nie przyszły do głowy. Aha, i mała prośba. Mnie dziś tu nie było, jasne?

– Jasne.

Oprócz szpadli, kilofa i sit Zach kupił jeszcze dwa wykrywacze metalu i wielką płócienną torbę, do której załadował cały sprzęt.

Kiedy dojechali na nabrzeże, Zach zatrzymał samochód przed firmą.

– Wejdź do środka, Caer. Jeśli są tam Cal i Marni, daj mi dyskretnie znak ręką i zajmij ich na kilka minut.

Caer spojrzała na niego dziwnie. Jakby faktycznie miał nie po kolei.

– Caer, proszę. Przecież nie wiemy jeszcze, kto za tym stoi, prawda?

– No... nie wiemy. A o czym mam z nimi rozmawiać?

– Na przykład, jak Marni się czuje po tej wczorajszej przygodzie z ciastem.

Weszła, za moment drzwi uchyliły się i zobaczył wystawioną rękę. Caer machnęła, ręka znikła. Wtedy Zach szybko wrzucił torbę ze sprzętem do małego jachtu. Spojrzał na wskaźnik benzyny, rzucił okiem na cały jacht i poszedł do biura.

– Cześć, Zach – powitał go Cal. – Przeglądałeś już dzisiejszą gazetę?

– Jeszcze nie. Pierwszy zawsze dorywa się do niej Sean.

– Jest tu cały artykuł na temat tych borówek. Podejrzewają, że to jakiś psychol, może ktoś, kogo wywalili stamtąd z roboty.

– Miejmy nadzieję, że go złapią – wtrąciła Marni. -I nikt nie będzie miał pełno szkła w ustach!

– Marni, a jak z tobą? – spytał z niepokojem Zach.

– Wszystko gra, dzięki.

– Moglibyśmy sprawę podać do sądu – powiedział Cal.

– I co by to dało? – zaprotestowała Marni. – W tym kraju każdy z byle czym od razu leci do sądu. Oni są zawaleni.

A mnie przecież nic się nie stało. Co za ulga, że to ktoś obcy! To było straszne, kiedy Amanda zaczęła oskarżać biedną Clare. A Kat jest przekonana na bank, że to Amanda chce zaszkodzić Seanowi. Właściwie wcale jej się nie dziwię. My wszyscy tu uważamy, że Amanda jest wredna.

– Ale Sean kocha swoją żonę – powiedział Cal z naciskiem. – Poza tym, kto wie? Może ona też go kocha. Nie mamy prawa nikogo osądzać, a powstrzymajmy się od tego chociażby przez wzgląd na samego Seana.

– Racja – powiedział Zach. – No to my już lecimy. Chcę, żeby Caer poznała okolicę.

– A jak na przystani? Pusto? – spytała Marni.

– Widziałem parę osób, kręcili się po przystani. Kto wie, czy tu nie zajrzą.

Cal odprowadził ich do drzwi, Marni szła za nimi. Cal otworzył drzwi i pierwszy wyszedł na zewnątrz. Nagle krzyknął.

– Co się stało? – zawołała Marni i odepchnąwszy Zacha i Caer, wybiegła do męża.

Tuż przed drzwiami leżał ptak. Martwy. Wielki, żaden kos czy wrona... Kruk.

Leżał na plecach, szpony podkurczone. Niewidzące oczy szeroko otwarte.

Marni krzyknęła. Cal natychmiast objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Marni, to tylko ptak. Bardzo duży martwy ptak.

– Ale co on tutaj robi?! – krzyknęła histerycznie. – Dlaczego zdechł przed naszymi drzwiami? O, Boże! To zły znak! Na pewno wydarzy się coś okropnego!

– Nic się nie wydarzy – powiedział stanowczym głosem Zach. – Dajcie torbę na śmieci. Włożę do niej tego biedaka i położę gdzieś z boku. Możecie zadzwonić, żeby go ktoś stąd zabrał.

– Możemy rzucić go rybom – zaproponował Cal, ale nie znalazło to aprobaty u Caer.

– Ja bym tego nie robiła. Może był chory, dlatego zdechł? Powinien zbadać go weterynarz.

– Ona jest pielęgniarką – powiedziała Marni. – Mówi rozsądnie. A ja po prostu bym chciała, żeby stąd znikł.

Przyniosła z biura torbę na śmieci. Cal i Zach włożyli do niej martwego ptaka i położyli go koło śmietnika. Cal zapowiedział, że zawiadomi specjalny wydział policji zajmujący się interwencją w sprawach zwierząt.

I wreszcie Zach i Caer mogli pożegnać się i pójść do „Sea Sprite”.

– Wskakuj! – powiedział Zach, luzując linę cumowniczą. Caer zręcznie weszła na pokład, Zach za nią. Usiadł przy sterze, włączył silnik i zaproponował Caer, żeby zeszła do kajuty.

– Dzięki. Z przyjemnością zostanę na pokładzie.

Zach powoli wyprowadził łódź wzdłuż oznakowań, potem dał pełny gaz. Było bardzo zimno, wiatr kłuł w policzki, ale Caer, jak zauważył, sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. Objęła się mocno ramionami, siadła sobie przed nim i patrzyła. Na wodę, na niebo, na wszystko, co mijali po drodze.

Widok na Newport od strony zatoki był bardzo piękny. Latarnia morska na wysokich strzelistych klifach, stare dworki i rezydencje. Wysoko ponad falami widoczny był most łączący miasto ze stałym lądem. Samochody, jadące po moście, wydawały się małe jak zabawki.

Dopłynęli do Cow Cay. Zach wyrzucił kotwicę i wyjął skądś dwie pary długich kaloszy dla wędkarzy.

– Mamy w tym iść po wodzie? – spytała z niedowierzaniem Caer.

– Tylko parę metrów, a nie warto moczyć nóg. Nie bój się, tu nie jest głęboko.

Caer nadal jednak patrzyła na niego bardzo sceptycznie.

Ale kiedy Zach nałożył kalosze, poszła za jego przykładem. Zach wszedł do wody i wyciągnął ręce. Caer, nadal sceptyczna, ostrożnie wsunęła się w jego objęcia.

Pachniała bardzo ładnie jakimiś delikatnymi perfumami. To w ogóle był miły moment dla Zacha, kiedy pachnąca, miękka Caer powoli osuwała się po jego ciele w dół, dopóki jej nogi nie dotknęły dna.

– Idź powoli i ostrożnie, Caer. Żebyś nie wpadła w jakąś dziurę.

Sięgnął po torbę ze sprzętem i ruszył przodem.

– W lecie jest tu rewelacyjnie – powiedział po chwili.

– Naprawdę?

Caer jakoś trudno było to sobie wyobrazić.

– Naprawdę. Woda może nie jest najcieplejsza, ale ludziom z północy to nie przeszkadza, prawda? Jesteś Irlandką, na pewno z chęcią byś tu popływała.

– Chyba nie... bo ja...

– Caer! Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie umiesz pływać?!

– Nie umiem.

– W takim razie trzeba cię nauczyć pływać i nurkować. Nie wyobrażasz sobie, jaka to frajda. Tam, pod wodą, jest całkiem inny świat. Kiedy nurkujesz na Karaibach, gdzie są rafy koralowe... Tego nie da się opisać słowami. Po prostu bajka.

– Może i tak... Powiedz, gdzie jest ta skała Banshee?

– Tam, na prawo.

Wyszli na brzeg i Zach podszedł do granitowej bryły o wysokości, jak oceniła na oko Caer, około trzech metrów. U podstawy miała niewiele ponad metr. Leżała samotnie, wokół niej nie było innych skał ani drzew. Jakby przyniosła ją tu i złożyła na trawie jakaś gigantyczna ręka.

Zach otworzył torbę i wyjął sprzęt.

– Szukamy systematycznie. Kto wie, może dopisze nam szczęście i od razu znajdziemy skarb? Coś mi się jednak wydaje, że nie pójdzie nam tak łatwo.

Wolnym krokiem obszedł skałę dookoła, wpatrując się uważnie w ziemię. Bardzo uważnie, szukał przecież śladów kopania sprzed kilku stuleci.

Potem wziął wykrywacz i zaczął przesuwac nim nad ziemią. Caer przez chwilę obserwowała go, po czym sama zaczęła jeździć swoim wykrywaczem.

– Mam coś! – wykrzyknęła po chwili i uknęła na piasku. – Tutaj! Tutaj!

Zach podbiegł i natychmiast zaczął kopać. Znaleziskiem okazała się... łyżka.

– Ona jest bardzo stara, prawda? – spytała Caer z nadzieją w głosie.

– Niestety – powiedział Zach, pokazując jej znaczek wygrawerowany na ręczce. – Ktoś ją zwinął ze smażalni ryb. Ale teraz przynajmniej przekonaliśmy się, że twój wykrywacz pracuje bez zarzutu. Na pewno coś jeszcze znajdziemy.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. Przecież wiem, że skarb jest gdzieś tutaj. Znów zaczęli jeździć wykrywaczami. Minęło kilka minut i Zach nagle znieruchomiał, wpatrując się w ziemię. Dokładnie w miejsce parę metrów dalej, patrząc w stronę brzegu. Tam na pewno ktoś kopał.

– Caer! Za mną! – zawołał, podążając szybkimi krokami do podejrzanego miejsca. Okazało się, że ziemia była wzruszona w kilku miejscach. Natychmiast zaczął systematycznie przeczesywać teren swoim wykrywaczem. Caer również. Niestety, oba wykrywacze milczały jak zaklęte.

– Zach, może ktoś już znalazł ten skarb – odezwała się po chwili Caer.

– Niemożliwe. Zakładam, że to ktoś z najbliższego otoczenia Seana. Gdyby znalazł już skarb, nie byłoby go tutaj. Ale to tylko hipoteza. Caer, bierzemy się do roboty. Zaczynamy kopać koło tamtego kamienia.

– Dobrze. Zach, a nie sądzisz, że Nigel mógł ukryć tu tylko dokumenty, dlatego wykrywacz nie reaguje?

– Wszystko jest możliwe.

Zabrali się do roboty. Zach kopał, kopała i Caer, wyraźnie starając się dotrzymać mu kroku. Do pewnego momentu. Bo nagle westchnęła i odłożyła szpadel na bok.

– Przepraszam, Zach, ale ręce mi już mdleją. Nie jestem przyzwyczajona do tego rodzaju pracy.

Nie skarżyła się. Raczej stwierdzała fakt.

– To ja przepraszam – powiedział Zach, uświadamiając sobie, że on sam ma już pęcherze na rękach. – Powinienem był pomyśleć, że to nie jest robota dla kobiet.

– Bez przesady, Zach. Kobiety potrafią wszystko. Po prostu muszę zrobić sobie małą przerwę.

– Jasne.

– Przejdę się trochę po wyspie.

– Dobrze. Tylko nie odchodź za daleko.

– Nie panikuj. Na tej wyspie jest tylko dwoje szaleńców. Ty i ja.

– Ale wiemy, że ktoś tu już kopał. Ten ktoś może wrócić tu w każdej chwili.

– Masz rację. Będę w pobliżu.

Zach znów zaczął kopać. Po chwili, choć był w niezłej formie, ręce też zaczęły mu mdleć. Czyli pora zrobić sobie przerwę.

Rzucił szpadel i zaczął iść w stronę kępy nagich drzew, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Ani śladu Caer. Spojrzał na wodę. Łódź „Sea Sprite” kołysała się na wodzie. W pobliżu nie było widać żadnych innych jachtów.

Nagle usłyszał jakiś dziwny skrzek. Spojrzał w górę. Ptaki. Ale nie takie ptaki, na przykład mewy, które byłyby tu czymś normalnym.

Czarne ptaki. Mnóstwo czarnych ptaków.

– Caer!

Niepokój przerodził się od razu w strach. Pognał co sił w nogach do drzew. Smutne zimowe gałęzie bez jednego listka ocierały mu się o ramiona. Spojrzał w górę. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi.

– Caer!

Wreszcie ją zobaczył. Stała plecami do niego, z pochyloną głową. Wpatrzona w coś, co trzymała w ręku. W pierwszej chwili pomyślał, że znalazła coś w piasku. Ale nie, to była kartka papieru jak najbardziej

współczesna. Caer czytała list, na pewno ten, który rankiem schowała do kieszeni.

– Caer? Coś się stało? Poderwała głowę.

– Och, nie. Skądże znowu! – powiedziała z uśmiechem. Złożyła list i wsunęła go do kieszeni. – Napisał do mnie znajomy. Jest tutaj, w Stanach. Muszę się z nim spotkać. Przepraszam, Zach, powinnam kopać, a nie zajmować się swoją korespondencją.

Uśmiechnęła się, podeszła i przytuliła się do niego. Ale on spojrzał w niebo. Bo znów usłyszał ten skrzek, ten wrzask.

Scena jak z filmu Hitchcocka. Ptaki były wszędzie. Czarne ptaki.

Krażyły wysoko ponad огоłoconymi z liści gałęziami. Wzbijały się, opadały i krażyły, robiąc przy tym przerażający hałas.

Caer na pewno się nie podobały. W jej oczach widział przerażenie.

Słońce zachodziło, więc czas wracać, postanowił Zach. Ale przedtem trzeba zadzwonić do Morrisseya.

Wyciągnął komórkę. Modląc się w duchu, żeby nie było problemu z zasięgiem. Na szczęście nie było. Wystukał numer Morrisseya, zastanawiając się w duchu, czy detektyw nie żałuje, że dał mu swój numer. Chyba nie, bo kiedy odebrał telefon i zorientował się, kto dzwoni, w jego głosie nie słychać było zniecierpliwienia.

– Potrzebuję pańskiej pomocy – powiedział Zach. – Jestem na Cow Cay. Wydaje mi się, że natrafiłem na coś ciekawego. Myślę, że Eddiego zabito, bo odkrył, gdzie mogły być schowane stare dokumenty i autentyczny skarb. Ktoś właśnie z tego powodu go zabił i sam zaczął kopać na wyspie. Nic jeszcze nie znalazł. Ja też zacząłem kopać i też nic nie znalazłem. Jest już późno, powinienem wracać. Panie Morrissey, myślę, że byłoby

rozsądnie popilnować tego miejsca. Czy mógłby pan przysłać tu jakiegoś policjanta, może dwóch, którzy nie mają teraz służby? Obiecuję, że dostaną za to jakieś pieniądze.

Morrissey nie od razu odpowiedział. Najpierw podziękował Zachowi za podesłanie Joreya. Co prawda, chłopak niewiele pomógł, ale dobre i to. Potem detektyw zadał Zachowi mnóstwo pytań. Zach odpowiedział na nie uczciwie – nie była to pora, żeby się wykręcać.

W końcu Morrissey obiecał, że wykona kilka telefonów.

– Wiadomo, że wyspą administruje teraz Służba Parków Narodowych. A skąd pan weźmie te fundusze dla policjantów za pilnowanie?

– Od Seana O'Rileya. Chciałbym, żeby cała ta akcja utrzymana była w największej tajemnicy. Chodzi o to, jak się pan domyśla, żeby na wyspie był policjant, kiedy ktoś ewentualnie tu przyplynie i zacznie kopać.

– W porządku, zajmę się tym – powiedział Morrissey.

– Policjanci, wiadomo, zarabiają kiepsko. Na pewno znajdzie się chętny, któremu przydadzą się jakieś pieniądze ekstra. Mam nadzieję, że rzeczywiście udało się panu coś wywęszyć. Chce pan mieć ludzi przez całą dobę na okrągło?

– Tak. Oczywiście kogoś, kto pływa łodzią i nie boi się kiepskiej pogody.

– Nie ma problemu, przecież to Newport. Jak kogoś znajdę, odezwę się.

Morrissey rozłączył się. Zach razem z Caer zapakowali sprzęt do torby, wsiedli na jacht. Niestety, pogoda zdecydowanie się pogorszyła. Na pociemniałym już niebie nie było chmur zapowiadających sztorm, ale wiatr wzmógł się i temperatura bardzo spadła.

Przez całą drogę leciały nad nimi te przeklęte czarne ptaki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gary Swipes miał już na karku sześćdziesiątkę, ale był w doskonałej formie. Wielki, dobrze umięśniony facet. Zbliżający się do emerytury i z tego powodu zgorzkniały.

W Newport mieszkał od zawsze. W tym mieście bogaczy, w którym jemu niestety zdarzyło się urodzić w biednej rodzinie. Był synem pokojówki i pracownika stacji benzynowej. Czyli w jego życiu nie było elitarnych szkół, odlotowych imprez i wygodnej posadki w firmie tatusia. Tylko praca.

Przez prawie całe swoje dorosłe życie był policjantem, a ponieważ zdarzyło mu się nieraz postąpić tak właśnie jak policjant powinien postąpić, w tym zawodzie do niczego właściwie nie doszedł. Kiedyś nawet dostał nagane. Za to, że był zbyt brutalny. I to wobec kogo? Wobec naćpanych gówniarzy ze szkoły średniej, z kieszeniami pełnymi ekstazy. Czyżby ktoś się spodziewał, że oni oddaliby mu narkotyki, gdyby ich grzecznie o to poprosił.

Poza tym sprawa tamtej kasy. Wcale nie było tego dużo. Te pieniądze znalazł na tylnym siedzeniu w samochodzie, który prowadził gość nafaszerowany kokainą. Ten facet stuknął samochodem dzieciaka. A te pieniądze były z narkotyków.

Zapomniał je oddać i omal nie został postawiony w stan oskarżenia.

Podobno miał za duży temperament. Też wymyślili! Został policjantem po to, żeby być stróżem prawa, a nie, żeby je łamać! A w dzisiejszych czasach dzieciaki robią, co chcą. Ani rodzice, ani nauczyciele

nie potrafią wziąć ich za twarz. Niestety, policjant, żeby aresztować gówniarza, ma chodzić jak pies na dwóch łapach i skamlać. To go wkurzało maksymalnie.

Był żonaty. Raz. Ona też twierdziła, że ma za duży temperament. A przecież nigdy nie uderzył kobiety. One mogą, oczywiście, wpadać w szały, okładać faceta pięściami. Ale jeśli facet odepchnie kobietę o centymetr, to już podciągną to pod maltretowanie.

Jego praca, życie, kobiety – wszystko do bani.

Ale przynajmniej Morrissey dał mu możliwość zarobienia dodatkowej kasy.

Zimno? Nie szkodzi. Sam na wyspie? Żaden problem, on zdążył już polubić swoją samotność. I co to w końcu za różnica, czy będzie sam w domu, czy na Cow Cay. A jeśli chodzi o żeglowanie, robi to przez całe życie.

Wziął ze sobą ciepły koc i termos z kawą. Uszlachetnioną, oczywiście. W pilnowaniu bezludnej wyspy i jednej skałki nie widział większego sensu. Podobno ktoś tu kopał. I co z tego? Służba Parków Narodowych w ogóle by nie zwróciła na to uwagi. Ale jeśli O'Riley płaci za pilnowanie skałki, to w porządku. Popilnuje tej skałki.

Skały Banshee.

Znalazł sobie obok skały odpowiednie miejsce, rozesał koc i usiadł. Latarkę i termos postawił obok i zaczął kręcić w iPodzie. Niezły gadżet. Poprosił, żeby mu go dali. Jako rekompensatę za chłód. Dali bez żadnej kwestii.

Pogłodził trochę i usiadł sobie wygodnie, opierając się plecami o skałę. Gruby koc chronił tyłek przed zimnem, o resztę ciała troszczyła się gruba kurtka.

W sumie nie ma co narzekać.

Na niebie kilka gwiazd i księżyc. Dokładniej – półksiężyc.

A w dali – Newport. Migoczący, różnokolorowy od świątecznych świateł.

Ale te rachityczne drzewka na tej wyspie są niesamowite. Kołyszą się na tym wietrze, kołyszą, mogłyby występować w jakimś horrorze. Wyciągają swoje cienkie korzenie z ziemi i zaczynają iść, machając chudymi gałązkami. Idą i idą, a potem szarpiają za włosy jakąś małą dziewczynkę, co ze swoim chłopakiem obściskuje się w śpiworze...

I te ptaki. Wielkie, czarne. Drą się jak opętane. Siedzą tu już chyba cały dzień. Wcale nie jest miło patrzeć, jak te śmierdzące ptaki miotają się koło tych drzew.

Nienawidził ptaków. Wszystkich. Mew, rybitw i rybo-łowów – nawet kanarków.

Ptaki są obrzydliwe. Zawsze wrzeszczą. Zawsze latają nad przystanią. Czyhają na żarcie, a ich, za przeproszeniem, gówno leży wszędzie.

Ale te cholery tutaj są jakieś inne. Przede wszystkim wielkie i latają w kółko, jakby składały hołd czemuś tam, wśród tych drzew. Tych ptaków naprawdę można się bać.

Fajnie, że w iPodzie ma kilka starych komedii. Posiedzi sobie tu przez noc, pośmieje się, a do ręki wleci mu parę dolców.

Termosik stoi obok. Z gorącą kawką. Do połowy, oczywiście. Drugie pięćdziesiąt procent to pocziwy amerykański burbon.

Otworzył termos i wypił porządny łyk. Gorący burbon spłynął do żołądka. Jeszcze jeden łyk i po całym ciele rozlało się przyjemne ciepło.

Na służbie nigdy nie pił. Na prawdziwej służbie. Ale to jest praca dodatkowa. Poza tym siedzi sam na wyspie, jest cholernie zimno. Gorący burbon i maciupunki ekranik TV w iPodzie to jedyna metoda na przetrwanie.

Zaklął i wstał, żeby się odsikać. Bycie samemu ma też swoje dobre strony. Nikt nie widzi, co robisz. Odsikał się, nie chowając się za żadnym dziwacznym drzewkiem. Ale jak na scenie, stojąc twarzą do plaży. Potem beknął sobie głośno i usiadł.

Nie jest źle. Zarabiać pieniądze w taki właśnie sposób. Pieniądze. Jego była żona tylko tego chciała. Pieniądzy. I z jakiegoś tam powodu sąd uznał, że jej się należą. Suka.

A jego życie i praca – też suki.

Ale on był prawdziwym facetem. Twardym i miał dobrze poukładane w głowie. Nie będzie się przejmował byle czym. Nawet jeśli cały świat ma świra na punkcie pedałów i komputerów.

Show w TV już się zaczął. Pociągnął sobie jeszcze łyk. Przy tym tempie prawdopodobnie zaraz sobie kimnie. I dobrze. Kto się o tym dowie? Nikt.

Jeszcze jeden łyk. A ten numer w TV jest niezły. Zaśmiał się i w tym momencie coś na niego spadło. Wylądowało na kocu, tuż obok jego kolan.

Spojrzał i śmiech uwiązł mu w gardle. Zamiast śmiechu wydobył się z jego gardła przeraźliwy krzyk.

– A co z tymi borówkami? Wiadomo już coś? – dopytywał się Zach.

Była już prawie dziesiąta. Był w swoim pokoju sam i wreszcie mógł spokojnie pogadać przez telefon z Morrisseyem. Przedtem razem z Caer, Amandą, Kat i Seanem byli w knajpce koło przystani. Po jakimś czasie, całkiem niespodziewanie, pojawili się tam Cal i Marni. Wszyscy śmiali się, trochę sztucznie, że raptem nie tylko wszystkim odechciało się jadać w domu, ale wszystkich przygnało do tej samej restauracji.

Dlaczego? Bo w tej restauracji, jak uzmysłowił sobie Zach, był bufet. Nie jadłeś niczego solo. Brałeś to, co jadło jeszcze mnóstwo innych ludzi, którzy tego wieczoru przewijali się przez tę restaurację.

Brakowało tylko Clary, Toma i Bridey. Clara ugotowała obiad dla trzech osób, tylko dla Bridey, Toma i dla siebie, i podała w pokoju Bridey, żeby staruszka nie musiała jeść sama.

Kat próbowała namówić Zacha na wspólny wypad do klubu. Ale Zach podziękował. Za bardzo był skupiony teraz na tajemniczej śmierci Eddiego i odnalezieniu skarbu. Przed oczyma miał ciągle mapy, bez przerwy zastanawiał się, czy czegoś źle nie zrozumiał, czy czegoś nie przeoczył.

Sean był przygnębiony chorobą Bridey. Jej stan wcale nie ulegał poprawie. Sean chciał, żeby poszła do szpitala, ale Bridey opierała się. W rezultacie wszyscy martwili się o nią i czuwali przy niej na zmianę.

Podczas obiadu w restauracji wszyscy jakoś starali się nie poruszać poważnych tematów. Nie mówiono o Eddiem ani o feralnych borówkach. Nawet Kat i Amanda tego wieczoru postanowiły zachowywać się wobec siebie jak dwie ucywilizowane kobiety.

Wszyscy jednak mówili o ptakach. Wszyscy, oprócz Caer. W ogóle przez cały wieczór była milcząca, jakby nieobecna duchem. Oczywiście,

gdy ktoś się do niej odezwał, odpowiadała uprzejmie, ale trochę nieprzytomnie.

Może myślała o tym liście? Zach był prawie pewien, że to ten list wytrącił ją z równowagi.

Po powrocie do domu postarał się nie myśleć już o Caer

I zadzwonił do Morrisseya. Poczł wielką ulgę, kiedy dowiedział się, że detektyw znalazł już kogoś, kto popłynię na wyspę.

– Gary Swipes. Doświadczony gość, pracuje w policji prawie od czterdziestu lat. Bardzo zadowolony, że jest okazja trochę dorobić. Bardzo mu się też spodobał ten bonus z racji chłodu. Twardy facet. Posiedzi tam przez noc, rano zluzuje go inny policjant, młody chłopak, ale zna się na" robocie.

Zach, zadowolony, że na wyspie wszystko jest pod kontrolą, zapytał, jak wygląda sprawa z borówkami.

– Niestety, niczego jeszcze nie mamy – powiedział Morrissey. – Żadnych śladów, tylko odciski palców magazyniera. Ale te odciski są pozacierane, jakby ktoś potem brał te słoiki do ręki. Kto wie, czy nie po to, by dodać szkło. Przejrzeliśmy taśmy wideo ochrony z całego tygodnia. W tym czasie była dostawa borówek. Niestety, kamery ustawione są na kasy, nie pokazują przejść między regałami. Ale będziemy przynajmniej wiedzieli, kto wchodził i wychodził ze sklepu.

– A ja jutro popłynę na Cow Cay. Pobawię się jeszcze raz tym wykrywaczem metalu.

Morrissey zaśmiał się.

– Panie Flynn, czy pan zdaje sobie sprawę, że robi to nielegalnie, na terenie Parku Narodowego? Ale spokojnie, niech się pan nie martwi. Ja o

niczym nie wiem. Aha, jeśli ma pan chwilę, może wpadnie pan do mnie do biura. Przyda się pańska pomoc podczas oglądania tych taśm.

Ktoś cicho zapukał. Zach szybko zakończył rozmowę z Morrisseyem i otworzył drzwi.

Zobaczył kobaltowe oczy. Oczy piękne i bardzo smutne.

– Coś się stało, Caer?

– Nie, nie.

– Kto siedzi z Seanem?

– Kat zabrała ojca do tego klubu, o którym wspominała. Gdzie gra to trio jazzowe. Tom ich zawiózł, posiedzi tam i przywiezie z powrotem. Amanda zamknęła się w swoim pokoju. Clara poszła do siebie.

– Bridey?

– Śpi. Właśnie byłam u niej. Zach, nie zaprosisz mnie do środka?

– Przepraszam, Caer. Proszę, wejdz.

Odsunął się na bok i teraz dopiero zauważył, że Caer przygotowana była już do snu. W nocnej koszuli i szlafroku. Była w komplecie z jasnej, beżowej flaneli w białe różyczki. Kołnierzyk i mankiety obszyte były koronkami.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Nie bawiła się w żadną kokietkę. Po prostu podeszła, objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego bawełniany T-shirt.

– Czy to nie straszne, Zach? – szepnęła. – Ten czas tak szybko mija, tak szybko...

Robili dobrze czy źle? Och, nieważne. Trudno było nie cieszyć się teraz z jej obecności. Była kwintesencją zmysłowości i spontaniczności. Kiedy otworzył ramiona i przygarnął ją do siebie, poczuł, jak w każdym miejscu, gdzie dotykało go miękkie ciało Caer, jego ciało ożywa. Krew w

żyłach zaczęła galopować, bawełniany podkoszulek na grzbiecie parzyć. Natychmiast ściągnął go przez głowę, omal nie rozrywając, i przystąpił do rozpinania guziczków przy szlafroku Caer. Gdzieś w głębi duszy był pełen obaw, czy Caer w tym decydującym momencie nie zechce się wycofać. Dlatego zamierzał te guziczki rozpinać powoli, żeby z jej strony nie wzbudzić gwałtownych reakcji.

Oczywiście były to tylko pobożne życzenia. Rozpiął je błyskawicznie, niecierpliwy jak napalony małolat, któremu szkoda każdej sekundy. A kiedy naga skóra dotknęła nagiej skóry, z głowy wywietrzały wszystkie myśli, słowa, przeszłość i przyszłość. Wszystkie sprawy dnia dzisiejszego.

Tylko on i ona. Wcale nie była onieśmielona, tylko drżąca, kiedy przesuwała gorące wargi po jego ciele, kiedy szukała jego ust. Wreszcie ich usta złączyły się w żarliwym pocałunku, w tym jedynym w swoim rodzaju pojedynku roznamietnionych, gorących i wilgotnych warg i języków.

Nigdy jeszcze nie spotkał tak cudownej, tak słodkiej kobiety. Nigdy jeszcze w życiu tak bardzo nie pragnął, ale udało mu się narzucić sobie właściwe tempo. Pieścił powoli gładkie ramiona Caer, piersi, brzuch, ręce, nogi. Całą aksamitną Caer, która smakowała jak słodycz, jak jasność, jak dobre życie.

Opadli na łóżko. Byli jak dzikie kłębowisko rąk, nóg, torsów, głów, pieszczących się nieprzerwanie, wzdychających i pojękujących

Mieli jeden wspólny cel. Dawać i brać jak największą rozkosz.

Potem, kiedy cały świat już eksplodował, kiedy ciała przestały drżeć – patrzył. Na śliczną twarz, kruczoczarne włosy rozsypane na białej poduszce. Patrzył w oczy kobaltowe, które spoglądały na niego tak, jakby ich właścicielka fakt, że jest razem z nim, odczuwała jako cud.

Takie spojrzenie kobiety to na pewno szczyt marzeń wszystkich facetów na całej kuli ziemskiej.

Pogłaskała ją po głowie. Chwyciła jego dłoń i pocałowała.

Kobaltowe oczy nagle straciły co najmniej połowę swego blasku.

– Muszę iść – powiedziała, siadając na łóżku.

– Dlaczego? Przecież dopiero co tu przyszłaś.

– Muszę.

Pocałowała go w usta, tak namiętnie, że z trudem powstrzymał się, żeby nie zmusić jej do ponownego przyjęcia pozycji leżącej. Ale czuł, że Caer, która weszła tu bez wahania, niczego nie udając, w tym samym stopniu jest teraz zdecydowana odejść.

– Muszę iść.

– Jak Kopciuszek? Północ wybiła?

– Kopciuszek?!

– Tak, Kopciuszek. Chyba nawet w Irlandii wiecie, kto to był Kopciuszek.

– Postać z jakiejś bajki? Ach, no przecież! Oczywiście, że wiem.

Uśmiechnęła się i zaczęła się ubierać. Zrobiła to bardzo szybko i jeszcze raz pocałowała Zacha. W czoło.

– W pierwszej chwili nie skojarzyłam. Wiesz, mamy tyle swoich bajek...

– Jasne. Każdy kraj ma swoje własne.

– A tak. Fantazja, opowieści o tym, co kryje się tam....

– Tam? To znaczy, gdzie?

– Świat po tamtej stronie. Też realny. Niebo, piekło i coś więcej...

Znów była smutna.

Dziwne. Przed chwilą, kiedy się kochali, była taka cudowna, realna... O, właśnie. Oddychająca, ciepła, wzdychająca z rozkoszy, wijąca się i obejmująca go z całej siły.

A teraz... teraz miał wrażenie, jakby nagle oddaliła się od niego o miliony kilometrów.

– Caer...

– Muszę iść. Północ, Zach. Godzina duchów! A przede wszystkim Sean niebawem wróci i powinnam być w swoim pokoju. Mam go przecież pilnować.

Wyszła. Mógł pobiec za nią. Goły jak święty turecki? Nie miał wyboru. Musiał pozwolić jej odejść.

– Tato! Prawda, że byli rewelacyjni? – spytała Kat, kładąc głowę na ramieniu ojca.

Ojciec lekko uściśnął jej dłoń.

– Oczywiście! Dziękuję, że mnie tam zaprosiłaś.

– To ja dziękuję, że pojechałaś ze mną.

Ojciec uśmiechnął się i nie puszczając jej ręki, spojrział na migoczące za szybą samochodu świąteczne lampki.

– Pamiętasz, jak to było, kiedy zaczynałaś z muzyką? Myślałem, że oszaleję. Najgorszy był ten hip hop.

Kat zaśmiała się.

– Tato! Ja do dziś czasami to gram!

– Ale twoja muzyka jest teraz inna, dojrzała. Poszerzyłaś horyzonty. Wiem, że kochasz każdy rodzaj muzyki. Ja może nie, ale to nie znaczy, że nie akceptuję twoich upodobań. Podobny stosunek mam do innych ludzi. Amanda...

– Tato, proszę, tylko znowu nie zaczynaj. Ja akceptuję, że ożeniłeś się z nią, ale po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że... Tato, przecież ona absolutnie nie jest w twoim typie. Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o to, że ona jest młoda. Ani o pieniądze!

Sean zaśmiał się.

– Wiem, wiem. Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy oświadczyłaś mi, że sama będziesz zarabiać swoje pieniądze. No i proszę! Świetnie dajesz sobie radę.

– Dzięki Zachowi, tato. Szkoda, że nie pojechał dziś tam z nami.

– Jest bardzo pochłonięty śledztwem. Albo muzyka, albo śledztwo. Jedno albo drugie, nigdy jednocześnie. Muzyka poza tym pomaga mu oczyścić duszę po jakiejś trudnej sprawie. – Sean westchnął. – A wracając do tematu. Amanda jest moją żoną. Nawet jeśli z tego powodu wyszedłem na starego durnia.

– Tato! – Kat, zaskoczona, poderwała głowę z jego ramienia i spojrzała mu prosto w oczy. – Czy to znaczy, że ty zgadzasz się ze mną, że to ona...

– Absolutnie! Co też ci przyszło do głowy! Uświadomiłem sobie tylko, że Amanda niestety potrafi być niegrzeczna i że jest płytka. Chyba zdarzyło mi się myśleć inną częścią ciała, a nie głową. Ale to wcale jeszcze nie znaczy, że Amanda jest potworem.

Dziwne, że ojciec użył tak mocnego określenia, pomyślała Kat. Mógł przecież powiedzieć po prostu, że Amanda nie jest zła.

– Po tym incydencie z borówkami zrobiła się o wiele przyjemniejsza – powiedziała Kat, starając się, żeby zabrzmiało to naprawdę miło.

– Tak? To świetnie. Ja ostatnio prawie jej nie widuję. Dziwnie jest teraz... Jakbyśmy wszyscy się przyczaili i czekali.

– Na co czekamy, tato?

– Czekamy, kiedy odnajdzie się Eddie. Tom zatrzymał samochód przed domem.

– Dziękuję, skarbie – powiedział Sean, całując córkę w czubek głowy. – To był bardzo miły wieczór.

Wysiadł pierwszy, Kat za nim. Zrobiła kilka kroków i stanęła jak wryta.

Ptaki. Wysoko nad domem, krążyły jak sępy. A może to są sępy?

Kat zmrużyła oczy i wbiła wzrok w ciemne niebo. Nie, to nie sępy. Te ptaki są duże, mniejsze jednak od sępów. Czarne ptaki, bardziej czarne niż niebo. Krążyły, zataczając dziwne koła, opadały i wznosiły się.

Przypomniała sobie jednookiego ptaka na parapecie za oknem.

– Tato! Poczekaj! – Podbiegła szybko do ojca i wzięła go pod rękę. – Spójrz na te ptaki! One są okropne, tato. Chodźmy już do domu.

– Przecież to tylko ptaki, Kat – powiedział ojciec i wzruszył ramionami. – To chyba przez to globalne ocieplenie.

– Dziś jest mróz!

– Fakt. Ale to tylko ptaki, Kat. Nic ci nie zrobią.

Spojrzała w niebo. Ojciec nie ma racji, o nie. Te ptaki lecą coraz niżej, coraz niżej. Chcą ją dopaść i wydziobać jej oczy.

Cal miał sen. Śniło mu się, że biegnie, chce złapać mosiężny pierścień. Wiedział, że kiedy go zdobędzie, jego życie stanie się łatwe. Takie łatwe życie to dom, którego właścicielem nie będzie bank i karty kredytowe. Poza tym ktoś, kto pracuje za ciebie, kiedy ty nie masz na to ochoty.

Wyciągnął rękę, już miał pochwycić ten pierścień, kiedy nagle pojawił się Eddie. Tuż przed nim. Śmiał się z niego. Powiedział, że Cal jest głupkiem, że musi nauczyć się pracować jak wszyscy, wykonywać swoje obowiązki.

Eddie wyraźnie chciał wygnać go z tego snu...

A potem nadleciały ptaki. Wielkie stada ptaków z ogromnymi oczami i szerokimi czarnymi skrzydłami. Krakały, biły skrzydłami i szarpały go za włosy.

Zaczął krzyczeć, pochylił głowę...

I obudził się.

Był na dworze. Stał na bosaka na zamarznętej ziemi. Ale tu przynajmniej nie było żadnych ptaków!

Nie. Są. Tylko nie latają, nie wrzeszczą. Dwa siedzą na pokrywie barbecue, kilka usadowiło się na dachu.

Zaklął cicho i spojrzał na zegarek. Było późno, ale on wcale nie czuł się zmęczony.

Może dlatego, że cholernie było mu zimno w nogi.

A może dlatego, że nadeszła pora zrobić kilka rzeczy.

Zach po wyjściu Caer wziął gorący prysznic i nałożył długie flanelowe spodnie od pizamy. Na to szlafrok. Było późno, on jednak wcale nie czuł zmęczenia.

Wyszedł na korytarz. Pod drzwiami sypialni państwa O'Rileyów przystanął i zaczął nasłuchiwać. Telewizor. Amanda albo ogląda telewizję, albo zasnęła, nie wyłączywszy odbiornika.

Poszedł dalej i uchylił drzwi do pokoju Bridey. Był pewien, że staruszka śpi. Mylił się, bo usłyszał:

– Witaj, chłopcze. Nie możesz zasnąć?

– A tak jakoś... Bridey, jak się czujesz? Te nowe tabletki zadziałały?

– Zadziałają. Trochę cierpliwości, Zach. Ze mną wszystko będzie dobrze. One nie przyleciały tu z mojego powodu.

– Kto, Bridey?

– Ptaki.

Czyli z Bridey wcale nie jest lepiej. Oczy błyszczą niezdrowym blaskiem. W ciągu dnia bez przerwy opowiadała te swoje dziwne historie, w które mało kto jest w stanie uwierzyć.

– Bridey, te ptaki to po prostu ptaki.

– Nie. One przylatują tam, gdzie pleni się zło. Chciałabym, żeby Kat też to zrozumiała. Biedne dziecko, ona tak ich się boi... A ja... ja nie jestem zła, jestem taka, jaka powinnam być. One nie przyleciały tu z mojego powodu.

– Kiedyś odlecą, Bridey.

– Tak. Kiedy zło zostanie pokonane. Teraz są tu, bo tu jest zło.

– W porządku, Bridey. Rozumiem.

Zach przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł.

– Złych ludzi, wiadomo, nie brakuje. Ale będzie dobrze. Ty wyzdrowiejesz, a ja nie dopuszczę, żeby komuś jeszcze stała się krzywda.

– Widzę, jak się starasz, Zach. Dobry z ciebie chłopak. Szkoda, że będę musiała się z wami wszystkimi pożegnać.

– Bridey...

– Trudno, Zach. Ale tam będzie Eddie. Czeka na mnie.

– Bridey!

– Jestem już bardzo stara, Zach. Nie zapominaj o tym. Ty jesteś młody i zakochany...

– Słucham? Co?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła go.

– Zakochałeś się w niej, Zach. A ona, niestety, kiedy spełni swoje obowiązki, musi odejść. Kochamy ją wszyscy. Jest taka dobra, piękna, tyle w niej słodczy. Ale ona musi robić to, co do niej należy. Przybyła z Irlandii i tam musi wrócić.

– Bridey, powiem ci, tak w tajemnicy, że faktycznie trochę mnie wzięło. Ale to jeszcze nic, o co należałoby się martwić.

– Nie chciałabym widzieć, jak cierpisz.

– Jestem silny, Bridey.

– Zawsze nam się wydaje, że jesteśmy silniejsi, niż jesteśmy naprawdę...

Powieki Bridey opadły.

Albo zasnęła, albo udawała. W każdym razie rozmowę uznała za zakończoną.

Zach pocałował staruszkę w czoło i na palcach wyszedł z pokoju.

Mimo późnej pory, kiedy znów znalazł się w swoim pokoju, wystukał w komórkę numer swego brata, Jeremy'ego. Jeremy niedawno ożenił się z dziewczyną z Salem. Teraz tam mieszkał, zaledwie kilka godzin jazdy samochodem stąd.

Ktoś powinien spojrzeć na wszystko świeżym okiem. Jeremy był osobą jak najbardziej odpowiednią.

– Cześć, stary! Co jest? – odezwał się zaspanym głosem Jeremy.

– Co u was? Wszystko w porządku? – spytał najpierw Zach.

– Jasne. Jest świetnie. Ale u ciebie chyba nie, skoro dzwonisz tak późno. Co z Kat? Jak Sean?

– Kat ma się bardzo dobrze, Sean znakomicie. Trudno uwierzyć, że był tak bardzo chory.

– Czyli Kat po prostu odbiło, kiedy twierdziła, że to Amanda próbuje zabić jej ojca?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Dlatego chciałem cię prosić, żebyś wyszperał wszystko, co się da o zatruciu arszenikiem i grzybami.

– Jeśli podejrzewasz arszenik, trzeba zrobić Seanowi odpowiedni test na wykrycie w organizmie metali ciężkich.

– Wiem. Bardziej jednak prawdopodobne wydaje się zatrucie grzybami. Nie chcę gadać o tym z lekarzami stąd. Wiadomo, zależy mi na dyskrecji. Dlatego proszę, zrób to dla mnie.

– Zrobi się.

Opowiedział Jeremy'emu o Eddiem Rayu, o poszukiwaniu skarbu Nigela Bridgewater, o tym, jak znalazł trop na mapach Seana i o szkle w borówkach.

– Sądzisz, że to wszystko ma ze sobą jakiś związek? – spytał Jeremy.

– No cóż... Borówki zostały kupione w miejscowym sklepie, ale nikt inny nie zgłaszał żadnych problemów. A dwa pozostałe przypadki? Pracuję właśnie nad nimi.

– W porządku. A więc działaj tam dalej, a ja tutaj zbiorę informacje, o jakie prosisz. Może powiem też Aidanowi, żeby podesłał tam któregoś ze swoich koleś z FBI, żeby powęszył. Coś jeszcze, Zach?

– Bridey jest chora.

– O, to niedobrze – powiedział zmartwionym głosem Jeremy i na chwilę zamilkł. – Jest już bardzo stara. Możemy się tylko modlić, żeby wydobrzała. Zach, wpadniemy tam do was z Rowenną za kilka dni. Rowenna zobaczy dom Seana i Newport w świątecznej szacie. Na pewno będzie zachwycona. Chcesz czegoś jeszcze ode mnie?

– Tak. Chcę, żebyś bardzo dokładnie zapoznał się z pewną irlandzką legendą.

– O, to ciekawe! O jaką legendę ci chodzi?

– O banshee. Sprawdź, czy istnieje jakiś związek banshee z ptakami. Zwłaszcza wronami albo krukami.

– Dobrze.

Pożegnali się. Zach odłożył komórkę. Próbował zasnąć, ale nie mógł. Przed oczyma miał wciąż ptaki, wielkie czarne ptaki, zataczające dziwne koła...

Ptaki znikły, zobaczył twarz Caer.

Usiadł na łóżku. Co się dzieje z Caer? Była dziś taka smutna. Przez ten list. Schowała go do kieszeni, bo nie chciała czytać go przy świadkach. Dopiero potem... Przeczytała go na wyspie i wszystko wskazywało na to, że nie było w nim dobrych wiadomości...

Bridey ma rację, Zach z każdą godziną jest coraz bardziej zakochany w Caer. Ufał jej, choć nie powinien. Caer przecież coś przed nim ukrywa. Jednocześnie jednak był pewien, że nie przyjechała tutaj, by kogoś skrzywdzić.

Eddiego jeszcze nie odnaleziono. Na pewno nie żyje. Całkiem możliwe, że nigdy go nie odnajdą. A poza tym, jeśli do tej chwili jest w wodzie, niewiele już z niego pozostało.

A ten prezent...

Zach zacisnął zęby. Potem powiedział na głos:

– Do cholery, Eddie! Mam nadzieję, że ten twój prezent wkrótce nadejdzie.

Oby jak najszybciej. Bo to może być odpowiedź na wszystkie pytania.

Gary Swipes patrzył na to coś, co wylądowało prawie na jego podołku.

Tak wielkiego ptaka nigdy jeszcze nie widział. Wielki, czarny. Co to może być? Gary miał jakieś takie pojęcie o ptakach, ale tego absolutnie nie mógł rozpoznać. Wrona? Kruk? Nieważne. W każdym razie wielkie ptaszysko. Ciężkie, skoro tak rąbnęło o ziemię.

Poza tym martwe. Szpony podkurczone.

Ale oczy otwarte. Leżał na boku. Gary widział tylko jedno oko, wpatrujące się w niego z przerażeniem. Tak, wpatrywało się... Jakby ten martwy ptak dalej widział...

Gary czuł się coraz bardziej nieswojo. Cholera, kto wie, czy ten pieprzony ptak raptem nie wstanie i nie odleci sobie!

Ale ptak nie ruszał się. Był naprawdę martwy.

Nawet kiedy Gary go kopnął, to oko patrzyło tak samo.

Kopnął go jeszcze raz, ale ścierwo było tak ciężkie, że przesunęło się zaledwie kawałeczek.

W słuchawkach słyszał śmiech.

– Ty chamie! -powiedział głośno. – Podobno miałeś być nieżywy, co?

Zdjął słuchawki i wstał z zamiarem pozbycia się tego truchła. Wrzucił go do oceanu i po kłopotcie. A rybki będą miały dobrą kolację.

Spojrzał na ptaka. To wredne oko. Teraz błyszczało, bo odbijało się w nim światło z latarki. Błyszczało, jakby ptak budził się do życia.

Gary zaklął i odruchowo odsunął się od skały.

Nagle usłyszał szelest i jednocześnie poczuł ostry ból w plecach. Ból coraz większy.

Upadł na kolana, instynktownie starając się rękoma sięgnąć po to, co było przyczyną tego bólu. Ptak nadal leżał koło niego, ale teraz wyglądał inaczej. Poplamiony czymś czerwonym. To znaczy, leżał w czerwonej kałuży. Krew?

Próbował wyciągnąć ręce. Nie chciały go posłuchać, ale je widział. Jego ręce też były czerwone. Całe we krwi.

Był idiotą, kompletnym idiotą. Pozwolił, żeby ktoś zaatakował go od tyłu.

Nóż? Toporek? Siekiera? Co wydało z siebie ten złowieszczy szelest?

Do cholery, czy to takie ważne – co? Najważniejsze, że było to coś stalowego, ostrego. I zadało mu śmierć.

Znów zaklął, bezgłośnie, bo miał ogromne trudności z nabraniem powietrza.

Życie jest cholernie wkurzające. Tym niemniej on miał zamiar jeszcze trochę pożyć.

Śmierć jest jeszcze bardziej wkurzająca. Taka śmierć? Przecież nawet nie walczył. Nie spojrzał przeciwnikowi w twarz.

Miał umrzeć. I nawet nie wiedział, dlaczego. Upadł na twarz. Potem na bok, czując, jak całe ciało drętwieje.

Jedno oko jeszcze widzi. Jedno oko.

Ptak też patrzył na niego jednym błyszczącym okiem, spryskanym krwią.

Na tym właśnie polega ironia losu.

Bo on zdawał sobie sprawę, że patrzy dokładnie tak samo.

Jednym błyszczącym okiem, spryskanym krwią...

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Michael czekał na Caer w kafejce. Czytał gazetę. Ubrany w gruby sweter i dzinsy doskonale wtapiał się w otoczenie. Pasował do portowego miasta nad oceanem.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że Caer usiadła już na krześle naprzeciwko. Ale oczywiście musiał dokończyć czytanie artykułu.

– Kawa? – spytał, kiedy w końcu oderwał oczy od gazety. – Mamy uroczą kelnerkę. Na pewno zaraz tu się zjawi.

– Michael, ale ty nie zjawiałeś się tutaj z mojego powodu?

– No cóż... – Michael odłożył gazetę. – Może spodziewano się, że zwojujesz tu więcej...

– Michael, wiesz dobrze, że jeśli naprawdę chce się powęszyc, trzeba mieć odznakę policyjną albo licencję detektywa. A ja jestem tu tylko pielęgniarką. Mogę jedynie obserwować, jeździć z Zacharym Flynnem i wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji. Bo tak się składa, że on ma licencję detektywa. A mnie trzeba było dać lepsze papiery, wtedy mogłabym więcej!

– Spokojnie, Caer. Twoim zadaniem jest właśnie obserwowanie ludzi. Postarać się ich zrozumieć. Zrozumieć ich sposób myślenia. I, co najważniejsze, kiedy i dlaczego kłamią. A jeśli chodzi o powód mojego przybycia, to nie jestem tu z twojego powodu. Jestem tu, ponieważ po tej stronie Atlantyku jest wiele spraw, które wymagają mojej uwagi.

– Świetnie. Byłabym bardzo niezadowolona, gdyby jakiś mój błąd zmusił cię do podróży do Nowego Świata.

Michael, wcale nie dotknięty jej sarkazmem, wzruszył tylko lekko ramionami.

Podeszła kelnerka. Podała mnóstwo różnych dań, jakby Michael zamówił sobie co najmniej połowę śniadaniowego menu. Na jednym talerzu był omlet, na drugim podsmażone mięso i tost. Na trzecim talerzu, mniejszym, naleśniki i biskwity.

Caer zamówiła kawę.

– Tylko kawa? – spytał Michael, zabierając się już do omleta. – Może skusisz się chociaż na naleśniki? Spójrz na nie, są takie delikatne, puszyste. Założę się, że bardzo smaczne, prawda?

Spojrzał na kelnerkę, która miała na imię Flo, o czym informował jej identyfikator.

Flo, słysząc pochwałę, aż zarumieniła się z zadowolenia. Poza tym Michael potrafił uśmiechać się czarująco.

– Robimy najlepsze naleśniki w całym stanie – oświadczyła z dumą.

– Słyszysz, Caer? Zamów sobie naleśniki, koniecznie! – powiedział Michael.

Caer zmusiła się do uśmiechu, skierowanego do Flo.

– Nie, dziękuję. Proszę tylko o kawę. Flo również się uśmiechnęła.

– Pani mówi tak cudownie. Znam ten akcent. Mój prapradziadek był Irlandczykiem.

– Milo mi, dziękuję za komplement – powiedziała Caer.

Flo odeszła. Michael, choć wydawał się być całkowicie pochłonięty jedzeniem, powiedział z sarkazmem:

– No proszę, proszę... Czyli moja propozycja zjedzenia pysznego śniadanka nie znalazła twojego uznania. Widzę, że jedzenie, które tak

przyjemnie drażni nasze kubki smakowe i podniebienie nie interesuje cię w ogóle. Hm... Jesteś jakaś inna, Caer. W twojej twarzy, w twoich ruchach jest coś intrygującego, coś nowego. Czyżbyś podczas pobytu na Rhode Island zapoznała się z... pewnym rodzajem przyjemności fizycznych lepszych od jedzenia?

Caer starała się ze wszystkich sił, by wyraz jej twarzy był idealnie nieprzenikniony.

– To naprawdę nie powinno cię obchodzić! Michael powoli odłożył widelec.

– Masz rację. To konkretnie nie powinno mnie obchodzić. Ale obchodzisz mnie ty, Caer. Zaczynam się o ciebie martwić.

– Dlaczego?

– Nie możesz tu zostać. Za dużo w tobie emocji. Myślę, że ty wierzysz, albo chcesz uwierzyć, że masz tu przed sobą jakąś przyszłość. A tak nie jest.

Caer, zaskoczona tym, co powiedział, opuściła głowę. W tym momencie czuła się kompletnie bezradna.

– Próbuję ocalić człowieka – powiedziała cicho. – Zapomniałeś?

Flo podeszła z kawą. Caer podziękowała jej, odczekała, aż dziewczyna sobie pójdzie.

– Michael... – odezwała się półgłosem. – Tu wszędzie są czarne ptaki. Wrony, kruki.

– Caer, od dawna oglądasz ten świat. Wiesz, że kiedy gdzieś dzieje się źle, nadlatują czarne ptaki. Kiedy może wydarzyć się jakaś tragedia, kiedy wyjątkowo dużo ludzi straci życie. Kiedy porządek świata ulega poważnemu zakłóceniu. Masz tu mnóstwo roboty, Caer.

– Ale ty też tu jesteś.

– I co z tego. Ty masz swoje zadania i musisz je wykonać. Niestety, nie będzie łatwiej ci je wykonać, jeśli zaangażujesz się w to do takiego stopnia, jak teraz. A ciało ludzkie jest słabe. Weź na przykład mnie. Zasmakowałem w tych naleśnikach...

– Głupich naleśnikach! – prychnęła gniewnie.

– Spokojnie, Caer, tylko spokojnie. Caer wydała z siebie gniewny pomruk.

– Michael...

– Caer, zauważyłem, jak ciągnie cię do tego człowieka. Byłaś zafascynowana już samą jego fotografią. Może taki pociąg jest czymś naturalnym. To przystojny facet, przyzwoity, ma charakter. Ale sprawy między wami zaszły za daleko, Caer. Marzysz o wspólnym życiu, a to jest niewykonalne.

– Wcale nie marzę!

– Marzysz. Zapominając zupełnie, jaki wprowadzisz zamęt, kiedy zakłócisz normalną kolej rzeczy. – Spojrzenie Michaela zdecydowanie stwardniało. – A tu są ptaki, zwiastuny wielkiego zła. Dlatego skup się na swoim zadaniu. Zapanuj nad złem, nie pozwól też, żeby zaistniało w twoim życiu. Żeby to, co powinno być łagodnym, naturalnym mijaniem się, przerodziło się w udrękę. Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Caer, zrozum! Ja po prostu staram się ci to wszystko jak najbardziej ułatwić!

Nie odzywała się. Wpatrywała się tylko w niego, przetrawiając w duchu to, co powiedział. Nienawidziła faktu, że ma serce. Wiedziała, że to tylko jeszcze jeden organ wewnętrzny. Tak naprawdę serca nie można

złamać. Emocje to sprawa duszy. Ale to one tworzą człowieka, istotę ludzką przewyższającą inne istoty, żyjące na tej ziemi.

Michael wyjął z kieszeni świstek papieru.

– A wracając do spraw podstawowych... ona jest twoja. Spojrzała na papierek, który jej wręczył. Potem spojrzała na niego, z przerażeniem.

– Nie!

– Tak, moja droga. Nie powinnaś być zaskoczona. Nikt nie żyje wiecznie.

– Jesteś potworem. Uśmiechnął się bardzo smutno

– Wcale nie. Dobrze o tym wiesz.

Jeszcze raz spojrzała na maleńki świstek papieru i spytała nieswoim głosem.

– Kiedy?

– Teraz.

Zach wyszedł z domu bardzo wcześnie, zabierając ze sobą kawę i bułkę. Pojechał na przystań. Biuro O'Rileya było jeszcze zamknięte. Świetnie. Wsiadł do tego samego jachtu, co poprzedniego dnia, zapalił silnik i tak jak wczoraj, powoli wyjechał z basenu, potem dał pełny gaz.

Było o wiele chłodniej niż poprzedniego dnia. Wiatr smagał twarz, woda wypryskująca spod kadłuba kłuła w policzki. Zacha jednak te niesprzyjające warunki, jakie serwowała natura, nie zrażały. Już postanowił. Będzie kopać. Przez cały dzień.

Podpłynął do Cow Cay i zarzucił kotwicę. Kawalek dalej zauważył dwie zakotwiczone motorówki. Czyli na wyspie byli obaj policjanci, zatrudnieni przez Morrissey'a. Policjant, który siedział tu przez noc, został

jeszcze chwilę, żeby pogadać ze swoim zmiennikiem. Zachowi podczas kopania wcale nie była potrzebna obecność drugiej osoby, rozsądek jednak nakazywał, żeby wyspa była pilnowana. Jeśli skarb istotnie jest tu ukryty, ten, kto z tego powodu zabił już jednego człowieka, może tu wrócić.

Brodząc w wodzie doszedł do brzegu, ściągnął kalosze i ruszył do skały Banshee. Nie doszedł, bo nagle zauważył młodego człowieka w dżinsach i grubej, nieprzemakalnej kurtce. Z twarzą białą jak papier. Biegł do Zacha co sił w nogach i wołał:

– Nie ma go! Nie ma! Szukałem wszędzie! Nigdzie go nie ma!

– Kogo? Kogo nie możesz znaleźć? Kto ty jesteś? Młody mężczyzna, ciężko dysząc, zatrzymał się przed

Zachem. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, był szczupły. Ciemnoblonde włosy sterczały nad chudą, kościstą twarzą.

– Jestem Phil Stowe, z policji. Detektyw Morrissey dał mi robotę tutaj, pracuję dla O'Rileyów. Przyplłynąłem, żeby zastąpić Gary'ego Swipesa, który był tu przez noc. Ale jego nigdzie nie ma! A jego motorówka stoi przy brzegu! Szukałem go wszędzie. I nie ma, po prostu znikł!

– Spokojnie. Ludzie nie znikają ot tak, po prostu – powiedział Zach.

Stowe nagle się cofnął.

– A kto ty jesteś?

– Zachary Flynn. Też pracuję dla O'Rileyów. Jestem z nimi zaprzyjaźniony od lat.

– Aha... – Na twarzy Phila widać było wyraźną ulgę. – Ale jego nie ma. Znikł bez śladu.

Zach zaklął w duchu. Eddie Ray też znikł bez śladu. A teraz ten policjant...

Podszedł szybkim krokiem do skały Banshee i obszedł ją wkoło. Nagle coś zauważył. Martwego ptaka. Leżał na boku. Szpony podkurczone, jedno oko szeroko otwarte. Spryskane krwią. Całe ciało ptaka było we krwi.

Zach przykucnął. Stowe, który szedł za nim, przystanął.

– To tylko martwy ptak – powiedział. – Widziałem go już. Ale po Garym ani śladu.

Zach wstał.

– Jest ślad, Phil. To nie jest krew ptaka. Jestem gotów się założyć, że to krew Gary'ego.

Phil Stowe zbladł i drżącą ręką zaczął szperać w kieszeni.

– Ja... ja zadzwonię.

– Tak. Dzwon. Powiedz Morrisseyowi, żeby natychmiast tu przyjechał. Ma zabrać ze sobą techników z laboratorium.

– Ale... ale przecież to tylko ptak. Martwy ptak.

– Nie tylko. Gdzieś tutaj leży martwy człowiek. Dzwon i powiedz, żeby przyjeżdżali jak najprędzej.

Bridey już od jakiegoś czasu wiedziała, że jej czas nadszedł. Słyszała, jak jej płuca przy oddychaniu wydają te dziwne, świszczące dźwięki. Ale nie bała się. Widziała przecież we śnie Eddiego koło chaty na szmaragdowym wzgórzu. On czeka na nią. Czekają też ci, co odeszli wcześniej. Rodzice, bracia, wiele bliskich osób.

Chociaż trochę żal. Kochała swój czas na ziemi, kochała swego bratanka, Seana, słodką Kat i wielu innych ludzi. Żyła tyle lat, czasami było ciężko, czasami lżej. Ale wszystkie te lata na swój sposób były dobre.

Ale czas Bridey nadszedł. Nie bała się.

Naprawdę? Bridey zaśmiała się w duchu. Udaje bohaterkę, a pewnie, że się boi. Bardzo.

W całym domu krzątanina. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, choć wszyscy myśleli, że ona leży w śpiączce. Że nie słyszy. A ona słyszała wszystko.

Był przy niej lekarz. Był też ksiądz, ojciec O'Malley, z ostatnim namaszczeniem, teraz księża nazywają te olejki Sakramentem Chorych. Jakoś lepiej brzmi, ale oznacza to samo – błogosławieństwo na drogę ku wiecznemu życiu.

Teraz siedział przy niej Sean, bardzo smutny, i trzymał ją za rękę. Kat zanosila się od płaczu. Bridey koniecznie chciała coś powiedzieć, żeby pocieszyć dziewczynę. Niech Bóg błogosławi Kat. Ona naprawdę potrafi kochać.

Amandy nie było, także Zacha. Bridey słyszała, jak ktoś mówił, że Zach wyszedł z domu niemal o świcie. Szkoda, że go nie ma. Zach to prawdziwa podpora dla wszystkich. Ale najważniejsze, że przy Bridey są Sean i Kat, jej najbliżsi, najbardziej drodzy jej sercu.

Lekarz podał jej morfinę, żeby złagodzić ból w piersiach. Słyszała, jak mówił, że to tylko kwestia czasu.

Caer też tu była, w tym pokoju. Była, chociaż widziała ją tylko Bridey. Inni nie.

Sean trzymał Bridey za jedną rękę, Caer za drugą. I to Caer była razem z nią, kiedy Bridey nagle znalazła się o wiele wyżej, kiedy spojrzała z góry na pokój i zgromadzonych tam ludzi.

– Jestem przy tobie, Bridey – powiedziała Caer tym swoim melodyjnym głosem. – Nie bój się, jestem z tobą i obiecuję ci, że to nie

będzie ciężka podróż. Poczujesz ciepło, zapach ziemi, słodki zapach kwiatów na łąkach. Polecisz do nieba. A tam będzie ci tak dobrze, jak nigdy dotąd, bo otoczy cię miłość, miłość, jaką darzyli cię wszyscy przez długie lata twego życia. Już nigdy nie będziesz czuła żadnego bólu, wszystko dookoła cię będzie dobre i piękne. To nagroda za twoją dobroć i życzliwość, jaką zawsze okazywałaś innym. A teraz... teraz masz moją rękę, moją siłę...

Jakże słodki był jej głos! Jakże bardzo mylili się ci, którzy wierzyli, że banshee przychodzi w ciemności, że jest zła. A banshee jest kimś, kto ma w sercu miłość, kto chce pomóc, kto będzie cię oplakiwać.

– Nie odejdziesz ode mnie? Na pewno? Proszę, Caer! Wiem, że nie powinnam się niczego bać, ale niestety. Panie Boże, przebacz, boję się!

– Jestem przy tobie, Bridey. Powóz już nadjeżdża. Piękny powóz, kare konie w uprzęży ozdobionej piórami. Powiozą cię przez ciemność ku światłu. Powóz jest czarny, bo w czerni zlewa się życie i śmierć, czerń ukrywa powóz przed oczami śmiertelników. Pojedziesz przez ciemność, Bridey, ale nie bój się jej! Ona poniesie cię ku jasności...

Pokój i kruche, wątłe ciało Bridey leżące na łóżku były teraz gdzieś bardzo daleko, w dole. Bridey i Caer w długiej sukni z czarnego jedwabiu stały na zielonym wzgórzu, górującym nad całym światem. Wiatr rozwiewał kruczoczarne włosy Caer. Była taka piękna, taka słodka, taka kojąca.

Ale...

– Caer, nie mogę teraz odejść! Co z ptakami? Przecież nie przyleciały tu z mojego powodu. Ja to wiem! A są wszędzie. Co będzie z Seanem? Przecież na niego jeszcze nie pora. A moja Kat... O Boże, nie!

– Nie martw się, Bridey. Będę ich chronić. Także Zach. On bardzo was kocha, ciebie, Seana i Kat. Nigdy was nie zawiedzie.

Bridey znów spojrzała w dół. Widziała, jak Sean obejmuje szlochającą Kat. Też bardzo chciała ją pocieszyć, przytulić... Ale jak?

– Pochyl się, Bridey – powiedziała Caer. – Oni wcale nie są tak daleko, tak tylko ci się wydaje. Możesz pogłaskać Kat po policzku, zrozumie wtedy, że z tobą nic złego się nie dzieje.

Bridey wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała wnuczkę po policzku.

Kat poderwała głowę. Podniosła załzawione oczy i ostrożnie dotknęła swojego policzka. Dokładnie w miejscu, w którym pogłaskały go palce Bridey.

– Caer – szepnęła zdumiona Bridey – ona... ona to poczuła...

– Oczywiście. Wie, że to byłaś ty. A teraz... teraz spójrz na siebie, Bridey! Spójrz, wraca ci młodość, wracają siły!

Bridey usłyszała tętent kopyt. Nadjeżdżał powóz, ciągnęło go osiem karych koni w pięknej uprzęży. Powóz wjechał na szmaragdowe wzgórze. Drzwi powozu otwarły się szeroko.

Caer wzięła Bridey za rękę i podprowadziła do powozu. Trzeba było wejść na schodek. Jeszcze niedawno byłoby to dla Bridey za wysoko, teraz nie. A poza tym w powozie było jasno, ciepło, naprawdę chciało się do niego wsiąść.

Lekko i zręcznie wstąpiła na schodki. Odwróciła się. Objęła Caer i ucałowała ją serdecznie. Była gotowa. Weszła do powozu, odwróciła się jeszcze raz i spojrzała Caer głęboko w oczy.

– Caer, może się zdarzyć, że będę ci potrzebna. Zrobię to, Caer. Pamiętaj. Wiem, że go kochasz i jest ci bardzo ciężko na myśl, że będziesz

musiała go opuścić. A teraz chroń go. Chroń ich wszystkich, a przede wszystkim Seana.

– Tak zrobię, Bridey. Przysięgam.

– A ja będę nad wami czuwać, Caer.

Czuła, że tak będzie. Jest przecież znowu taka silna, może biegać, skakać.

Caer uśmiechnęła się.

– Dziękuję, Bridey.

Bridey usiadła w powozie. Nie czuła już żadnego lęku. Kiedy jednak powóz pomknął w górę, ku niebu, spojrzała w tył i poczuła lekkie ukłucie w sercu. Caer nadal stała na wzgórzu, wiatr rozwiewał piękne czarne włosy wokół porcelanowej twarzy, bawił się czarną żałobną suknią.

Caer podniosła rękę. Uśmiechnęła się i pomachała.

Bridey też. Uśmiechnęła się, pomachała i pofrunęła do nieba.

– Wygląda na to, że został zabity właśnie tutaj – powiedział Zach.

Morrissey tylko pokiwał głową. Zdecydowanie nie był fanem chłodu. Drżał na całym ciele i szczekał zębami, choć starał się nad tym zapanować.

– Może to i racja – powiedział jeden z czterech techników z laboratorium, których razem z detektywem przywiozła tu motorówka patrolu policyjnego. – Ptaki nie mają tyle krwi. Poza tym tam, na piasku, są ślady, jakby ktoś coś ciągnął. Pójdę tam.

Ślady były, faktycznie. Ktoś je zatarł, może gałązką, ale kiedy spojrzano się uważniej, można było je dostrzec. Prowadziły do wody.

Dwóch techników poszło przeszukać motorówkę Gary'ego Swipesa, choć nikt się nie łudził, że zastaną tam Gary'ego. Było mało prawdopodobne, żeby jakimś cudem zdołał tam wrócić.

Policja jeszcze raz przeczesała dokładnie wyspę. Policjanci w długich kaloszach weszli do wody i sprawdzili płycizny.

I nic. Gary Swipes znikł. Jedyne, co pozostawił po sobie, to swoją krew na martwym ptaku.

Zach przeszukał kępę rachitycznych drzewek. Dokładnie obchodził każde drzewko, wbijając wzrok w mizerną trawę i w zarośla, z trudem utrzymujące się przy życiu.

Nagle jego oko wyłowiło w trawie przedmiot, którego teoretycznie nie powinno tu być.

Termos. Pobrudzony krwią.

Zawołał fotografa, żeby zrobił zdjęcie, potem nałożył rękawiczkę z lateksu, wziął ostrożnie termos i zaniósł technikom, żeby zabrali do laboratorium.

Phil Stowe nie mógł przyjść do siebie.

– Taki twardy facet, taki twardy... Może i trochę postrzelony, ale tak naprawdę bardzo przyzwoity gość. Na pewno nie zasłużył sobie na... coś takiego.

Detektyw Morrissey, zwykle tak opanowany, po raz pierwszy w obecności Zacha dał się ponieść emocjom.

– Do cholery! Chciałem, żeby trochę dorobił. Jego była żona zabrała mu wszystko. No i zrobiłem mu przysługę! A niech to szlag!

Przez chwilę trzech mężczyzn stali w milczeniu, każdy pochłonięty swoimi myślami. Dopóki nie odezwała się komórka Morrisseya. Detektyw odebrał telefon, chwilę słuchał i sposepniał. Zamykając telefon, spojrzał na Zacha.

– Panie Flynn, musi pan natychmiast wracać.

Zach czuł, że koło serca robi mu się lodowato. Co, u diabła, mogło się stać? Dlaczego nie zadzwonili do niego, tylko do Morrisseya?

– Dzwoniła Clara – powiedział Morrissey. – Nie mogła dodzwonić się do pana, zadzwoniła więc do mnie. Proszę, żeby pan wracał jak najszybciej. Bridey umarła. Bardzo panu współczuję, panie Flynn.

Amanda, po wyrzuceniu z siebie kilku dramatycznych zdań, poszła spać. Caer była na górze, siedziała przy zrozpaczonej Kat. Sean i Tom pojechali do ojca O'Malleya, żeby omówić sprawę pogrzebu.

Clara, bardzo przywiązana do O'Rileyów, była roztrzęsiona, dlatego Marni postanowiła zostać i trochę pomóc. Przede wszystkim wysłała Cala do dwóch sklepów, spożywczego i alkoholowego. O'Rileyowie byli rodziną znaną w mieście, wiadomo, że wiele osób przyjdzie złożyć kondolencje. Ktoś musi z nimi porozmawiać i czymś ich poczęstować. To zadanie Marni wzięła na siebie.

Marni, niestety, miała już doświadczenie, jak radzić sobie w tej smutnej sytuacji. Jakiś czas temu straciła ojca. Umarł w domu, jak Bridey. Dobrze, że przy Bridey był lekarz, dzięki temu O'Rileyowie nie będą musieli odpowiadać policji na szereg pytań. Jak ten ktoś umarł, dlaczego. Jeśli nie ma lekarskiego zaświadczenia o chorobie, przeprowadza się sekcję zwłok. Członkowie rodziny zmarłego mogą być nawet oskarżeni o morderstwo. Wszystko to razem jest po prostu straszne, ale tak nakazuje prawo.

Kiedy zabrała się za ustawianie szklanek na srebrnej tacy, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Pobiegła tam, żeby sprawdzić, kto.

Zach. Bardzo przybity. Ale opanowany.

– Gdzie Sean? – spytał. – Co z Kat?

– Tom zawiózł Seana do ojca O'Malleya, żeby omówić sprawę pogrzebu. Nie mam pojęcia, kiedy wróca. Amanda jest w łóżku. Dochodzi do siebie. Podobno... – Marni pozwoliła sobie na znaczące chrząknięcie. – Kat na górze, u siebie, Caer razem z nią. Clarze kazałam iść do domu. Jest roztrzęsiona. A Cala wysłałam do sklepu, przecież jak wiadomość o śmierci Bridey się rozniesie, zaraz zaczną przychodzić ludzie z kondolencjami.

– Dziękuję, Marni, że się tym zajęłaś. Pójdę teraz na górę, do Kat.

Poszedł. Po kilku minutach Marni znów usłyszała, że ktoś jest przy frontowych drzwiach. Ten ktoś zastukał, czyli już ktoś przyszedł złożyć kondolencje.

Podeszła do drzwi i spojrzała przez judasza. Nikogo. Ciekawe. Mogła przysiąc, że przedtem słyszała stukanie.

Otworzyła drzwi, spojrzała w lewo, w prawo. Nikogo.

Spojrzała w dół i z jej gardła wydobył się przeraźliwy krzyk.

Martwy ptak. Okropny. Leżał na plecach, dziwnie skrzywiony. Oczy miał otwarte i patrzył na nią. Tak. Patrzył.

Chciała krzyknąć, ale z gardła ściśniętego strachem wydobył się tylko cichy pisk. Martwe ptaki.

Pierwszy leżał przed ich firmą. Drugi tutaj.

Zamknęła oczy. Nie, to jest już ponad jej siły. Śmierć starej Bridey była czymś naturalnym, zwykłą kolej rzeczy. Smutne wydarzenie, ale nie wytrącające z równowagi do takiego stopnia jak te martwe ptaki.

Zamknęła drzwi. Porządnie, na klucz, choć zdawała sobie sprawę, że jest śmieszna. Martwy ptak naprawdę nie jest w stanie sforsować tych drzwi i dostać się do środka.

Ale zamknęła. Bo nadal cała drżała.

Kat, zapuchnięta od płaczu, leżała na łóżku. Obok siedziała zmartwiona Caer. Na widok Zacha uśmiechnęła się blado. A Kat zerwała się z łóżka, rzuciła się w ramiona Zacha i znów zaczęła łkać.

– Och, Zach! Zach!

– Wszystkim nam będzie brakowało Bridey. Była cudownym człowiekiem.

– Ja tak ją kochałam...

– Ona ciebie też kochała, Kat. Bardzo. Zawsze mówiła, że jesteś dla niej promykiem słońca. Była bardzo dumna z twoich sukcesów.

– Och, Zach! Wiem, że była już bardzo stara. Ale ja nie wyobrażam sobie, jak to teraz będzie! Bez niej, bez tych jej cudownych opowieści! Och, Zach! Ja nie potrafię nie płakać!

– To płacz, Kat. Po prostu płacz.

– Przecież płaczę... – Kat chlipnęła. – Och, Zach.... Ciebie też kochała.

– Wiem. Ja ją też. Wszyscy ją kochaliśmy.

– Dzwoniłeś do Jeremy'ego i Aidana?

– Jeszcze nie, ale zaraz to zrobię. Najpierw chciałem zobaczyć się z tobą.

– Zach, ja tak się boję. Pomyślałam sobie, że mój tata ma też już dużo lat. Gdybym miała stracić i jego...

– Nie stracisz go, Kat. Twój ojciec będzie żył jeszcze długo i szczęśliwie.

– Ale te ptaki, Zach! Te ptaki! Przyleciały tutaj i Bridey umarła!

Zach pogłaskał ją po głowie.

– Ptaki to ptaki, Kat. Bridey umarła, bo dostała zapalenia płuc. A była bardzo już stara.

– Ona wiedziała, że umrze, Zach. Mówiła przecież, że u nas w domu jest banshee.

– Kat! Ludzie często przeczuwają swoją śmierć!

– Może i tak... Zach, a gdzie ty byłeś?

– Na Cow Cay.

– Na Cow Cay? Po co? Stało się coś?

Zach czuł na sobie wzrok Caer. Czuł, że Caer patrzy na niego z niepokojem.

– Owszem. Ktoś zaginał.

– Jak Eddie?!

– Niestety, tak.

– O, mój Boże! Mój Boże! Tyle nieszczęść! Bridey umarła. Tylko mi nie mów znów, że była stara! Mogła żyć sto lat! Eddie zaginał. Tata był tak bardzo chory... a teraz znowu jakiś człowiek zaginał. Zach, dlaczego? Dlaczego?

Znów rozszłochała się na dobre. Zach objął ją mocno i spojrzał bezradnym wzrokiem na Caer. Caer wstała i podeszła do nich.

– Kat, najlepiej byłoby, gdybyś teraz trochę się przespała. Ale jak chcesz płakać, to płacz. Zawsze opłakujemy ludzi, którzy od nas odchodzą. Powinniśmy jednak wierzyć, że jest taki czas i miejsce, gdzie znowu ich spotkamy. Znowu będziemy z nimi razem.

– Och, Caer...

Kat wysunęła się z ramion Zacha i spojrzała na Caer.

– Naprawdę w to wierzysz? Mówisz to tak pewnie... Ciocia Bridey umarła tak bardzo spokojnie. Myślisz, że naprawdę przyszła po nią banshee?

– Oczywiście. Bridey była Irlandką. Banshee przyszła do niej, żeby Bridey nie czuła żadnego lęku. Banshee wskazała jej drogę. Bridey odeszła, zostawiając tu, na ziemi, swój wiek, chorobę, ból. Teraz jest znów młoda, piękna, szczęśliwa. A my płaczemy, bo brak nam tych, którzy odchodzą. Ale cieszymy się, że ich dusze odnajdują spokój.

Kat, wyraźnie już spokojniejsza, smutno pokiwała głową.

– Pójdę już – powiedział cicho Zach. – Zadzwońię do Aidana i Jeremy'ego. Na pewno przyjadą na pogrzeb.

Poszedł do swojego pokoju i najpierw zadzwonił do Jeremy'ego. Jeremy, bardzo przybity smutną wiadomością, powiedział, że zaraz skontaktuje się z Aidanem. Obaj postarają się przyjechać jak najprędzej.

Zach zszedł na dół. Do domu zaczęli już napływać ludzie z kondolencjami. Seana jeszcze nie było, ale ponieważ Marni ze wszystkim dawała sobie znakomicie radę, Zach postanowił jechać na posterunek.

Morrissey był w swoim pokoju.

– Bardzo mi przykro z powodu Bridey O'Riley, panie Flynn. Mamy jednak nowe morderstwo, dlatego z kondolencjami wybiorę się do państwa później.

– Rozumiem – powiedział krótko Zach.

– Przeżywacie państwo teraz trudne chwile...

– Tak. Przyznam się panu, że wolałbym mieć coś do roboty.

– Naprawdę? Bo tak się składa, że miałbym dla pana pewne zajęcie.

– Jakież?

– Ten młody człowiek, któremu pan polecił zgłosić się do mnie, jest teraz u nas. Razem z moim ludźmi przegląda taśmy wideo ochrony w sklepie spożywczym, gdzie kupiono te borówki. Może by pan też spojrzął na te taśmy?

Młody człowiek, czyli Jorey. Gary Swipes przypuszczalnie został zamordowany. Czy Joreyowi też to grozi? Jeśli chłopak wygadał się komuś, że wybiera się na policję, mogło to dotrzeć i do mordercy.

Zach zaklął w duchu. Trzeba było uprzedzić chłopaka! Zaklął jeszcze raz, jednocześnie zauważył, że Morrissey, zmrużywszy oczy, przygląda mu się bacznie.

– Panie Flynn, kto wie, że kopał pan na Cow Cay? – spytał.

– Caer Donahue – odparł Zach, spokojnie wytrzymując jego wzrok. – I pan.

Jednocześnie przez głowę przemknęła pewna myśl. Nieunikniona. Morrissey?!

Nie, wykluczone. Ale... wszystko jest możliwe, Zach z biegiem lat zdążył się tego nauczyć. Jeśli Morrissey, byłby to prawdziwy majstersztyk.

– Są dwie możliwości – powiedział detektyw. – Ktoś wiedział, że na wyspie jest strażnik, mimo to zdecydował się tam popłynąć. Albo i nie wiedział. Natknął się na policjanta i uznając, że nie ma wyboru, zabił go. No cóż... a my i tak drepczemy w miejscu...

– Pójdę spojrzeć na te taśmy – powiedział Zach. – Może rzeczywiście na coś się przydam.

– Dobrze.

Morrissey wstał.

– Zaprowadzę pana.

Zaprowadził go do jednego z pokoi do przesłuchań, gdzie Jorey razem z dwoma policjantami oglądali wideo. Na widok Zacha Jorey uśmiechnął się.

– Dzień dobry, Zach!

– Witaj, Jorey. Dzięki, że zdecydowałeś się pomóc.

– Spójrzcie! – odezwał się nagle głośno jeden z policjantów. – Przecież to Amanda O'Riley!

– I Kat! – dodał Zach.

– A tam widać Clare. Szczerze mówiąc, na tej taśmie jest pół miasta – powiedział Jorey, potrząsając bezradnie głową. Nagle krzyknął: – Tam! Patrzcie! To ten facet, którego widziałem wtedy z Eddiem!

RS

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dom pełen smutku. Taki był teraz dom Seana O'Rileya. Przez cały dzień przez dom przewijali się ludzie, wszyscy wyciszeni, pełni szacunku i szczerze zmartwieni.

Kat w końcu zasnęła i Caer zaczęła się zastanawiać, co właściwie teraz zrobić z sobą. Nie chciała wracać do swojego pokoju, czuła się tam trochę samotna. Pomóc Marni w przyjmowaniu gości? Nie było potrzeby, Marni doskonale dawała sobie radę.

W rezultacie Caer postanowiła pójść do biura firmy O'Rileya. Z powodu śmierci Bridey było zamknięte. Nikt nie przyszedł do pracy, będzie więc można spokojnie się tam rozejrzeć.

Szła dłużej, niż się spodziewała. W lecie na pewno było inaczej, teraz trudno to było nazwać przyjemnym spacerem. Było bardzo zimno, może dlatego na ulicach takie pustki.

Nie była zaskoczona, że Michael wyznaczył ją, by pomogła Bridey. Kochana Bridey... Niestety, wiek zawsze był wrogiem człowieka. A mimo olbrzymiego postępu w nauce zawsze będzie istniało coś, co pozbawi człowieka życia. Albo jego życie pozbawi wartości.

Ciało człowieka nie jest nieśmiertelne. Mimo wszystko było to w jakiś sposób zdumiewające.

W ciągu minionych lat Caer zdarzyło się nieraz powrócić do swego ciała, ciała, w którym kiedyś przyszła na świat. Zawsze było to dla niej wielkim przeżyciem. I zarazem przyjemnością.

Ludzie bardzo często źle pojmują jej rolę. Ona nie odbiera życia. Życiem człowieka rządzi naturalny porządek świata. Ona tylko pomaga

umrzeć. Oczywiście, że istnieją także złe banshee, które wprowadzały tylko chaos i sprawiały ból. Michael, który istniał od zawsze i wiedział wszystko, nie powiedział jednak Caer, skąd się biorą złe banshee. Tylko ostrzegł ją, że ten, kto służy jemu, nie ma prawa być zły.

Banshee są Irlandkami, pomagają Irlandczykom, zdarza się jednak, że pomogą też innym. Ale każda grupa etniczna posiada kogoś, kto towarzyszy człowiekowi podczas umierania. Starożytni Grecy przeprowadzali swoich zmarłych na drugi brzeg przez rzekę Styks, a towarzyszył im przewoźnik, który nazywał się Charon. Wikingowie zabierani byli po śmierci do Valhalla, gdzie zawsze ktoś był z nimi, ktoś, kto dbał, by ta ostatnia podróż była radosna. Chyba że czyimś życiem rządziło tylko zło. Wtedy ostatnia podróż była przerażająca.

Nową banshee wybiera się bardzo starannie, wyboru zawsze dokonuje Michael. Zadaniem banshee jest niesienie pomocy tym, którzy mieli dobre życie. Nie muszą być to święci. Po prostu ludzie dobrzy, których należało potraktować z taką samą życzliwością, z jaką oni odnosili się do bliźnich i towarzyszyć im w drodze do innego świata.

Czarny powóz, kare konie w ozdobionej piórami uprzęży jest to coś absolutnie irlandzkiego. A ponieważ Irlandczycy zamieszkują prawie wszystkie zakątki świata, dlatego banshee mają pełne ręce roboty.

Śmierć w podeszłym wieku nie jest tragedią. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Wielki plan nie zakłada śmierci w młodym wieku. Taka śmierć jest wbrew naturze, ale zdarza się, że wtedy rodzi się nowa banshee. Caer była ofiarą najrozmaitszych konfliktów i nienawiści, którymi karmiono ludzkość przez wiele stuleci. Zamordowana została w imię miłości. Bardzo smutne. Ale jest w tym i trochę poezji.

Banshee, która przybiera ludzką postać – co czasami się zdarza – może w chwili śmierci innej kobiety poprosić duszę tej kobiety, by zajęła jej miejsce. Musi być to jednak dusza kogoś bardzo wartościowego. Bo nie ma większego grzechu, niż dopuszczenie, by ktoś zły towarzyszył zmarłym w ich podróży do innego świata. Tam, gdzie wzgórza są zielone, gdzie człowiek odzyskuje młodość, urodę i szczęście.

Caer zawsze była bardzo zadowolona ze swojej pracy. Traktowała ją jako coś w rodzaju oddania ostatniej przysługi ludziom, którzy za życia nie skąpili różnych przysług innym. Caer wkradała się do ich umysłu, zabierała ich ze sobą na zielone wzgórza, do starych miłości, które żyły w ich sercach. Towarzyszyła i mężczyznom, i kobietom. Towarzyszyła mężczyznom twardym, nieustępliwym. Towarzyszyła kobietom, które choć żyły w cieniu silnych mężczyzn, same też miały w sobie nadzwyczajną siłę.

Caer bywała i przy tych, którzy dopiero u kresu swego życia pojęli, że sprawy, o które walczyli, wojny, które prowadzili, są niczym. Pojęli, że zabijanie w imię Boga nie jest sprawiedliwie. I nigdy nie jest zaaprobowane przez Boga.

Zabierała ze sobą także tych, którzy oddali swoje życie za innych. Była szczęśliwa, że może być właśnie przy nich, wyrazić im wdzięczność, dać im odczuć, że ich miłość i poświęcenie nie pozostały niezauważone.

A kiedy przybierała ludzką postać... och, wtedy mogła poznawać różne miejsca na ziemi, często niezwykle piękne. Mogła nacieszyć się modą różnych epok, poznawać zapachy słodkich, subtelných perfum, rozkoszować się – jak Michael – smakiem najrozmaitszych potraw.

Nigdy jednak przedtem nie doznała takich przyjemności fizycznych. Dopiero teraz, po raz pierwszy. Niestety, wiedziała aż za dobrze, że nie powinna do tego dopuścić.

Bo końcowy tego efekt to ból.

Ból fizyczny znała. Nie można jej było zabić jeszcze raz, ale kiedy uderzyła się albo skaleczyła, bolało ją jak każdego człowieka, za to goiło się w mgnieniu oka.

Ale ten konkretnie ból, gdzieś tam, w środku, był nieporównywalnie silniejszy.

Miłość.

Czy naprawdę była zakochana? Czy można zakochać się już po kilku dniach?

Czy pokrewieństwo dusz naprawdę istnieje? Czy to możliwe...

Być nieśmiertelną, a jednak... Spojrzeć w oczy mężczyzny i zrozumieć, że jest on jej jedynym pragnieniem?

Zakochała się. Pozwoliła sobie nawet na marzenia.

A powinna być po prostu mądrzejsza.

Dawno, dawno temu, w tamtym życiu – życiu śmiertelnika -już raz kochała i to powinno ją czegoś nauczyć. Wtedy myślała, że miłość jest silniejsza niż nienawiść. Że miłość tych, którzy urodzili się, by być dla siebie wrogami, powinna spotkać się ze zrozumieniem, powinno się nawet ją czcić. Myślała, że uda jej się zmienić tamten zakątek świata, sprawić, że ludzie przestaną karmić się nienawiścią.

Nie miała racji. Swój błąd przyplaciła życiem.

Teraz jest inaczej. Irlandczycy w końcu zaczęli pojmywać, że jutro zawsze będzie nowy dzień, a dziecko nie po to przychodzi na świat, by cierpieć za grzechy przeszłości.

Ale ona... ona znów popełnia błąd.

Pragnie. To jest silniejsze od niej. Och, jej nic nie potrzeba. Koronek, jedwabi, smaku miodu. Nie ma miejsca na ziemi, którego nie potrafiłaby opuścić.

Z jednego tylko tak ciężko zrezygnować...

Dotknęła swego policzka.

Łzy.

Nie. Wyprostowała ramiona. Ona, Caer Donahue, jest tym, kim jest. I nic tego nie zmieni.

Co by było, gdyby się dowiedział? Gdyby usłyszał:

– Nie mogę z tobą zostać, Zach. Jestem banshee. Zawodząca, lamentująca banshee, która nadjeżdża wielkim czarnym powozem śmierci...

Wyśmiałby ją czy przeklął? I na pewno by odtrącił.

Znów łzy. Rzadki gość na jej policzkach, łzy, których tak naprawdę nigdy tu dotąd nie było...

Nagle zorientowała się, że doszła już do przystani.

Wszędzie ptaki. Samych ptaków nie ma co się bać. Istoty śmiertelne. Żyją po swojemu, potem umierają. Ale ptaki w takiej masie to zapowiedź tragedii...

Teraz jednak nie powinna o nich myśleć. Teraz nie. Ma ważne zadanie do wykonania.

Drzwi, tak jak się spodziewała, były zamknięte na klucz. Żaden problem. Michael co prawda wyznaczył jej rolę pielęgniarki, nie szpiega, ale ona od dziesiątków lat otwierała różne zamki.

Ten konkretnie nie sprawił najmniejszego kłopotu.

Weszła do środka. Od czego zacząć? Czego właściwie szukać? Czy warto?

To się okaże.

Podeszła do pierwszego z brzegu biurka i otworzyła szufladę.

Cofnęli taśmę i powiększyli obraz maksymalnie, niestety był bardzo nieostry. Tym niemniej tam, na ekranie, był człowiek, którego rozpoznał Jorey. Mężczyzna z wąsami, w kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło i obszernym płaszczu.

– To już coś – powiedział Morrissey.

– Może – powiedział Zach, ale bez przekonania. – Ale te wąsy wyglądają na sztuczne. Facet je odklei i nikt go nie rozpozna. No cóż... ja dalej obstaję przy teorii, że człowiek, który zabił Eddiego, próbuje zabić Seana. Gdyby kamera wyłapywała przejścia między regałami, jestem pewien, że zobaczylibyśmy, jak ten facet wsypuje do słoików szkło. A potem, na przykład, zachwala przed Clarą te właśnie borówki. Ale moim zdaniem trop jest właściwy. Ten gość szuka tego, co znalazł Eddie. Boi się, że Sean znajdzie to wcześniej, dlatego chce go wyeliminować.

– Zgadzam się z tym – oświadczył Morrissey. – Wysłaliśmy ludzi na wyspę, kopią w miejscu, które pan wskazał.

– Dziękuję. A teraz muszę wracać do domu.

– A co ze mną? – spytał Jorey. – Czy będę jeszcze potrzebny?

– Nie, synu. Dziękujemy – powiedział Morrissey.

– Świetnie się spisałeś, Jorey – powiedział Zach. – Wyjdziemy razem.

Kiedy znaleźli się już na dworze, Jorey złożył Zachowi kondolencje.

– Bardzo mi przykro z powodu Bridey. Wszyscy, którzy ją znali, bardzo ją lubili.

– Dziękuję, Jorey. Sean jakoś się trzyma, ale Kat rozkleiła się zupełnie.

– Biedna Kat... Czy mogę coś zasugerować?

– Jasne.

– Znam Kat od dawna. Kiedy ma problem, nic jej tak nie uspokaja, jak gitara. Może poproście ją, żeby skomponowała jakąś melodię na pogrzeb Bridey.

– A wiesz, Jorey, że to nawet niezły pomysł... Dzięki. Zach rozejrzał się. Te przekłete ptaki nie odleciały. Ptaki. Po prostu ptaki. Powtórzył to sobie kilkakrotnie. Jorey wsiadł do swojego samochodu.

– Jorey? – Zach nachylił się ku opuszczonej szybie. – Chciałbym, żebyś teraz trochę bardziej uważał na siebie niż zwykle. Bądź ostrożny. Staraj się zawsze być tam, gdzie jest sporo ludzi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Jasne. Ale... ale dlaczego? Myślisz, że coś mi zagraża?

– Myślę, że ktoś zabija ludzi, którzy coś wiedzą, a co zagraża temu mordercy. Nie musisz być jednym z nich.

– Fakt. – Uśmiech Joreya był zdecydowanie wymuszony. – Tak się składa, że podoba mi się moje życie – powiedział i szybko odjechał.

Zach, choć powinien wracać już do domu, zdecydował, że po drodze wpadnie do firmy. Po co? Sam nie wiedział, ale coś go tam ciągnęło.

Wjechał na przystań. Był prawdziwy zimowy dzień. Niebo szare, ale już niedługo. Wkrótce nadejdzie noc.

Zaparkował samochód i nagle poczuł, że cały robi się spięty. Światło w biurze było zapalone. Tylko jedna ze stojących lamp na biurku. Wystarczyło, żeby zorientować się, że ktoś jest w środku.

Wysiadł z samochodu i wyciągnął zza paska spodni pistolet, który teraz zawsze nosił ze sobą. Podszedł do rogu domu i przyklejony do ściany, przesunął się do drewnianych schodków. Wszedł po schodkach, ostrożnie nacisnął na klamkę. Drzwi, nie zamknięte na klucz, ustąpiły. Otworzył je nogą szerzej, jednocześnie ustawiając się za nimi jak za tarczą.

I ryknął:

– Stać! Nie ruszać się!

I zgłupiał. Bo osoba, która zaskoczona jego krzykiem aż podskoczyła, to była Cear, penetrująca właśnie biurko Eddiego. Podskoczyła, ale zaraz, zgodnie z rozkazem, znieruchomiała.

– Co tu robisz, Caer?

– Szukam.

– Czego?!

– Tego, czego ktoś inny nie zauważył.

Zach zabezpieczył broń, wsunął ją z powrotem za pasek i bardzo starannie zamknął drzwi.

– Znalazłaś coś?

– Tak. Wiersze.

– Co?

– Wiersze. Eddie pisał wiersze. Podobne do tekstów piosenek. Takie krótkie rymowanki. Posłuchaj: „Jeden, jeśli łądem, jeśli wodą: dwa. Och, jaki jestem szczęśliwy. Bo to wszystko: ja!”.

Zach znacząco uniósł brew.

– Rzeczywiście. Bardzo głębokie i pełne uczucia. Caer wzruszyła ramionami.

– Po prostu lubił pobawić się w poetę. A poza tym... zastanów się, Zach. Przejrzałeś jego komputer i chociaż jest w nim mnóstwo materiału, nie znalazłeś niczego, co by naprowadziło na jakiś ślad. Myślę, że było, tylko Eddie ze względów bezpieczeństwa sam to wyczyścił. Ale gdzieś musi być jakaś wskazówka. Kto wie, czy nie w tych wierszykach.

– W takim razie bierzemy je ze sobą. W domu przejrzymy je dokładnie.

– Dobrze.

Caer szybko zebrała wierszyki, pisane na najprzeróżniejszych kartkach i karteczkach, i schowała je do tekturowej teczki.

– Idziemy.

W drodze do domu Zach postanowił wyjaśnić pewną kwestię.

– Caer, a jak ty tu się dostałaś?

– Ja... hm...

Wyraźnie ociągała się z odpowiedzią. Ciekawe, pomyślał Zach. Skłamię? Powie mu, że drzwi były otwarte? Nie. Caer stać było na szczerłość.

– Włamałam się.

– Dobra robota. Nie wiedziałem, że coś takiego potrafisz. Caer wzruszyła ramionami.

Jechali jeszcze przez chwilę. Nagle Zach skręcił, zjechał na pobocze i wyhamował. I zadał kolejne pytanie.

– Caer, powiedz, kim ty naprawdę jesteś? I co tu robisz?

– Mówiłam ci...

– Wszystko, co mi powiedziałaś, to bzdura. Kim jesteś?

– Caer Donahue.

– W porządku, spróbujemy jeszcze raz. Kim jesteś, Caer, i jakie masz naprawdę zadanie do wykonania?

Wzrok Caer zdecydowanie stwardniał.

– Podobno przyjąłeś do wiadomości, Zach, że jestem tu, by chronić Seana. Czy nie możemy przy tym pozostać?

Zach pokręcił przecząco głową.

– Nie, Caer. Tej nocy na Cow Cay zamordowano człowieka. Policjanta. Wynająłem go, żeby pilnował miejsca, gdzie kopałem.

– Co ty mówisz, Zach! Zabili go?

– Wszystko wskazuje na to, że został zamordowany. Znaleźliśmy mnóstwo krwi, ale ciało zniknęło. Znikł podobnie jak Eddie.

– Ptaki – szepnęła Caer. – Te ptaki... Czyli zaczyna się.

– Caer, powiedz, dla kogo pracujesz?

– Ja? Dla pewnej irlandzkiej agencji.

– Jak nazywa się ta agencja, jeśli wolno spytać?

– Po prostu... agencja.

– Ściemniasz.

Słyszał, jak zrobiła głęboki wdech.

– W porządku, Zach. Chcesz usłyszeć prawdę? A więc proszę! – Teraz mówiła całkiem inaczej. Koniec z melodyjnym głosem. Po prostu

wypluwała z siebie każde słowo. – Jestem banshee. Nazywają nas duchami śmierci. Chyba słusznie. Jesteśmy duchami i mamy do czynienia ze śmiercią. Ale wszystko, co złe mówią o banshee, to nieprawda. Przybywamy, żeby ulżyć umierającemu. Pomagamy ludziom przejść na tamtą stronę.

Mówiła to na serio.

Zach czuł, że zaczyna się w nim gotować.

– Nigdy nie słyszałem podobnych bredni! I szkoda, że mi to mówisz. Tak, wielka szkoda! Boja chcę ci zaufać. Więcej! Zaczyna mi naprawdę na tobie zależeć. Dlatego musisz mi powiedzieć prawdę. Jeśli ta wasza agencja pracuje dla wywiadu irlandzkiego, wyrzuć to z siebie. A zresztą, sam to mogę sprawdzić. Aidan ma kontakty prawie wszędzie.

Wyraz twarzy Caer był nieprzenikniony, głos jednak lekko drżał.

– Rób, co chcesz, Zach.

Palce Zacha mocno zacisnęły się na kierownicy.

– Caer, dwie osoby już zginęły. Powiedz prawdę.

– Powiedziałam – oznajmiła beznamiętnym głosem. – Ale ta prawda jest dla ciebie zbyt trudna do przyjęcia. Szkoda. Bo ja bardzo bym chciała, żebyś po prostu zaakceptował fakt, że jestem tu po to, by kogoś chronić. I poświęcił mi trochę czasu do chwili, gdy będę musiała stąd odejść.

Była taka piękna. Najchętniej porwałby ją teraz w ramiona i powiedział, że jemu wszystko jedno. Może być sobie istotą pozaziemską, na przykład z planety Kasjopeja. Wszystko jedno, on po prostu jej pragnie, chce z nią żyć. Chce codziennie budzić się rano po to, by spojrzeć na nią, by czuć, że ona jest blisko, tuż przy nim. Chce razem z nią się zestarzeć.

Ale... banshee?

Cholera! Zaufał jej, a ona odplaca mu się, serwując jakieś irlandzkie bajki, jakieś dyrdymały!

Nie dotknął jej. Uruchomił silnik i z piskiem opon wjechał z powrotem na jezdnię. Przez całą dalszą drogę nie odezwał się już ani słowem.

Kiedy podjeżdżali pod dom, stał tam już sznur samochodów.

Zaczął się nocne czuwanie przy zmarłej, zgodnie z irlandzką tradycją.

Pierwszy wieczór po śmierci Bridey był długi i przygnębiający. Dom pełen ludzi. O jedenastej, mimo że wciąż napływali nowi goście, Caer zdecydowała, że pora powrócić do roli pielęgniarce i sprawdzić, czy Sean poszedł już spać.

Pod tym względem była nieugięta. Ma iść do łóżka i koniec. Przedtem podała mu lekarstwo.

– Caer, mogę sam brać te tabletki – marudził Sean. Caer uśmiechnęła się.

– Trudno, panie O'Riley. Zatrudnił mnie pan do końca roku, a ja przyzwyczajona jestem uczciwie zarabiać swoje pieniądze!

– Nie o to chodzi, Caer. Jesteś wspaniała, ale zaczynam się bać o ciebie. Dziś zginął człowiek. Zamordowali go. Pracował poniekąd dla mnie. Dlatego zastanawiam się, czy nie lepiej, gdybyś wróciła do Irlandii.

– Nie pojedę.

– Nie? No tak, cała Caer...

Kat większość dnia przespała, na dół zeszła tylko na chwilę. Przyjęła kondolencje i wróciła na górę, do łóżka. Była młoda i bardzo mocno przeżywała śmierć bliskiej osoby. Ale wiadomo było, że w którymś momencie na pewno się pozbiera.

O ile nic złego nie przytrafi się jej ojcu.

Sean leżał już w łóżku. Caer wróciła do swojego pokoju, też położyła się do łóżka i zaczęła czytać wierszyki Eddiego. Na początku wydawały jej się trochę głupie, ale kiedy zaczęła układać je sobie w logiczny ciąg, nagle zaczynały nabierać sensu.

Na jednej karteczce: *Mądry ze mnie gość, bo znalazłem coś.* A na drugiej: *Na lewo ślad, na prawo ślad, a ty dziś nocą idź za Gwiazdą Północną.*

A potem: *Marzę, więc jestem. Ale uwaga – mała przestroga. W każdej chwili może ci się powinąć noga.*

Caer odłożyła karteczki na bok, przeklinając w duchu Michaela. Dlaczego nie został? Tak bardzo przydałaby się jego pomoc. Chociaż nawet Michael nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Ludzie są nieprzewidywalni – mają wolną wolę, mogą robić, co im się podoba.

Mogą dokonywać wyboru. Każdy wybór to szansa.

Caer tego wieczoru też dokonała właściwego wyboru, kiedy postanowiła pomóc Marni przyjmować gości. Amanda, owszem, zeszła na dół, ale tylko snuła się, przybierając królewskie pozy. Nie lubiła Marni, choć bardzo chętnie się nią wysługiwała. Jak tego wieczoru, na przykład, cedując na nią obowiązki pani domu.

Zajmowanie się gośćmi miało swoje dobre strony. Trzeba było skupić się na tym, a nie na bolesnym temacie. Zapomnieć o uczuciach. Bardzo dobrze. Pomyślała, że chyba nie lubi ucuć. To tylko boli.

A teraz... teraz przede wszystkim chciała zasnąć. Ciało z krwi i kości to delikatny instrument. Bez snu nie może funkcjonować.

Poza tym, kiedy człowiek nie śpi – cierpi.

Następnego dnia przyjechali obydwaj bracia Zacha, Jeremy i Aidan.

Aidan przyjechał sam, Kendall z dzieckiem miała dojechać później. Trudno było tak nagle zostawić teatr – teatr amatorski, jaki prowadzili na swojej plantacji – nie wspominając już o tym, że do podróży z niemowlęciem trzeba się jednak trochę przygotować.

Jeremy przyjechał z żoną, Rowenną. Ulokowano ich na piętrze. Aidan zajął pokój na mansardzie. Clara była bardzo szczęśliwa, że może krzątać się wokół całej trójki młodych Flynnów. Sean był wdzięczny braciom za to, że są dla niego podporą. A Zach był niezmiernie zadowolony, że może z nimi obgadać całą sytuację.

Rowenna i Kat od razu przypadły sobie do gustu, a ponieważ Rowenna musiała kupić kilka drobiazgów, udało jej się namówić Kat na wspólne zakupy. Sean zamknął się w swoim gabinecie. Zach uznał więc, że nastąpiła dobra pora na pogadanie z braćmi.

– A więc, kto pierwszy? – spytał Jeremy.

– Ja! – oświadczył z uśmiechem Aidan. – Bo jestem najstarszy i najmądrzejszy. Zach, sprawdziłem twoją przyjaciółkę. Nie jest związana z żadną agencją wywiadowczą ani Stanów, ani Wielkiej Brytanii, ani Republiki Irlandzkiej. Wszystko się zgadza z tym, co przekazałeś. Pięć lat temu zrobiła dyplom pielęgniarki. Całe życie mieszka w Dublinie. W szkole bardzo dobre stopnie i tak dalej. Jednym słowem, dziewczyna czysta jak łąza.

Aidan skończył, głos zabrał Jeremy.

– Arszenik odpada. Wszyscy eksperci, z którymi rozmawiałem, twierdzą zgodnie, że w dzisiejszych czasach żaden morderca go już nie użyje. Zbyt łatwo go wykryć podczas sekcji zwłok. Wszyscy są raczej za teorią, że to trujące grzyby. Objawy pojawiają się później, zanim dojdzie się, że to grzyby, ofiara może już umrzeć na którąś z chorób, wywołanych przez

toksyny. Groźnych chorób, zwłaszcza w przypadku osób starszych. U Seana przecież doszło do zatrzymania akcji serca.

– Czyli, reasumując, Sean został zatruty tu, w Stanach – powiedział Zach.

– Na razie to tylko teoria – powiedział Jeremy. – Ale kto wie, czy nie jest słuszna.

– Powiedz, Zach, na jakim etapie teraz jesteście? – spytał Aidan.

Aidan był zawsze z całej trójki najpoważniejszy. Po śmierci pierwszej żony spoważniał jeszcze bardziej, ale powtórne małżeństwo uczyniło cuda. Jego pełna życia żona interesowała się parapsychologią. Ona i Aidan byli przekonani, że na plantacji pod Nowym Orleanem oprócz nich mieszkają również duchy z przeszłości. Poza tym byli ze sobą bardzo szczęśliwi, a Aidan był pierwszorzędnym detektywem.

– Ustalenie, co wydarzyło się najpierw, jest jak na razie niemożliwe – powiedział Zach. – Czy zniknięcie Eddiego, czy choroba Seana. Przypuszczamy, że oba przypadki są związane ze sobą. Parę dni temu znaleźliśmy drobno potłuczone szkło w cieście, które upiekła Clara. Szkło znaleziono również w kilku innych słoikach z borówkami tego samego producenta. Nie jest to co prawda niezawodna metoda na odebranie komuś życia, ale założę się o każde pieniądze, że wszystkie trzy incydenty są ze sobą powiązane. Wczoraj na posterunku policji Jorey Jenkins – pamiętacie go, jego rodzice mają sklep z narzędziami koło przystani – rozpoznał na taśmach wideo ochrony ze sklepu spożywczego tę samą osobę, która wypłynęła z Eddie. Problem w tym, że facet jest w przebraniu. W bardzo złym przebraniu. I jeszcze jedno. Śmierć Bridey nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Po prostu... przyszedł na nią czas... – Zach zamilkł na chwilę. –

No tak... Zacząłem kopać na Cow Cay. Dlaczego tam? Bo obejrzałem sobie dokładnie mapy w gabinecie Seana i zauważyłem, że ktoś, może i Eddie, bo wiem, że nie Sean, zaznaczył to miejsce. Detektyw Morrissey wysłał na wyspę policjanta. Miał pilnować tam w nocy. Rano okazało się, że policjant znikł. Przypuszczalnie został zamordowany. Znów nie ma ciała, ale tym razem jest krew. Mnóstwo krwi. Aha, i jeszcze sprawa Caer. Zachowuje się jak... detektyw.

– Rozmawiałeś z nią o tym? – spytał Aidan.

– Oczywiście.

– Co powiedziała?

– Przysięga, że jest tu po to, by chronić Seana.

– Jak każda dobra pielęgniarka swego pacjenta! – rzucił z uśmiechem Jeremy. – Zach, poznałeś ją przecież jeszcze w Irlandii. Miałeś okazję poznać ją bliżej, poznać jej otoczenie, przyjaciół?

– Raczej nie. Kilku znajomych, to wszystko.

– A może po prostu powinieneś przyjąć do wiadomości, że mówi prawdę?

– Prawdę?! – Zach zaśmiał się. – Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że jest banshee.

Ku jego największemu zdumieniu żaden z braci mu nie zawtórował. Obaj patrzyli na niego ze śmiertelną powagą.

– Zapoznałem się dokładnie z tą legendą o banshee, Zach – powiedział po chwili Jeremy. – Jest fascynująca. Banshee to piękne kobiety, które po śmierci są... werbowane. Jako żałobnice, także do pomagania ludziom, kiedy odchodzą na tamten świat. Wszystko odbywa się według sztywnych zasad. Banshee może przybrać też ludzką postać. Podobno

banshee bardzo się z tego cieszą, bo wtedy znów mogą zakosztować ziemskiego życia. Ale nie mogą zostać na ziemi, chyba że znajdą sobie zmienniczkę. Musi to być człowiek dobry, bardzo etyczny. Jeśli banshee wybierze sobie złą zmienniczkę, będzie przeklęta na wieki.

– Jeremy! Ale ty chyba nie myślisz, że Caer faktycznie może być banshee!

– Oczywiście, że nie!

– To po co mi to opowiadasz?

– Sam prosiłeś, żebym zebrał dla ciebie informacje.

– Fakt.

Aidan wystąpił z propozycją.

– Myślę, że powinniśmy wszyscy razem popłynąć na tę wyspę. Jak najszybciej, żeby wrócić przed stypą.

– Racja – powiedział Zach. – Płyniemy.

Pojechali na przystań. Czarne ptaki nadal tam były. Siedziały z nastroszonymi piórami, chroniąc się przed wiatrem. Zach zauważył plakaty zapowiadające pokaz świątecznej flotylli. Za cztery dni. Sean na pewno wystawi swoje jachty. Przecież to tradycja, a Bridey kochała tradycję.

Było bardzo zimno, dlatego wzięli jeden z większych jachtów. Z kajutą, do której schodzili na zmianę, żeby się ogrzać. Na wyspę dopłynęli pneumatyczną łodzią ratunkową. Morrissey mówił prawdę. Po wyspie kręcili się policjanci. Kilku przeszukiwało teren, kilku kopało koło skały Banshee.

Trójka Flynnów też zbadała wyspę, trudno jednak było coś znaleźć w miejscu, przez które przewinęło się już tylu ludzi.

f

Zach zastał Aidana koło skały. Stał i patrzył.

– Zobaczyłeś coś, Aidan?

– Nie. Ale zawsze dobrze jest utrwalić sobie dane miejsce w pamięci.

Potem dobrze wiesz, które informacje idealnie podpadają pod to miejsce.

Po chwili dołączył do nich Jeremy.

– Co robicie, chłopaki?

– Teraz konkretnie utrwalamy wyspę w pamięci – wyjaśnił Zach.

– Niemożliwe! – zaśmiał się Jeremy. – A ja myślałem, że po prostu sobie tak stoicie.

Wrócili do łodzi. Kiedy pojawili się w domu, wszystko było już przygotowane do czuwania przy zmarłej.

Trumna stała w salonie. Zach podszedł do zmarłej. Wyglądała pięknie. Zwykle kiedy życie uchodzi z człowieka, znika również jego uroda. W zakładach pogrzebowych pracują prawdziwi artyści, ale i oni nie potrafią sprawić, by martwe ciało wyglądało jak żywe.

Bridey była wyjątkiem. Nikt nie pracował nad jej wyglądem, a wyglądała pięknie. Jakby spała i miała jakiś naprawdę dobry sen. Jasna cera, półuśmiech na wargach, gładkie policzki, wydawało się, że co najmniej połowa zmarszczek znikła.

Wyglądała naprawdę pięknie.

– Spoczywaj w pokoju, droga przyjaciółko – szepnął Zach.

To była długa noc. Noc czuwania przy zmarłej, noc opłakiwania, także noc wspomnień. Radosnych wspomnień, tylko takie przecież warto zachować w pamięci. Zach, Aidan i Jeremy byli zadowoleni, że są tutaj i udzielają zrozpaczonej rodzinie moralnego wsparcia. A leciwym

przyjaciołom Bridey służą wsparciem jak najbardziej konkretnym – silnym ramieniem.

Kat uśmiechała się. Czasami, gdy ktoś się śmiał, zawtórowała. Ale zaraz znowu zalewała się łzami.

Clara prawie przez całą noc siedziała na krześle przy trumnie. Tom stał obok żony i trzymał ją za rękę.

Amanda znów udawała wielką damę, panią tego domu, traktując Marni i Cala – którzy powtórnie zajęli się wszystkim - jak wynajętą siłę roboczą.

Sean często się zamyślał. I najczęściej siedział obok Kat.

Caer trzymała się z boku. Zach jednak zauważył, że bacznie obserwuje wszystkich.

Był też ksiądz. Mówił piękne, podniosłe słowa, potem Sean mówił o tym, jak bardzo kochał swoją ciotkę, która pomogła mu przetrwać w Nowym Świecie i zawsze była łącznikiem z przeszłością, tak drogą jej sercu. Zresztą jego sercu też.

Potem Zach zaproponował, żeby Kat zaśpiewała jedną ze swoich pięknych, żałobnych pieśni. Przyniesiono gitary, Zach usiadł do pianina.

Z jednej pieśni zrobiły się dwie, potem trzy. Żałobnicy dołączyli się do śpiewania. Nastrój zrobił się prawdziwie irlandzki. Atmosfera trochę zelżała, ludzie zaczęli rozmawiać o Bridey weselszym tonem, wspominając ją z wielkim uznaniem. Podano jedzenie, piwo i whisky. Smutek i żal przeplatały się z wesołymi wspomnieniami.

W pewnym momencie Caer przechwyciła spojrzenie Zacha. Spojrzeli sobie w oczy. Nagle zapragnęła uśmiechnąć się do niego i poprosić, żeby jej przebaczył to, że jest tym, kim jest. I mimo wszystko – pokochał.

Nie zrobiła tego. Bo i po co?

– Caer! – zawołał od pianina Zach. – Zaśpiewaj jakąś irlandzką piosenkę.

– Ja? Ja nie umiem śpiewać.

– Na pewno potrafisz!

– Zaśpiewaj, dziewczyno – odezwał się Sean. – Wszyscy Irlandczycy i Irlandki potrafią śpiewać, oczywiście, oprócz banshee. Ludzie powiadają, że jeśli banshee zaczyna nucić, brzmi to jak wycie wiatru albo wycie wilka do księżyca!

Caer udało się wykrzesać z siebie uśmiech.

– Kocham muzykę, uwielbiam jej słuchać, ale jeśli chodzi o moje śpiewanie, wygląda to tragicznie. Nawet wilk czułby się obrażony, gdyby porównano je z jego wyciem.

Znów spojrzała na Zacha. Spojrzeli sobie w oczy. Potem Zach zaczął grać.

W domu było tak głośno, że nikt nie słyszał ptaków.

Dopiero kiedy goście wyszli, domownicy rozeszli się do łóżek i starali się zasnąć. Wtedy trudno było nie słyszeć tej kakofonii dziwnego skrzeku i krakania, zlewającego się z wyciem wiatru.

Upiorny chór. Jakby wszystkie banshee naraz zaczęły śpiewać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bridey pochowano następnego dnia po południu. Był piękny, zimowy dzień, wyjątkowo słoneczny. Ksiądz odprawił mszę, tak jak na pewno życzyłaby sobie Bridey. Wszyscy obecni przy grobie wzięli się za ręce i odśpiewali słynną irlandzką piosenkę „Danny Boy”.

Caer bardzo się spodobali bracia Flynnowie, także Rowenna. Była wyjątkowo sympatyczna.

A Zach wyraźnie stronił od Caer. Był na nią zły.

Nie powinno jej to dziwić. Powiedziała mu prawdę dość szokującą. Nie uwierzył. Nie chciał albo nie potrafił. Może źle zrobiła, wywalając mu tę prawdę prosto w oczy? Oczywiście coś trzeba było powiedzieć, ale niekoniecznie to. Mogła poczekać, nie było powodu do pośpiechu.

Po pogrzebie wszyscy poszli do wielkiego pubu, wynajętego na ten wieczór. Przyszło prawie dwieście osób. Caer zauważyła, że jest albo w towarzystwie Seana albo Kat, Cala albo Marni, Toma i Clary. Było to bardzo miłe, jakby należała już do rodziny.

Stoły uginały się od jedzenia i picia. Rozmawiano dużo o Bridey, ale ponieważ życie ma swoje prawa, ludzie nie mogli się powstrzymać, żeby nie mówić też o innych, aktualnych wydarzeniach. Tego ranka w gazecie pisano o zaginięciu Gary'ego Swipesa. Podkreślano, że był to znakomicie wyszkolony policjant, świetny w samoobronie. Ilość jego krwi, znalezionej na ptaku, świadczyła, że niemożliwe, żeby Gary żył.

Przypomniano o zaginięciu Eddiego. Dziennikarz próbował znaleźć jakiś związek między tymi dwoma wydarzeniami.

Detektyw Morrissey był też na stypie, razem z liczną grupą policjantów. Sean i Bridey byli przecież osobami znanymi i bardzo szanowanymi przez miejscową społeczność. Było wielu ludzi biznesu, z Joreyem włącznie, który usilnie starał się przebywać jak najwięcej w pobliżu Caer.

W pewnym momencie Caer – kiedy Jorey oczywiście stał przy niej – zauważyła, że Zach patrzy na nich. Patrzy z bardzo ponurą miną.

– Zach, coś się stało? – spytała, podchodząc do niego.

– Martwię się o Joreya. Tak, jak prosiłem, zadzwonił do Morrisseya i stawiał się na posterunku. Po tej historii z Garym wcale nie jestem pewien, czy Joreyowi nic nie grozi.

– Zach!

To Sean. Kiwnął na Zacha, żeby podszedł. Chciał przedstawić go swojemu staremu przyjacielowi. Caer odwróciła się więc z powrotem do Joreya, ale jego już nie było. A Zach przed chwilą powiedział jej o swoich obawach.

Zaniepokoiła się. Zaczęła szukać Joreya w tłumie, bez skutku, wyszła więc na ulicę i zaczęła się rozglądać.

Dzień był ciepły, ale po zmroku temperatura znacznie się obniżyła. Caer czuła przenikliwy chłód. No cóż, była teraz z krwi i kości, a to nie zawsze jest wygodne.

– Jorey! – zawołała, a po chwili ciszy zawołała drugi raz, trochę głośniejszym głosem, i wtedy go zauważyła w kręgu światła ulicznej latarni, stojącej w sporej odległości od pubu.

Jorey, z rękami w kieszeniach, szedł przed siebie zdecydowanym krokiem. Na pewno wracał już do domu. Odwróciła się, żeby wejść z powrotem do restauracji. Wtedy zobaczyła ptaki.

Pokrywały szczelnie cały dach restauracji, siedziały na ogrodzeniach, nawet na samochodach stojących na pobliskim parkingu.

Znów poczuła niepokój.

– Jorey!

Ruszyła przed siebie chodnikiem. Ktoś też szedł ulicą, kawałek dalej, bo kiedy mijał latarnię, zauważyła jego cień. Dziwnie rozciągnięty wzdłuż i wszerz. Monstrualny. Zdawała sobie sprawę, że to tylko gra świateł, ale...

Zacząła biec, nagle całkowicie pewna, że musi dogonić Joreya. Biegając, minęła tego kogoś, kto też szedł ulicą. Nie zobaczyła go, bo nawet nie spojrzała w jego stronę. Bardziej wyczuwała czyjąś obecność, niż widziała tego kogoś.

Jorey nagle odwrócił się, zauważył ją i przystanął.

Wtedy poczuła ból. Okropny, paralizujący ból...

Już raz, dawno temu, czuła coś podobnego. Ale teraz przecież przebywała w innym czasie. Teraz...

Teraz miała coś w plecach. Nóż? Chyba tak. Trzeba go jak najszybciej stamtąd wyciągnąć. Wygięła się do tyłu, sięgnęła obiema rękami do pleców i udało się jej chwycić za rękojeść noża. Natężyła się i zaczęła ciągnąć.

Jorey, przerażony, biegł już do niej.

– Ratunku! – krzyczał. – Ratunku!

Dopadł do niej w chwili, gdy trzymała już nóż w ręku.

– Mój Boże, mój Boże... – jęczał, drżącymi rękoma pomagając jej usiąść na krawężniku. – Caer, uratowałaś mi życie! On na pewno polował

na mnie! Jezu! Ty krwawisz, możesz wykrwawić się na śmierć. Trzeba natychmiast jechać do szpitala!

Nóż był cały we krwi, ale Caer czuła już, jak ból ustępuje. W jej przypadku rany goiły się błyskawicznie.

- Nie trzeba, Jorey. Ze mną wszystko w porządku.
- Oszalałaś?! Wbił ci nóż w plecy! Ratunku! Pomocy!
- Ciszej... Nic się nie stało.

Niestety. Z pubu zaczęli wybiegać ludzie, zaalarmowani krzykami Joreya. Bardzo dużo ludzi, czyli niedobrze. Bo ten, kto ją ugodził, jeśli nie uciekł, miał teraz możliwość wmieszać się w tłum.

Pierwszy dobiegł do niej Zach. Jorey wyjaśniał gorączkowo, co się stało. Zach uląkł przy Caer.

- Caer...

W jego głosie słyhać było rozpacz. Zagłuszył go Morrissey.

- Co, u diabła, tu się dzieje?!

Słyhać już było sygnał karetki. Zaraz też do Caer podbiegli ratownicy medyczni, kazali jej położyć się na noszach.

- Jadę z nią do szpitala – powiedział Zach do Aidana i Jeremy'ego.

Caer nagle poczuła ukłucie w sercu. Trudno, może i zazdrość. Zach miał rodzinę. Braci, byli ze sobą bardzo zżyci, pomagali sobie nawzajem. Ona też by tak chciała. Mieć kogoś, kto by ją kochał, kto był gotów dla niej poruszyć niebo i ziemię.

- Zach, powiedz im, że wcale nie muszę jechać do szpitala – powiedziała, trzymając Zacha kurczowo za marynarkę. – Przysięgam.

Co z tego. I tak ją tam powieźli.

Zach niespokojnym krokiem przemierzał poczekalnię, próbując zebrać myśli. Bał się o Joreya. Niestety, miał rację. A Caer znalazła się na linii ciosu. Nóż. To był nóż. Muszą go zbadać...

Czuł na plecach zimny dreszcz. Niedawno wrócili z pogrzebu. Mało brakowało, a mieliby następny...

– Panie Flynn?

Odwrócił się. Tuż za nim stała pielęgniarka z ostrego dyżuru.

– Może pan wejść. Panna Donahue czeka na pana.

– Jak się czuje? Wyjdzie z tego?

– Oczywiście! Rana już się zasklepia. To było tylko lekkie draśnięcie.

– Żadnych uszkodzeń organów wewnętrznych? Jest pani pewna?

– Żadnych. Panna Donahue podejrzewa, że nóż zatrzymał się na fiszbinie w biustonoszu. Myślę, że ma rację. To osłabiło cios. Proszę, niech pan wejdzie.

Caer leżała na szpitalnym łóżku. Oczy miała zamknięte, twarz w obramowaniu kruczoczarnych włosów była biała jak papier.

Zach, czując, że cały dygocze, usiadł na krześle przy łóżku i ostrożnie wziął ją za rękę.

Powieki Caer drgnęły. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się, ale zaraz spytała z niepokojem.

– Co z Joreyem? Nic mu się nie stało? Czy złapano napastnika?

– Żartujesz, Caer! Na dworze była co najmniej setka ludzi. Ale ty... Caer, jak to możliwe, że nic ci się nie stało? Masz szczęście. Ale proszę, nigdy więcej już nie rzucaj się przed nóż!

Po twarzy Caer znów przemknął uśmiech.

– Nie będę, obiecuję.

– Zostaniesz tu na całą noc. Na obserwacji. Jeśli wszystko będzie w porządku, jutro rano wrócisz do domu.

– Ale przecież nic mi nie jest!

– Musisz zostać.

– Ale... co z Seanem?

– Nie martw się. Będziemy go strzec jak oka w głowie. Trzeba pilnować i Joreya. Ten drań wie już, że Jorey go widział z Eddiem i boi się, że mimo przebrania Jorey kiedyś go rozpozna. Prawdopodobnie był wśród gości w pubie. Ukradł nóż z kuchni i poszedł za Joreyem... Caer, myślałem, że dostanę zawału. Ten nóż był cały we krwi!

– Po prostu mam szczęście. Jak wszyscy Irlandczycy.

Caer czuła, że jej powieki robią się coraz cięższe. Dali jej coś na sen. Nikt przecież nie wierzył, że nic ją nie boli.

Jeszcze widziała Zacha, ale jego twarz była już niewyraźna, zamazana...

– Mówiłam ci już, że jestem banshee – powiedziała sennym głosem.

– Albo... dobrze, niech ci będzie. Jestem szpiegiem. To znaczy, pracuję w pewnej agencji, ogólnoswiatowej. Jestem w sekcji irlandzkiej. Czuwam nad naszymi braćmi i siostrami, rozszanymi po całym świecie. Jestem... ich...

Nie dokończyła. Środek okazał się skuteczny. Zasnęła i miała sny.

W tych snach była przyszłość. Bardzo piękna.

Następnego dnia po południu wypisano Cear ze szpitala. Zach spędził całą noc w szpitalu. Lekarze byli zdumieni dobrym stanem Caer. Trzeba było założyć jej kilka szwów, a już na drugi dzień rana prawie się zagoiła. Uważali, że to cud, prawdziwy cud.

Kiedy weszli do domu, Kat, która wypatrywała ich z okna, była już na dole przy drzwiach. Pojawiła się również Amanda, nawet ona gotowa była krzątać się koło Caer. Zach był z tego zadowolony. Ale najbardziej cieszyło go, że Caer i Kat tak bardzo przyłgnęły do siebie.

Caer stała się prawdziwą bohaterką dnia. W gazecie zamieszczono jej zdjęcie.

Zach proponował, żeby się położyła. Przecież niemożliwe, żeby nie czuła się słaba i zmęczona! Ale Caer nie dała się zapędzić do łóżka.

W łóżku, nie w łóżku, Zach i tak tego dnia nie zamierzał odstępować jej na krok.

Rano skontaktował się z Morrisseyem. Detektyw zapewnił go, że cały departament robi nadgodziny, szukając napastnika.

Aidan i Jeremy wczesnym rankiem poszli po choinkę.

Ustawili już ją w salonie. Caer wcale nie kryła, że ma wielką ochotę pomóc w strojeniu choinki.

Byli przy tym zaangażowani wszyscy, łącznie z Calem i Marni. Przyszli oboje, ponieważ Sean podjął decyzję, że z okazji świąt firma przez kilka dni będzie zamknięta. Clara i Tom też byli w salonie, też pomagali, Amanda, o dziwo, wcale nie traktowała ich jak niewolników. Mężczyźni, najmłodszy wiekiem, walczyli ze sznurami, zawieszając lampki. Aidan wymigał się od tego, twierdząc, że on już swój wkład ma, ponieważ ociosował choinkę przed włożeniem do stojaka. Jeremy na to, że on najbardziej się zasłużył, bo zapłacił za choinkę.

Do salonu wszedł Sean z tacą, na której stały parujące kubki.

– Proszę, kochani. Oto świąteczny miks Bridey. Herbata, cukier, whisky i troszkę śmietanki. Częstujcie się!

Podniósł swój kubek.

– Za naszą Bridey! Wiem, że patrzy na nas, dlatego stroimy choinkę. Jak co roku, kiedy to nasza kochana Bridey siedziała w kąciku, robiła na drutach i pokrzykiwała na nas, kiedy coś wisiało krzywo!

– Za ciocię! – zawołała Kat. Jej oczy, oczywiście, lśniły podejrzenie.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Zach poprosił Clare, żeby pottrzymała lametę i poszedł otworzyć.

Listonosz. Oprócz listów przyniósł przesyłki. Zach odebrał od niego wszystko i zaniósł do salonu. Położył na stole list, przesyłki i nagle zastygł.

– Zach! Co to jest? – spytał z niepokojem Sean.

Zach bez słowa podniósł jedną z przesyłek. Niewielkie płaskie pudełko, zaadresowane do Seana. Na pudełku był też napis, wielkim zamaszystym pismem, bez wątpienia Eddiego:

Sean, stary byku, pamiętaj, nie wolno Ci otworzyć tego przed Gwiazdką!!!

Marni wydała z siebie cichy okrzyk.

– Co to jest? – spytała ostrym głosem Amanda.

– Przesyłka od Eddiego – poinformował ją Cal.

– A więc on żyje! – zawołała Marni, rozpromieniona. Zach sprowadził ją na ziemię.

– Wszystko wskazuje na to, że nie. Wysłał to wcześniej, zanim zaginął. Seanie, ze względu na okoliczności, powinieneś chyba otworzyć ją już teraz.

Sean skinął głową. Odebrał od Zacha przesyłkę. Usiadł ciężko na wyściełanym krześle, stojącym koło choinki, i drżącymi rękami przystąpił do rozpakowywania przesyłki.

Zach podał mu scyzoryk.

Sean zdarł z pudełka brązowy, pakowy papier. Pod spodem był jeszcze inny papier, świąteczny. Słodkie, podskakujące pieski w czapkach Świętego Mikołaja.

I znów napis:

Seanie, straciłeś wzrok? Nie wolno Ci otwierać tego przed Gwiazdką!!!

– Och, Eddie... – powiedziała cichutko Clara.

Sean zdarł drugi papier i oczom wszystkich ukazało się pokryte skórą pudełko z nazwą firmy. Boston Beginnings.

Sean podniósł wieczko i wydał z siebie cichy okrzyk.

Z pudełka wyjął monetę. Monetę za szkłem, w cieniutkiej złotej ramce.

– Srebrna moneta angielska – powiedział. – Mój Boże, spójrzcie na rok emisji! Tysiąc siedemset siedemdziesiąty dziewiąty!

– Czyli on... czyli on... znalazł ten skarb, o którym tyle mówiliście – wyjąkała Amanda.

– Tak – szepnął Sean. – On naprawdę go znalazł...

– Tak. Chyba znalazł i przeniósł w inne miejsce – oznajmił Zach.

– Przeniósł? Dokąd, Zach? – zapytał Sean.

– Znalazł go na Cow Cay. Myślałem, że skarb nadal tam jest, dlatego popłynąłem na wyspę i zacząłem kopać. Ale skarbu tam już nie ma. Podejrzewam, że morderca, tak jak ja, był przekonany, że skarb jest na Cow Cay. Zabił Eddiego, w ten sposób jednak odebrał sobie szansę, żeby dowiedzieć się, gdzie skarb jest teraz. Prosiłem, żeby wysłać na wyspę policjanta. W rezultacie Gary Swipes został zamordowany. Za nic.

W salonie zapadła cisza. Wszyscy z otwartymi ustami wpatrywali się w Zacha.

Wszyscy oprócz Caer i oprócz jego braci.

– Zadzwoń do tej firmy, Boston Beginnings – powiedział Aidan.

Wyjął Seanowi pudełko z rąk i wyszedł z salonu.

– Gdzie on mógł go ukryć? – spytał Sean. – Gdzie?

– Po prostu gdzieś – powiedział cicho Zach. – Swoją tajemnicę zabrał do grobu.

– Biedny Eddie – powiedziała Marni. – Znaleźć prawdziwy skarb...

A potem...

Clara krzyknęła cicho i wyszła z salonu. Tom poszedł za żoną.

Po chwili do salonu wszedł Aidan.

– Jutro jadę do Bostonu. Rozmawiałem z człowiekiem, który opracował tę monetę. Nie wiem, czy będzie chciał nam pomóc, ale spróbować warto. Może jednak Eddie coś mu powiedział.

– Masz rację – powiedział Zach.

– A ja koniecznie muszę się jeszcze napić – oświadczyła Amanda.

– Przyniosę ci drinka – zaofiarował się Sean.

– Nie, dzięki. Sama sobie zrobię. Tym razem bez herbaty, tylko whisky. – Wyszła do kuchni.

Caer odchrząknęła.

– Seanie, tak się zastanawiam... Ta świąteczna flotylla. Bierzesz w niej udział?

– Oczywiście. Wystawiam „Sea Maiden”. Bridey uwielbiała tę łódź. Eddie też... Och, Boże...

Głos Seanowi załamał się ze wzruszenia. W pokoju na chwilę zapadła cisza. Póki nie rozległ się cichy głos Rowenny Flynn.

– To może... skończmy stroić choinkę... Jeremy poderwał się z krzesła.

– Jasne!

Sean też wstał, wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale machnął tylko bezradnie ręką i wyszedł z pokoju.

– Cał, chyba już pójdziemy – powiedziała Marni. – Jestem jakaś taka... zmęczona.

Cał objął żonę ramieniem.

– Oczywiście, kochanie. Idziemy. Dobranoc wszystkim.

– Dobranoc wszystkim – powtórzyła jak echo Marni. Wyszli. W salonie zostali tylko Flynnowie, Caer i Kat.

– Kat, włącz jakąś muzykę – powiedział Aidan.

Kat, nie wykazując entuzjazmu, wzruszyła lekko ramionami, ale nastawiła CD z kolędami. Aidan zabrał się za rozplątywanie sznura z lampkami na choinkę. Zajęły się tym ręce, bo głowę Aidan miał naturalnie zajętą czymś innym.

– Zach... – odezwał się po chwili. – Naprawdę myślisz, że Eddie zabrał skarb z wyspy?

– Tak. Jestem pewien prawie na sto procent, że skarbu na wyspie nie ma. Morderca o tym nie wie. Na wyspie natrafiono na ślady kopania w różnym czasie. Te najdawniejsze to Eddiego. Potem kopałem ja. I świeże ślady, które zostawił morderca. Jest przekonany, że skarb nadal jest na wyspie. Pojawił się na wyspie, kiedy był tam Gary. Zabił go i zaczął kopać. Wyeliminował Eddiego, policjanta, próbował też usunąć z drogi Seana,

prawdopodobnie za pomocą trujących grzybów, a potem szkła w borówkach. Chociaż wydaje mi się, że te borówki nie miały na celu zabicie kogokolwiek. Chodziło o coś innego. Zabójca wiedział, że kamery w sklepie go namierzą. Tego właśnie chciał. Żebyśmy zobaczyli go w tym samym przebraniu, jakie miał na sobie, kiedy zabił Eddiego. Chce utrwalić ten swój wizerunek, chce, żeby wszyscy szukali faceta o takim właśnie wyglądzie...

– Choć on, oczywiście, wygląda całkiem inaczej – wpadł mu w słowo Aidan. – Najprawdopodobniej to ktoś z najbliższego otoczenia Seana. Zach, kto wiedział o kopaniu na wyspie, kiedy zabito Gary'ego Swipesa? Powiedz mi to jeszcze raz.

– Rodzina. I policja.

– Policja? – spytała Kat. – Mój Boże, chyba nie myślicie, że...

– Na razie nic jeszcze nie myślimy – powiedział Aidan.

– Ale nie zaszkodzi sprawdzić Morrissey'a i wszystkich innych policjantów, którzy pracują nad tą sprawą.

– Może zrobimy tak – odezwał się Jeremy. – Ty, Aidanie, sprawdzaj policjantów, a my z Rowenną pojedziemy do Bostonu.

– Dobrze.

– A ja, oczywiście, nie spuszczam z taty oka – oświadczyła energicznym głosem Kat. – Pilnuję przede wszystkim przed Amandą. Ona jest nieobliczalna. Wtedy, w szpitalu, przyłazła do niego prawie goła. Zebrało jej się na pieszczoty, a przecież to mogło go zabić. Kto wie, czy nie będzie próbowała zastosować tę metodę jeszcze raz, skoro inne okazały się nieskuteczne. Ona...

– Kat, spokojnie! – rzucił ostrzegawczo Zach. – Wszyscy już wiemy, że Amanda nie jest twoją ulubienicą. Ale to nie znaczy, że jest

morderczynią. Ja jutro bardzo dokładnie sprawdzę „Sea Maiden”. Może tam właśnie Eddie zostawił jakąś wskazówkę, gdzie ukrył skarb.

– A ja będę dalej czytać jego wiersze – oznajmiła Caer, a ponieważ wszyscy, oprócz Zacha, spojrzeli na nią oczywiście ze zdumieniem, udzieliła dodatkowych informacji.

– Znalazłam wierszyki Eddiego, nawet sporo. Delikatnie mówiąc, takie sobie, ale to nieważne. Mam przeczucie, że gdyby połączyć je w jeden długi wiersz, znajdzie się w nim wskazówka, gdzie ukryty jest skarb.

– Świetnie. W takim razie każdy ma jakieś zadanie

– podsumowała Kat i wszyscy się rozeszli.

Tego wieczoru, gdy w domu zapadła już cisza, Zach ostrożnie zapukał do drzwi Caer. Otworzyła, a Zach przede wszystkim spojrzął szybko na wewnętrzne drzwi, prowadzące do pokoju Seana.

Były zamknięte. Można wejść.

– Zach... – spytała szeptem Caer. – O co chodzi?

Nie odpowiedział. Po prostu objął ją, bardzo delikatnie, żeby nie urazić poranionych pleców i pocałował. Ale już po chwili nie całował jej delikatnie, lecz mocno i namiętnie. Świadomy, że przecież omal jej nie stracił.

Caer odwzajemniła pocałunek tak żarliwie, że natychmiast zapomniał o jej zranionych plecach. Kochali się, cichusieńko, starając się przy tym nie wybuchnąć śmiechem. Jak małolaty obściskujące się w samochodzie rodziców.

Potem, kiedy już tylko leżeli obok siebie, Zach wyznał:

– Tak się bałem, że cię stracę, Caer... Piękne oczy Caer nagle posmutniały.

– Mnie? Chyba nie... Wcale byś mnie nie stracił.

– Caer... – Palce Zacha delikatnie przesuwały się po jej ramieniu. – Proszę, zostań w Stanach. Nie wyjeżdżaj.

– Muszę, Zach. Muszę wracać do Irlandii.

– Dlaczego, Caer? Naprawdę nie możesz zostać? Chcę, żebyśmy byli razem, poznali się lepiej...

– Zach! – Caer wysunęła się z jego objęć, przekreśliła, żeby spojrzeć mu w twarz. – Przecież mówiłam... Powiedziałam ci prawdę, a ty... ty nic nie rozumiesz. No tak...

Potrząsnęła bezradnie głową i z powrotem wtuliła się w niego.

– A więc powiedz mi jeszcze raz, Caer.

– Co? Och, nie, nie. Lepiej w ogóle nie poruszajmy tych tematów. Póki sytuacja się nie wyjaśni, póki zabójca nie zostanie schwytany.

– Caer, ty nadal ukrywasz coś przede mną, prawda?

– A skąd! Możesz czytać we mnie jak w otwartej książce.

– Nie żartuj, Caer. Ja... ja jestem teraz śmiertelnie poważny. Caer, ty po prostu rzuciłaś na mnie jakiś czar. Zawładnęłaś moją duszą. Ty... Sam już nie wiem... A ty, ty nic nie czujesz, Caer?

– Nie wiesz? – szepnęła. – Nie czujesz tego, co ja czuję?

– Caer, powiedz mi, co ukrywasz przede mną.

– Powiedziałam ci już. Możesz czytać we mnie jak w otwartej książce. Zach, powiedziałam to na serio. Możesz naprawdę czytać we mnie jak w otwartej książce. Czytaj. I uwierz mi...

O świcie Zach wstał, ubrał się i wymknął z pokoju Caer.

Kiedy szedł korytarzem, wyjrzał przez okno.

Ptaki.

Tylu ich jeszcze nie było. Okrywały korony drzew tak szczelnie jak liście w lecie.

Patrzył, a one nagle wydały z siebie przerażający krzyk i wszystkie naraz poderwały się z gałęzi. Jak olbrzymia czarna płachta poszybowały w górę, zakrywając wschodzące słońce.

O ósmej zadzwonił Morrissey.

– Znaleźli ciało. W Providence. Trzeba je zidentyfikować. Podejrzewają, że to Eddie.

Eddie... Zach mimo woli zadrzał.

- Jeśli to on, był w wodzie ponad tydzień. Po czym go poznali?
- Po resztkach tatuażu. Na lewym ramieniu. Napis. Sea Maiden.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sean, z bladą i ściągniętą twarzą, przeżywał bolesną rozterkę. Chciał jechać do Providence, a jednocześnie bał się. W ciągu tych wielu dni, jakie minęły od zaginięcia Eddiego, powoli uczył się, jak pogodzić się z jego śmiercią. Prawie uważał to za fakt dokonany. Tym niemniej gdzieś, na dnie serca, tliła się jeszcze nadzieja.

Jeśli pojedzie tam, jeśli okaże się, że ten martwy człowiek to Eddie, resztki nadziei znikną.

– Powinienem tam jechać, Zach – powiedział nieswoim, zachrypniętym głosem. – Eddie był moim przyjacielem i współnikiem.

– Nie musisz. Równie dobrze mogę pojechać ja.

– Czy oni wiedzą już, co było przyczyną śmierci?

– Ślady na żebrach wskazują na to, że został pchnięty...

– Nożem? Ktoś rzucił się na niego z nożem, jak na Joreya. Trafił w Caer. O, Boże...

Po raz pierwszy w życiu Zach widział w oczach starego przyjaciela kompletną bezradność.

– Kat powinna stąd wyjechać.

– Seanie, dobrze wiesz, że ani ciebie, ani Kat nie ruszy się stąd nawet buldożerem!

– Zach, myślisz, że to... że to może być... Amanda?

– Nie wiem, Seanie. Ale uważam, że to ktoś z twojego domu. Na pewno nie Kat ani Caer. Kat oddałaby za ciebie życie, a Caer nie było tutaj, kiedy się to wszystko zaczęło. Poznała nas wszystkich, dopiero kiedy znalazłeś się szpitalu w Dublinie...

– Bridey też jest poza podejrzeniem, bo nie żyje!

Sean był wyraźnie zły. Zacha wcale to nie dziwiło. Bardzo trudno pogodzić się z myślą, że ktoś z najbliższego otoczenia jest mordercą.

– Seanie, ja pojedę do Providence, zgoda? Ty zostajesz. Pamiętaj, masz trzymać się Kat albo Cae. Albo Amandy, o ile nie będzie miała jakichś innych planów na dzisiaj. Miałem zamiar przeszukać dziś dokładnie „Sea Maiden”. Ponieważ wyjeżdżam, może zrobicie to wy, we trójkę. Ty, Kat i Caer. Nikt nie zna tego jachtu tak dobrze jak ty. Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie ty zauważysz coś, co naprowadzi na ślad.

Sean westchnął.

– Najlepiej znał ten jacht Eddie. „Sea Maiden” była jego prawdziwą miłością. Ale cóż... Przeszukamy ją, oczywiście.

– Świetnie. Jeremy i Rowenna jadą do Bostonu pogadać z facetem, który oprawiał tę monetę. Aidan chce coś tam sam posprawdzać, a ty i cała reszta macie trzymać się razem. Aha, jeszcze jedno. Bardzo ważne. Macie jeść poza domem.

– Czyli co? Clara też jest podejrzana o morderstwo?

– Ktoś chce ją w to zrobić. Z borówkami się nie udało, może próbować jeszcze raz.

Kiedy Zach wyszedł z gabinetu Seana, okazało się, że Jeremy i Rowenna są gotowi do wyjazdu do Bostonu. Aidana już nie było. Wyjechał z domu, żeby gdzieś na neutralnym gruncie spokojnie podzwonić do odpowiednich ludzi.

Zach przed wyjazdem postanowił coś przegryźć. W pokoju śniadaniowym zastał dwie panie. Smutną Caer i rozgniewaną Kat.

– Zach! Tato powiedział, że ona jedzie z nami!

– Domyślam się, że chodzi o Amandę? Nie przejmuj się, Kat. Prawdopodobnie będzie wściekła i cały czas będzie siedziała w kajucie. Caer? Przepraszam, że poezją Eddiego będziesz mogła zająć się dopiero jutro. Pamiętajcie obie, macie być bardzo ostrożne. Zabierzecie komórki, koniecznie. Gdyby coś było nie tak, dzwońcie natychmiast, do mnie albo do Aidana.

– A do Morrisseya? – spytała Kat.

– Do mnie albo do Aidana.

Cholera! Czyżby nie ufał Morrisseyowi? Chyba wpada już w jakąś paranoję. Przecież Morrissey od samego początku zachowuje się bardzo przyzwoicie i jest naprawdę dobrym policjantem.

Paranoja paranoją, Zachowi przede wszystkim cholernie nie chciało się jechać do Providence. Jego miejsce było tutaj, przy O'Rileyach i Caer. Ktoś jednak musiał tam jechać. Sean na pewno nie. Padło więc na niego, na Zacha.

Spojrzał na obie młode kobiety. Rozzłoszczoną Kat, jego przyszywaną młodszą siostrą. I na Caer, tak piękną, tak urokliwą. Teraz tak smutną.

Pocałował Kat w policzek. Caer objął i pocałował delikatnie w usta.

Kat gwizdnęła.

Caer, zarumieniona, szybko odsunęła się od Zacha.

– Jedź, Zach – powiedziała. – Spokojnie, damy sobie radę. Może nawet uda się namówić Seana, żebyśmy wypłynęli w morze.

Zach skinął głową, odwrócił się i wyszedł.

Wszyscy byli już gotowi do wymarszu. Nawet Amanda była podekscytowana.

– Myślę, że to będzie doskonała zabawa – powiedziała, upychając w kuchni różne rzeczy do dużej płóciennej torby. – Kawa! Koniecznie musimy zabrać kawę. I whisky, oczywiście. Caer, podaj mi tamtą butelkę. Kawę też.

Caer posłusznie podała jej kawę i whisky, po czym sięgnęła do kieszeni po komórkę. Pewna, że dzwoni Zach. A to nie dzwonił Zach. Tylko Michael.

– Przepraszam, Amando.

Wyszła na korytarz, świadoma, że pani O'Riley odprowadza ją bardzo podejrzliwym wzrokiem.

– Michael, czego chcesz? Nie bardzo mogę teraz z tobą rozmawiać.

– Jesteś na dworze, Caer?

– Nie. Dlaczego pytasz? Jesteś gdzieś tutaj? Dlaczego mnie ścigasz? Nie masz nic do roboty? Przecież się staram!

– Wyjdź na dwór. Wyszła przed dom.

Ptaki. Czarne, ogromne ptaki na dachu domu, na drzewach, na trawniku. I w górze, całe stada. Wzbijają się wyżej i pikują w dół.

– Michael, co się dzieje?

– Twoja lista, Caer, jest wyjątkowa. Zmienia się. Nazwiska pojawiają się i znikają. Pamiętaj, masz teraz maksymalnie skoncentrować się na swoim zadaniu. Nic nie powinno cię rozpraszać. Nic, rozumiesz? Pamiętaj, wszystko musi działać się według wielkiego planu! Nie ma innej opcji!

Rozłączył się. Spojrzała przed siebie. Jej spojrzenie jakby wydało komendę. Wszystkie ptaki, ta czerń przykrywająca zieleń trawnika, nagle wydały z siebie przeraźliwy krzyk i z wściekłym furkotem skrzydeł wzbiły się w powietrze.

Znak. Olbrzymi czarny znak. Przeznaczenie.

Kiedy Zach pojawił się w kostnicy, recepcjonistka zaprowadziła go od razu do doktora Jona Wonga. Wyjątkowo sympatycznego i pogodnego człowieka. Takie nastawienie do świata w przypadku doktora wcale nie zdziwiło Zacha. Było to najlepszy sposób na zachowanie równowagi psychicznej w sytuacji, gdy na co dzień obcuje się ze śmiercią.

Lekarz poprosił, żeby ciało przewieziono do sali A.

Przywieziono po chwili, a w tym czasie Zach z lekarzem pogadali sobie o wszystkim i o niczym. Ciało Eddiego.

Zach, kiedy pracował w dochodzeniówce w Miami-Dade, widział niejedno. Beczkę, w której upchnięto kawałki ludzkiego ciała. Kości ludzkie, wykopywane na mokradłach Everglades. Świeże zwłoki, człowiek miał wrażenie, że zaraz ożyją i wstaną. Widział ciała posiekane, popalone, postrzelone, poszarpane.

Ciało Eddiego przez wiele dni leżało w wodzie, wydane na pastwę zgłodniałym rybom. Palce obgryzione do kości, puste oczodoły. Trudno było uwierzyć, że to Eddie. Ale to był on.

Zdjęcie zębów wysłano do sprawdzenia. Czekano na wynik, ale Zach wiedział, że będzie to tylko potwierdzeniem tego, co już było oczywiste. To Eddie. Bo jakimś cudem zachował się tatuaż i medalion, hiszpański dukat, w którym wywiercono dziurkę i zawieszono na łańcuszku.

- Czy to Edward Ray? – spytał Wong, Zach skinął głową.
- Tak. To on. Co było przyczyną zgonu?
- Tkanka miękka wokół rany została wyżarta – powiedział lekarz, wskazując na odsłonięty tors Eddiego. – Ale zadrapania na kościach świadczą, że ranę zadano jakimś bardzo ostrym narzędziem.

– Czy znalazł pan coś, co pomogłoby zidentyfikować zabójcę?

– Niestety, nie. A wracając do rany. Sądzę, że morderca zaatakował znieuważoną. Denat został zabity i wyrzucony za burtę niemal jednocześnie. Może umierając, stracił równowagę i sam wypadł. Resztki ubrania są w laboratorium, niech pan do nich zajrzy. Ciało zmarłego zostanie wydane rodzinie za kilka dni.

Zach podziękował i ruszył do policyjnego laboratorium.

Amanda spojrzała na wypchane torby i kosze. Które zresztą wyładowała sama.

– Co za pech! Mamy tu trzech braci Flynnów, ale kiedy są potrzebni, to ich nie ma. Trudno. Tom, przepraszam, czy mógłbyś wziąć tę torbę?

Kat i Caer wytrzeszczyły na nią oczy. Bo i kto by się spodziewał, że jędzowata Amanda potrafi przejść taką metamorfozę!

Kat wzięła do ręki jeden z koszy.

– Omal nie dostałam zawału... – mruknęła, kiedy przechodziła obok Caer, stojącej przy zlewie.

Ale na tym nie koniec niespodzianek.

– Wiesz co, Tom? – odezwała się słodziutkim głosem Amanda. – Myślę, że ty i Clara powinniście jechać z nami.

Tom ze zdumienia aż otworzył usta. Caer pozwoliła sobie zaprotestować.

– Chyba nie ma takiej potrzeby...

– A właśnie, że jest – oświadczyła stanowczym głosem pani O'Riley.

– Zaprosiłam co prawda Cala i Marni, ale Tom bardzo by się przydał. Seanowi przecież nie wolno się przemęczać.

Tom spojrzał na żonę. Clara nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Jak trzeba, to trzeba.

Kiedy kończyli ładować rzeczy do samochodu, w otwartych drzwiach garażu pojawili się niespodziewanie Cal i Marni.

– Cześć! – zawołał Cal. – Wpadliśmy, bo może przyda wam się pomoc podczas przygotowań do wielkiej wyprawy!

– Dzięki. Wszystko już gotowe – oświadczyła Amanda. – Ruszamy!

– A my wzięliśmy butelkę irlandzkiej whisky – pochwaliła się Marni.

– Wypijemy za Eddiego, to była jego ulubiona whisky. Ale zaraz... gdzie jest Zach?

– W Providence – zakomunikowała jej Kat. – Ocean wyrzucił na brzeg ciało mężczyzny. Zach pojechał je zidentyfikować.

– Och, Boże, nie... – jęknął Cal.

– Niestety, tak – powiedziała Kat ponurym głosem. – No cóż... idę po tatę. Chciałabym bardzo, żeby przyjemnie spędził ten dzień.

– Jasne. Seanie! Seanie! Jesteś gotowy? Już czas! – wydarła się Amanda i dosłownie po minucie do garażu wszedł Sean, dociągając po drodze zamek w nieprzemakalnej kurtce.

– Gotowy – oznajmił. – Ruszamy!

Tom otworzył tylne drzwi czarnego sedana. Amanda i Sean ulokowali się w samochodzie. Kat, zdecydowana nie opuszczać ojca na krok, usiadła obok niego, wołając do Caer:

– Caer, siadaj z przodu, obok Toma i Clary.

Amanda zachichotała i przytuliła się do Seana. Kat zacisnęła usta. Tom i Clara wymienili znaczące uśmiešky.

Dojechali do przystani. Przenieśli rzeczy na jacht, z czym uporali się szybko, potem Caer razem z Kat i Amandą zeszły pod pokład, do kuchni, gdzie po chwili zjawiała się Marni.

– Już jesteśmy! – oznajmiła. – Cal poszedł na chwilę do biura, musi gdzieś zadzwonić. Za parę minut tu będzie. Proponuję wypić za Eddiego.

– Gdzie jest whisky? – spytała Kat.

– Na pokładzie. Idziemy na górę.

– To ja wezmę szklanki – zaofiarowała się Amanda.

Sean siedział przy sterze. Oczy miał zasłonięte okularami przeciwsłonecznymi, trudno więc było się zorientować, w jakim jest humorze.

– Wiatr taki sobie – powiedział do Marni, która pierwsza ukazała się na pokładzie. – Ale zawsze możemy popłynąć na silniku. Jeśli w ogóle wypłyniemy. Gdzie jest Cal?

– W biurze. Musiał zadzwonić do człowieka z komitetu organizacyjnego świątecznej flotylli – odparła Marni, jednocześnie walcząc ze szczelnym zamknięciem butelki. – Zaraz tu będzie.

– Daj, ja to zrobię – zaofiarowała się Kat, pojawiając się za Amandą, która niosła tacę ze szklaneczkami.

– Dzięki, już gotowe. Caer, możesz podać szklanki? Clara podeszła do Caer, pragnąc ją wyręczyć.

– Dziękuję, Claro – powiedziała z uśmiechem Caer.

– Dam sobie radę. Proszę, twoja szklanka.

– Dla mnie? Och, nie wiem, czy powinnam...

– Powinnaś – oświadczyła Marni. – Za naszego Eddiego musisz wypić. Jedna whisky ci nie zaszkodzi.

Nagle gdzieś z góry dobiegł krzyk. Krzyk ptaków. Caer spojrzała tam, szklanka omal nie wypadła jej z rąk. Znow wielka czarna płachta na niebieskim niebie. Jakby ta pierzasta ławica, która przedtem obsiadła trawnik O'Rileyów, przyfrunęła tu za nimi.

Marni ptakami w ogóle się nie przejęła.

– Pijemy do dna! – zawołała, podnosząc swoją szklankę.

– Jednym haustem, tak jak to robił nasz Eddie!

Sean też podniósł swoją szklankę.

– Za Eddiego, mojego najlepszego przyjaciela!

– Za Eddiego – powtórzyła Kat. Wypiła łyk i skrzywiła się z niesmakiem.

– Eddie... – szepnęła Clara.

– Eddie... – zawtórował Tom, równie przejmującym szeptem.

Caer wypła swoją whisky. W gardle poczuła ogień. Ten ogień zdawał się rozpalać krew w jej żyłach. I te ptaki... te ptaki, tuż nad nimi...

– Przepraszam, posłuchajcie, chcę coś powiedzieć! Nie powinniśmy dziś wypływać. Mam przeczucie, że może stać się coś niedobrego...

Wszyscy wbili w nią wzrok. Nieważne, teraz przede wszystkim trzeba zadzwonić do Zacha.

– Kat, Sean, musimy zejść z tej łodzi! – zawołała, wyjmując z kieszeni komórkę. – Jak najszybciej. Idźcie już, ja tylko...

Nie mogła wystukać numeru. Nie czuła palców, były zdrtwiałe. Do tego stopnia, że komórka wysunęła jej się z rąk.

Spojrzała dookoła. Wszystko raptem stało się dziwnie niewyraźne. Na zamazanym obrazie wyraźna była tylko czerń. Gigantyczna plama z żywych ptaków, unosząca się nad jachtem...

Zach pogadał z technikiem z laboratorium, który badał ubranie Eddiego. Niestety, tak jak się spodziewał, technik niewiele miał do powiedzenia. Żadnych śladów nie znaleziono. Zach podziękował mu za informację, wrócił do samochodu i wystukał numer do Aidana.

Aidan zgłosił się, a Zach milczał. Jakoś dziwnie trudno było wypowiedzieć na głos tego rodzaju informację.

– Zach? To Eddie? – spytał Aidan po chwili.

– Tak. Ktoś dźgnął go w pierś. Lekarz podejrzewa, że ktoś go dźgnął i Eddie niemal w tym samym momencie wypadł za burtę. Ciało... ciało jest w okropnym stanie.

– Wiadomo, tyle dni w wodzie... Zach, a ja mam dla ciebie kilka ciekawych informacji.

– Strzelaj.

– A gdzie teraz jesteś?

– W samochodzie. Właśnie wyjeżdżam z Providence.

– To dobrze. A więc... Sprawdziłem Morrissey. Jest czysty. Żadnej najmniejszej plamki. Więcej. Niemożliwe, żeby zabił kogoś dla pieniędzy.

– Skąd ten wniosek?

– Jest wnukiem Corneliusa Sharpa.

– A kto to jest ten Cornelius Sharp?

– Był. Już nie żyje. Najbogatszy facet w całym stanie, w związku z czym wnuk ma fundusz powierniczy taki, że człowieka zatyka. Morrissey, oczywiście, wcale nie musi pracować, ale on należy do facetów, którzy nie chcą przejadać rodzinnego kapitału. Akademię Policyjną ukończył śpiewająco, poza tym przez całe życie czyściutki jak łąza. Nawet nigdy mu się nie zdarzyło nie zapłacić za parkowanie.

- Rozumiem. A dowiedziałeś się czegoś o Amandzie?
- Jasne. Amanda Marie. Z domu Brown. Była już raz mężatką, rozwiodła się dziesięć lat temu.
- Mnóstwo ludzi pobiera się i rozwodzi.
- O rozwód wystąpił mąż. Dziecko, dziewczynka, zostało przy nim. Amanda wcale nie występowała o prawo do opieki, nawet do widywania się z córeczką.
- Żartujesz! Jestem pewien, że Sean o tym nie wie. Jest człowiekiem bardzo rodzinnym, dla niego byłby to szok.
- Teraz lecę do Nowego Jorku. Znalazłem kogoś, kto chce pogadać ze mną w cztery oczy, nie przez telefon. Ten ktoś pracował u adwokata Amandy, który prowadził jej sprawę rozwodową... Aha, Jeremy dzwonił już do mnie. Podobno Eddie jeździł do Bostonu, żeby odebrać tę monetę. Chciał wysłać ją osobiście, mówił, że zależy mu na tym, bo chce ją sam komuś wysłać, w terminie, jaki sobie wyznaczył. Powiedział, że oni... jacyś „oni”... od dłuższego czasu za bardzo mu się przyglądają, ale on do świąt nie ma zamiaru puszczać pary z ust. Tak powiedział mi ten facet z firmy. To by było na tyle... Wiesz co, Zach? Mam wrażenie, że zbliżamy się do celu. Dobrze, że wracasz już do Newport. O'Rileyów nie wolno zostawiać samych. Jeremy i Rowenna też są już w drodze, wkrótce tam się zjawią.
- W porządku. Powiedz tylko jeszcze, co z Calem? Masz coś na niego?
- Nic. Po prostu pięć lat temu ożenił się z Marni. Poznali się w Nowym Jorku.
- Rozumiem. No to leć do tego Nowego Jorku. Ja wracam do Newport. Jak najszybciej.

Caer upadła na twarde deski pokładu. Oczy miała nadal otwarte. Widziała, jak wszyscy też padają. Jeden po drugim. Clara, Tom, Kat, Sean...

Sean! Przecież ona miała chronić Seana! Amanda...

Nie, Amanda nadal stała. Czyli Kat miała rację. Amanda jest morderczynią.

Ciało człowieka jest w sumie bardzo delikatne i słabe. Ale ciało Caer to co innego. To coś, co trafiło do tej whisky, bardzo szybko przestanie na nie działać. Ciało powróci do normalnego stanu.

Szybko, za kilka minut. Jest czas, żeby pomyśleć.

Co było w tej whisky? Faktycznie narkotyki? Kto je dodał? Czy na pewno Amanda?

Amanda nawet się nie zachwiała. Ale stała nie tylko ona. Także Marni.

Panie Boże, nie pozwól, żeby to była trucizna. Nazwiska tych kilku osób, które leżą teraz nieprzytomne na pokładzie, na liście Michaela pojawiają się i znikają. Oznacza to, że są zagrożone. Ale wcale jeszcze nie jest powiedziane, że umrą.

Wszystko zależy od Caer. Jej zadaniem jest nie dopuścić, by nazwiska te utrwaliły się na liście Michaela. Jeśli tak się stanie, to umrą. A ona dla nich będzie już tylko duchem, duchem śmierci, który pomoże im przejść na tamtą stronę...

Usłyszała głos Marni.

– Znosimy ich na dół.

– A po co się tak męczyć? – spytała Amanda z wyraźną niechęcią. – Nie można tego zrobić tutaj?

– Nie marudź, tylko pospiesz się. Przy silniku już pokombinowałam, wybuchnie na życzenie. Ale przedtem, oczywiście, musimy się dowiedzieć,

dokąd Eddie przeniósł ten cholerny skarb. Wcale mi się nie uśmiecha czekać tu, aż się ockną i potem po kolei ich odpytywać. Robimy tak. Znosimy ich na dół, do kajuty, wypływamy, robimy wielkie bum i skaczemy do wody. Wracamy do domu i zabieramy się za przeglądanie ich rzeczy. Na pewno coś znajdziemy.

– Nie wiem, Marni, czy to dobry pomysł. Zach i jego bracia mogą zjawić się w domu w każdej chwili. Poza tym znaleziono ciało Eddiego. A mówiłaś, że nigdy go nie znajdą!

– Ale przynajmniej załatwiłam go! A ty zaważyłaś sprawę z Seanem!

– No wiesz! Miła jesteś! Jakbym zrobiła to celowo! Skąd mogłam wiedzieć, że stary dziad wyjdzie z tego? W końcu to ty skombinowałaś te grzyby. Powiedziałaś, że jak je zje, umrze i nikt nie dojdzie, dlaczego. No i co? Wcale nie umarł. A co z Calem, Marni? Stchórzyłaś?

– Coś ty! Ja, jak coś robię, to porządnie. Chwała Bogu, nikt nie widział, że na przystań przyjechałam sama. Z tym pilnym telefonem to była tylko ścierna.

– Zabiłaś go w domu Seana?! Ty idiotko! – wrzasnęła Amanda.

– Tylko nie „idiotko”. Wszystko przemyślałam. Kto zabił? Wierni służący napaleni na kasę O'Rileyów. Sprytne, co? Zabili Cala, bo zaczął coś kapować, potem załatwili całą resztę. Niestety, tak się złożyło, że razem z trupami wylecieli w powietrze. Tylko nam obu uda się wylecieć bezpiecznie, gwarantuję ci to, Amando.

– W tej wodzie zamarzniemy na śmierć.

– Nie, bo będziemy miały na sobie kamizelki ratunkowe.

– Zwariowałaś, Marni! To nic nie da! Woda jest lodowata!

– I co z tego? Już raz to przerabiałam. Zabiłam Eddiego, a potem dopłynęłam do wyspy.

– Ale wtedy miałaś na sobie kombinezon z pianką!

– Amando, przestań histeryzować! Pomyśl! Kiedy będzie już po wszystkim, ty będziesz jedyną spadkobierczynią Seana! Warto więc trochę zmarznąć! A teraz spręż się. Trzeba się pospieszyć, bo jeszcze jakimś dupkowi przyjdzie do głowy pożeglować dzisiaj i podejrzy nas. Ruszaj się! Najpierw bierzemy się za Toma. Jest cholernie ciężki.

Obie kobiety, sapiąc i narzekając, zaczęły taszczyć Toma do kajuty.

Caer zmagala się ze swoim ciałem. Głowa pracowała, ale cała reszta jeszcze nie. Nadal nie mogła wstać, wciąż była zbyt słaba. Czym tym razem posłużyły się te dwie zbrodniarki? Mają bardzo bogatą ofertę. Trujące grzyby, zmielone szkło, nóż...

Marni była jak lód. Z gruntu zła. Jak to się stało, że Caer tego dotąd nie zauważyła? Dlaczego nikt nie podejrzewał, że te dwie kobiety mogą być w zмовie?

Dlaczego? Bo sprytnie sobie wymyśliły, że będą udawać rywalki.

Marni powiedziała, że zabiła swojego męża. Czy Cal jest na liście osób, które mają przejść na tamtą stronę? Chyba nie... Może Cal jeszcze żyje...

Umysł Caer pracował na najwyższych obrotach. Co robić? Zyskać na czasie, wyciągając je na rozmowę. Czy jest sens? Zdobyć jakąś broń... Skąd?!

Och, Boże, trzeba koniecznie stąd wszystkich zabrać, póki jacht jeszcze jest przycumowany. Zanim nie wyleci w powietrze...

Ale jak?!

Marni i Amanda zniosły Toma i wróciły po Clare. Potem po Seana, a następnie po Kat.

Potem stanęły, ciężko dysząc, spojrzały na siebie i Marni wybuchnęła śmiechem.

– Ważą chyba po sto kilo! Nawet Kat!!

– Na szczęście została już tylko jedna – powiedziała Amanda. – Ale daj mi sekundę, muszę odsapnąć.

– Moje biedactwo! Nie martw się, niedługo koniec. Nikt nam niczego nie udowodni. Chodź tu do mnie... – Głos Marni był pełen czułości.

Kobiety padły sobie w objęcia, po czym nastąpił długi... pocałunek.

Marni nagle zachichotała.

– Świetnie udawałaś jędzę, Amando!

– Nie miałam z tym żadnych trudności. Ty wyszłaś za młodego, przystojnego faceta, choć debila, a ja za chodzące zwłoki. Każda kobieta w mojej sytuacji zmieniłaby się w jędzę. Jestem szczęśliwa, że może wreszcie to się skończy.

– Może? Na pewno!

– Tak myślisz? A jak znajdą ciało Cala...

– Bez obaw, żadnych śladów. Zrobiłam to w rękawiczkach, wielką patelnią Clary. Nikt nie będzie mnie o nic podejrzewać, tak samo jak dotąd nie doszli, dlaczego Sean się rozchorował. Powiedziałaś, że odnaleźli ciało Eddiego. Myślisz, że coś im to da? Nic, bo na pewno obzarte jest do kości. Tak samo będzie z ciałem tego policjanta, na którego natknęłam się na wyspie. Bądź dobrej myśli, Amando. Zapracowałyśmy sobie na sukces. A starałyśmy się przez tyle lat... Pamiętasz tę chwilę, kiedy ten stary, głupi Eddie wygadał się nam w barze w Village, że ma zamiar dokonać wielkiego

odkrycia. Teraz, nawet jeśli nie odnajdziemy tego ich głupiego skarbu, i tak będziemy bogate. Będziemy mogły robić wszystko, na co nam przyjdzie ochota, pojechać na koniec świata. Bo z całego imperium O'Rileya zostałyśmy tylko my. Nawet ta stara nudziara, Bridey, była tak uprzejma, że sama umarła i nie musimy jej zabijać. Ale dość gadania, bierzmy się za tę irlandzką sukę. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie dorwę się do jej rzeczy. Myślę, że ona mogła wpaść na jakieś wskazówki, gdzie Eddie ukrył ten pieprzony skarb... Przecież węszyła tu bez przerwy, razem z tym pieprzonym Zachem. Kat za bardzo cię nienawidzi, żeby do niej docierało, że poniekąd ma rację. A co do Seana... Gdyby coś podejrzewał, dawno byś to zauważyła.

Marni włączyła silnik. Caer przeklęła się w duchu, że nie dała rady wyczołgać się na nabrzeże. Niestety, nadal nie była w stanie się poruszyć. A poza tym, nawet gdyby mogła, to i tak pewnie nie zdecydowałaby się wyczołgać. Bałaby się zostawić ich tu samych.

Amanda nachyliła się, wzięła ją pod pachy i zaczęła ciągnąć w stronę schodków.

Caer otworzyła oczy i złapała Amandę za rękę. Amanda wrzasnęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zach gnał do Newport. Jak szalony, jemu oczywiście wydawało się, że zbyt wolno.

Oczy utkwione przed siebie, szare komórki włączone. A więc – kto?

Morrissey odpada. Od samego początku zresztą sprawiał wrażenie człowieka uczciwego. Teraz okazało się, że to człowiek zdolny do poświęceń, czyli zdecydowana rzadkość w naszych czasach. Prawdopodobnie chciał odwdzińczyć się losowi za luksusy, w których mógł się pławić.

Tom i Clara. Zach znał ich od lat. Czy to możliwe, żeby dopuścili się zbrodni? Jedno z nich prawie zawsze przebywało w domu. Podczas przyjęcia pożegnalnego przed wyjazdem Seana i Amandy do Irlandii oboje byli w domu. A podczas tego przyjęcia, zgodnie z teorią Zacha, ktoś nakarmił Seana trującymi grzybami. Tamtego dnia zaginął Eddie. Czy to możliwe, żeby któreś z nich, Tom albo Clara, wymknęło się niepostrzeżenie z domu? Tom – tak, Clara – nie.

Reasumując: czy Tom mógł wymknąć się z domu i zabić Eddiego, a Clara podać trujące grzyby Seanowi?

Tak. Możliwe.

Jednak instynkt, podobno niezawodny, podpowiadał, że taki scenariusz jest możliwy, ale nieprawdopodobny. Co w takim razie jest możliwe i prawdopodobne?

Amanda. Znienawidzona przez Kat, która była święcie przekonana, że Amanda chce śmierci jej ojca.

Cal i Marni. Cal w męskim przebraniu... W sumie przebrać może się każdy. Ale Cal jest młody i silny. Dla niego żaden problem zaatakować Eddiego, Gary'ego, czy Joreya, którego zasłoniła swoim ciałem Caer.

Z Providence do Newport jest zaledwie trzydzieści kilometrów. W środku sezonu turystycznego, kiedy drogi są zatłoczone, jedzie się około godziny, czasami nawet dłużej. Teraz jednak była zima i nie były to godziny szczytu. Zach dojechał do Newport bardzo szybko. Szybko i w dobrym nastroju. W końcu coś zaczyna się wykluwać. A poza tym prawda wyjdzie na jaw. Na pewno. Każdy morderca w którymś momencie traci czujność.

Podjechał pod dom i wyhamował samochód.

Dookoła czarno. Czarno od ptaków.

Widział je nie pierwszy raz. Nie pierwszy raz powtórzył sobie, że ptaki to ptaki.

Ale nigdy dotąd nie widywał ptaków w takich ilościach.

W Caer widok tych czarnych ptaków najwyraźniej wzbudzał lęk.

Powiedziała mu, że jest banshee. Zawodząca, fruważąca, lamentującą, łkającą irlandzką banshee, która towarzyszy konającym w ich ostatniej podróży.

Nieemożliwe. Banshee nie istnieją.

Ale nikt nigdy nie słyszał o jakieś masowej migracji kruków do Rhode Island. W środku zimy.

Trzasnął drzwiami od samochodu i czując coraz większy niepokój, pobiegł do domu.

Wszedł do kuchni i natychmiast odkrył jedną z prawd. Cal na pewno nie był zabójcą. Leżał na podłodze, z głowy sączyła się krew. Obok leżała jedna ze staroświeckich patelni Clary. Wielka, żelazna, ciężka. Poplamiona

krwią, czyli bez wątpienia tej patelni użyto jako narzędzia do powalenia młodego mężczyzny.

Zach, pełen najgorszych przeczuć, ukląkł i sprawdził puls. Na szczęście, wyczuwalny.

Szybko połączył się z 911, poprosił też o karetkę. Potem od razu zadzwonił do Morrisseya. Na jego prywatną komórkę. Ale Morrissey się nie zgłaszał.

Czyżby jednak mylił się co do Morrisseya?

Wątpliwości rozwiązał Cal.

Ocknął się. Otworzył oczy, spojrział nieprzytomnie i wymamrotał:

– Ona... ona oszalała... One obie oszalały...

– Kto? Powiedz, Cal, kto?

– Marni... Marni i Amanda.

– Gdzie one teraz są? Na jachcie?

– Tak. Zablokowały silnik, słyszałem, jak o tym szeptały. Jacht ma wylecieć w powietrze... Zach, powstrzymaj je... Spiesz się...

Słysząc już było sygnał karetki. Cal za moment będzie w dobrych rękach. Na szczęście jest przytomny i wszystko im wyjaśni...

Można biec.

Wypadł z domu. Sprint do samochodu. Ruszył z piskiem opon, potem gnał ulicą jak wariat, przeklinając każdy samochód, jaki spotkał na swej drodze.

Kiedy wjeżdżał na przystań, „Sea Maiden” była już kilka metrów od brzegu.

Wyływała z basenu. Na pokładzie były dwie obłąkane kobiety. Tak powiedział Cal o swojej żonie i Amandzie.

Łódź płynęła powoli wzdłuż oznakowań kanału. Ten ktoś, kto siedział przy sterze, był bardzo ostrożny. Nie chciał, żeby zatrzymał go patrol przybrzeżny.

Kto był mózgiem? Marni czy Amanda? Zach stawiał na Marni. Ona to wymyśliła, kiedy przychodząc do pracy, słuchała opowieści Eddiego, miała dostęp do map i dzienników pokładowych.

Co robić? Wskoczyć do wody i płynąć za nimi? Zanim dopłynie, zamarznie. Brać motorówkę? Bzdura. Od razu będzie wiadomo, o co chodzi.

Klnąc, na czym świat stoi, wpadł do biura, chwycił kombinezon i sprzęt pływacki.

Wreszcie w wodzie. Lodowatej. Nawet w tym kombinezonie jest szansa, że zanim do nich dopłynie, zmieni się w kołek.

Nieważne. Będzie lepiej. Byle do przodu. Kiedy człowiek się rusza, robi mu się cieplej.

Płynął, podążając za warkotem silnika. Świadomy, że kiedy „Sea Maiden” minie ostatnie oznakowanie, rozwinie taką prędkość, że nie uda jej się dogonić.

Trzeba to zrobić już teraz.

Wyplął na powierzchnię i złapał się pierścienia kotwicy. Zimno go jednak wykończyło, bał się, że nie da rady się podciągnąć. Na szczęście adrenalina potrafi czynić cuda. Także lęk, przede wszystkim o innych.

Podciągnął się, spojrzał w lewo, w prawo. Nikogo.

W chwili, gdy przechodził przez reling, łódź zaczęła pruć fale, nabierając prędkości.

Kiedy Amanda krzyknęła, natychmiast pojawiła się przy niej Marni.

Uderzyła Caer. Caer zobaczyła gwiazdy.

– Na nią nie działa! – krzyknęła wyraźnie roztrzęsiona Amanda. – Chociaż wlałam do tej whisky tyle seconalu! A ona nic!

– Nie szkodzi – warknęła Marni. – Wykorzystamy to. Jestem pewna, że ona coś wie!

Pochyliła się i zaczęła szarpać Caer, zmuszając ją, żeby wstała.

Caer stanęła na chwiejnych nogach. Na gardle czuła chłód. Chłód ostrza noża.

– Ty wiesz, gdzie Eddie schował skarb, prawda? Na pytanie Amandy odpowiedziała pytaniem.

– Skarb? A po co ci jakiś skarb? I tak dostaniesz w spadku cały majątek O'Rileyów!

– Po co mi skarb? Bo chcę wszystko! Zapracowałam sobie na to!

– Amando, daj spokój! Ja się za nią zabiorę! – zawołała Marni.

Pociągnęła Caer ze sobą do steru, nadal trzymając nóż przy jej szyi, i zmusiła ją, żeby uklękła.

– Amando, trzymaj ster. A ty gadaj. Przecież wiesz, gdzie Eddie ukrył skarb!

– Nie wiem. Ale wiem, że na tej łodzi można znaleźć jakąś wskazówkę, coś, co naprowadzi na ślad. Dlatego radzę jednak zrezygnować z wysadzania jachtu w powietrze...

– Ty lepiej zaraz mi tu gadaj! – wrzasnęła Amanda. – Bo będziesz miała poderżnięte gardziółko! Głupia irlandzka suka. Mogłaś się trzymać od tego z daleka. Ale nie, jesteś tak samo chciwa jak wszyscy!

– Zamknij się, Amando – powiedziała Marni znużonym głosem.

– Licz się ze słowami, Marni – zauważyła Caer bardzo chłodno. – To Amanda dziedziczy fortunę, nie ty.

Ręka Marni drgnęła. Caer czuła, jak po jej szyi spływają kropelki krwi.

– Mów, gdzie jest skarb! Jeśli nie powiesz, przytaszczymy tu z powrotem twoją słodką Kat i zaczniemy rozszarpać ją na kawałki. Wtedy na pewno zaczniesz gadać.

Caer wzruszyła ramionami.

– Przecież i tak masz zamiar ją zabić, Marni...

Na litość boską, co robić? Można przeciągać tę rozmowę w nieskończoność. Ale czy to coś da? Przecież sytuacja jest właściwie bez wyjścia.

– Oczywiście! Ale zabija się na różne sposoby. Może umrzeć nieprzytomna. Ale mogę też poczekać, aż się ocknie i zabić ją powolutku, żeby porządnie się przy tym namęczyła. Wierz mi, jestem w tym dobra.

– Nie wątpię. A ponieważ mnie też na pewno zabijesz, Marni, mam do ciebie prośbę. Zanim to zrobisz, mogłabyś mnie trochę oświecić? Ty i Amanda... kochacie się, prawda? Udawanie miłości do męża musiało być bardzo trudne...

– Nie takie trudne, jeśli czeka za to taka nagroda! Nie byłoby jej, gdybyśmy kiedyś nie spotkały Eddiego. Wiedziałyśmy już, o co walczyć i jak. Ja wzięłam na siebie Cala. Postarałam się, żeby zakochał się we mnie. Co wcale nie było takie trudne. Wiadomo, jacy są faceci. Potem poznałam Amandę z Seanem. Ale fakt, że czekanie, kiedy ten durny Eddie odnajdzie w końcu skarb, było dosyć wkurzające.

– Chylę czoła – powiedziała elegancko Caer. – Trzeba przyznać, że byliście naprawdę dobre. Ty udawałaś, że czujesz do Seana miłość, Amanda udawała, że jest zazdrosna. Poza tym ty zawsze trzymałaś stronę Kat, która nienawidziła Amandy.

– Dzięki za uznanie, ale teraz gadaj! Co wiesz o skarbie? Mów, bo ja wcale nie żartuję! Chyba nie chcesz, żeby Kat skończyła jako kolacja dla rybek!

– No... nie. A więc słuchaj. Na lewo ślad, na prawo ślad, a ty dziś nocą idź za Gwiazdą Północną.

– O, matko! – krzyknęła Amanda. – Ona bredzi!

– Zamknij się, Amando! – wrzasnęła Marni i spojrzała bacznie na Caer. – W tym coś może być. Mów dalej.

– Niestety, to wszystko. Eddie nie pisał długich wierszy.

– Marni... – odezwała się znów Amanda. – Ona pogrywa sobie z nami...

– Ależ skąd! Nigdy w życiu! – zapewniła gorąco Caer. Marni nie odrywała od niej oczu.

– Kto wie... – mruknęła. – Może ten wierszyk to wcale nie brednie...

Zach zdjął butlę z powietrzem, maskę i płetwy, schował je i zaczął nasłuchiwać. Z rufy dobiegały wyraźnie podniesione głosy. Kto tam jest? Przekona się później, teraz najważniejsze: sprawdzić kajutę. Z nadzieją, że nie ma tam ani Marni, ani Amandy.

Nie było ich. Ale to, co tam ujrzął...

Szok.

Ciała. Nieruchome. Clara rzucona na Toma. Sean na środku kajuty. Koło schodków skulona Kat.

Szok trwał sekundę. Zach przykucnął i starając się robić to jak najciszej, zaczął przesuwać się od jednego ciała do drugiego, sprawdzając na szyi puls.

Chwała Bogu, wszyscy żyją.

Wstał, wrócił do schodów i znów zaczął nasłuchiwać. Tak, to Caer. I te dwie, Amanda i Marni.

Nagle kątem oka zauważył, że Sean ocknął się. Otworzył oczy, poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć.

Zach położył palec na ustach.

– Caer – powiedział Sean, prawie bezgłośnie – gra na zwłokę...

– Tak, słyszę – szepnął Zach i wyciągnął spod pianki pistolet.

Sean zamknął oczy. Chyba znów stracił przytomność. Może to i lepiej.

Z bronią w ręku zaczął cicho wchodzić po schodkach. Jeden stopień, drugi...

Nagle na szczycie schodów ukazała się Amanda.

Zobaczyła go. Wrzasnęła, nie miał więc wyboru. Jednym susem pokonał resztę stopni, chwycił za rozjaśnione włosy i przyciągnął Amandę do siebie. Jak żywą tarczę. Pistolet przystawił jej do głowy i zaczął popychać ją, żeby szła przed siebie. Na spotkanie z Marni, która nadchodziła, ciągnąc ze sobą Caer.

– Puść ją – powiedział Zach.

Jako odpowiedź usłyszał najpierw szydery śmiech.

– Chyba żartujesz!

– Nie. Albo puścisz Caer, albo Amanda zginie. Marni wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo. Możesz ją zabić. Amanda wydała z siebie przeraźliwy pisk.

– Nie! Marni!

Marni znów wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie? Wtedy cały skarb będzie mój! Och, nie kwicz, Amando, on i tak ciebie nie zabije. Ten facet jest zakochany w tej Irlandce. Dlatego teraz grzecznie wyrzuci pistolet za burtę, bo inaczej poderżnę jego dziewczynie gardło i sprawię ją jak rybę. A on będzie sobie patrzył...

– Nie będzie patrzył! – wybuchnęła Caer. – Zach, zastrzel ją!

– Jeszcze nie, Caer – powiedział Zach stanowczym głosem. – Proponuję chwilę się zastanowić.

Było nad czym. Jak przekonać Marni, żeby puściła Caer? Może Marni była szalona, ale była też sprytna. Planowała to od lat.

– Zach, odpuść sobie Amandę – powiedziała Caer błagalnym tonem.

– Zastrzel Marni!

Dobrze. Lufa pistoletu zmieniła położenie.

– A ty... – syknęła Marni – dawałam ci szansę...

– Zach, proszę, musisz ją zabić...

Caer. Na ułamek sekundy spojrzał jej w oczy. Inne teraz, nie kobaltowe. Teraz był to lśniący błękit.

– Zach, uwierz mi, uwierz we wszystko, co ci mówiłam. Sean powinien żyć tyle lat, ile mu pisane. Dlatego tu jestem... Trzeba ocalić Seana, innych też. Dlatego strzelaj, Zach, nie oglądaj się na nic. Posłuchaj mnie, uwierz mi. Zach, uwierz we mnie!

Znów szyderczy śmiech Marni.

– Ty lepiej jej nie słuchaj i rzuć broń! Chyba nie jesteś ślepy! Nie widzisz tych ślicznych kropelek na jej szyi?

Widział. I wiedział. Jeśli nie rzuci broni, Caer może zginąć od noża Marni. Wiedział też, że broni nie rzuci. Bo w spojrzeniu Caer było coś niezwykłego. Coś, co nie pozwalało się jej sprzeciwić.

Nie, to niemożliwe. Ona nie jest banshee.

Przypomniawszy sobie inny nóż, nóż kuchenny do filetowania, bardzo ostry. Nóż, który wbił się w plecy Caer. Przeżyła. Okazało się, że było to tylko draśnięcie. Podobno nóż zatrzymał się na fiszbinie jej biustonosza. Tak twierdziła Caer...

Nie ma wyboru. Jeśli nie powstrzyma Marni, oni wszyscy zginą. Sean, Kat, Tom, Clara. Nie tylko Caer. Chyba że Caer...

– Zach, zrób to!

Pistolet wypalił. Kula przeszła czoło Marni w chwili, gdy nóż zanurzył się w szyi Caer.

Upadły na pokład. Amanda zaczęła krzyczeć histerycznie. Zach odepchnął ją i przypadł do Caer. Chwycił ją w ramiona, jednocześnie gorączkowo szukając czegoś, czym mógłby zatamować krew.

Nagle... Nagle usłyszał dziwny szum. Spojrzał w górę. Niebo było czarne. Czarne od ptaków. Setek, tysięcy czarnych ptaków, pikujących na jacht.

Amanda dalej krzyczała, jej krzyki zlewały się z wrzaskiem ptaków.

Zach położył rękę na ranie, starając się chociaż w ten sposób zatamować krew. I wtedy zobaczył otwarte oczy Caer. Uśmiechała się.

– Mówiłam ci, Zach, kim jestem. Mnie nie można zabić. Niebo dalej było czarne, ale ta czerń żyła, ruszała się, zaczynała nabierać jakiegoś kształtu.

I ten dźwięk. Tętent koni? Tak, wyraźnie. Konie – tutaj? Skąd?

– To powóz śmierci, Zach – powiedziała cicho Caer. Pomógł jej wstać. Zauważył, że rana nie krwawi, czyli on chyba ma halucynacje. Na pewno ma, bo kiedy spojrzał w górę...

Zobaczył na niebie powóz, unoszący się nad jachtem. Kare konie w uprząży ozdobionej piórami...

Usłyszał cichy, drżący głos Caer.

– Na mnie czas. Mówiłam ci, że kiedyś będę musiała odejść.

Przytuliła się do niego, bardzo mocno, musnęła wargami jego usta. Czuł smak łez, kiedy zaszepotała mu wprost do ust:

– Kocham cię.

Nagle drgnęła i odsunęła się od niego. On też drgnął, kiedy usłyszeli czyjś głos, mówiący z pięknym, radosnym irlandzkim akcentem.

– Nie, kochanie, wcale nie musisz odchodzić.

Z powozu wysiadła jakaś kobieta. Głos należał do Bridey, ale to nie była Bridey. Choć nie. To była Bridey, której odjęto wiele, wiele lat. Młoda i piękna, ubrana w zwiewną czarną suknię.

– Bridey? To ty? – szepnęła Caer. – Ale... przecież przeprowadziłam cię na tamtą stronę. Do zielonych wzgórz i pól. Do chaty w lesie, do światła i...

– Tak, kochanie. Ale nie mogłam tam zostać – oświadczyła Bridey. – Zach, posłuchaj, mój chłopcze. Banshee, choć różnie o niej mówią, nie jest zła. Przeprowadza dobrych ludzi na tamtą stronę, tam, gdzie czeka ich nagroda za ich dobroć. Zdarza się, że banshee przybiera ludzką postać. Tak jak nasza Caer. Ona pokochała cię, a ty ją. Dlatego postanowiłam zająć jej miejsce. O ile, oczywiście, tego chcecie. Caer, kochanie... wszystko jest już uzgodnione. Jesteś wolna. Możesz tu zostać. Powinnaś zostać. Kochać Zacha, a on cię. Do końca swoich dni. Przyjechałam tu, żeby wam o tym powiedzieć. A przy okazji poproszono mnie o dopilnowanie, żeby pewne osoby trafiły tam, gdzie nie ma zielonych pól. O, te dwie!

– Dwie? – spytała zaskoczona Caer.

– Tak. Dwie. Spójrz.

Amanda O'Riley z zakrwawioną głową leżała na pokładzie. Martwa. Prawdopodobnie na widok ptaków wpadła w panikę. Chciała uciec na dół, do kajuty, ale potknęła się i uderzyła głową o reling.

– Muszę już jechać – powiedziała Bridey. – Michael kazał ci powiedzieć, że dobrze się spisałaś, Caer. Jest z ciebie dumny. Nigdy więcej już go nie zobaczysz, dlatego prosił, żeby cię ostrzec. Pamiętaj, że musisz bardzo uważać na siebie, na swoje ciało z krwi i kości. Teraz rany od noża, na plecach czy na szyi, tak łatwo się nie zagoją.

– Ale... – zaczęła Caer.

– Na litość boską, o co tu w ogóle chodzi? – szepnął Zach. Bridey zaśmiała się radośnie.

– Jak to, o co? Zostałeś obdarowany, Zach. Darem życia. Życia Caer...

Nagle powietrze rozdarły przejmujące dźwięki, potężne, wibrujące, budzące największy lęk. Dobiały zewsząd, i z nieba, i z oceanu. Głuche i ostre zarazem, niosły ze sobą zapowiedź czegoś, co jest nieuniknione.

Przeznaczenie.

Wokół Marni i Amandy pociemniało. Zach widział, widział na własne oczy, jak z nieruchomych ciał ulatują dusze. Jak wokół nich zbierają się kawałki ciemności, fruwały wokół nich, jak setki czarnych ptaków.

Krzyczały, szarpały się. Broniły zaciekle, ale czerń wchłonęła je i pociągnęła ze sobą. Do powozu.

– Życie jest najcenniejszym darem – powiedziała Bridey. – Korzystajcie z niego mądrze.

Usiadła na koźle. Pomachała im na pożegnanie, wzięła cugle do rąk. Powóz znikł.

Zach osunął się na pokład.

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą Caer, jej kobaltowe oczy patrzyły z wielkim niepokojem. Kurtka Caer była poplamiona krwią, ale rana na szyi już się zasklepiła. Drobną dłoń, trzymającą rękę Zacha, była zadziwiająco silna.

Uśmiechnęła się, jakoś tak bardzo ostrożnie.

– Caer, co tu właściwie się wydarzyło?

– Obie nie żyją. Zastrzeleliś Marni. Amanda, kiedy jacht przechylił się, uderzyła głową o reling.

– A Sean? Kat?

– Wszystko w porządku.

– Caer... Czy to działo się naprawdę?

– Tak, Zach.

– Czyli ty... ty naprawdę jesteś banshee.

– Byłam. Czy potrafisz żyć z tą świadomością?

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął obie ręce i mocno przytulił ją do siebie. A potem zauważył, że na jachcie zaroilo się od ludzi. Policjanci i ratownicy medyczni. Musieli tu przyjechać, kiedy on na moment stracił przytomność. Słyszał, jak ktoś przekazywał zwierzchnikowi, że z silnikiem już wszystko w porządku.

Zach delikatnie pocałował Caer w usta.

– Ale ja... ja chyba nadal nie wierzę w banshee – szepnęła.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. – W takim razie to był sen. Tylko sen...

EPILOG

– Na prawo ślad, na lewo ślad, a ty dziś nocą podążaj za Gwiazdą Północną – wyrecytowała Caer.

Poezje Eddiego. Biedny Eddie... Tyle się wydarzyło od chwili jej przyjazdu do Stanów... Ale święta nadeszły, jak co roku. Dziś Dzień Bożego Narodzenia, który spędzali na pokładzie „Sea Maiden”. Na jachcie, na którym o mały włos wszyscy nie pożegnali się z życiem. Ale jacht niczemu nie winien. To ludzie potrafią być źli.

Byli wszyscy razem, świętując fakt, że przeżyli. Sean po raz drugi został wdowcem. Jakoś jednak nad tym specjalnie nie ubolewał. Bardziej niż serce ucierpiało jego męskie ego, kiedy okazało się, że kobieta, która podobno go kochała, wyszła za niego tylko po to, by zrealizować szatański plan.

Kat wykazała się wielkim rozsądkiem, powstrzymując się od uwag typu „a nie mówiłam”. Cal też był obecny na jachcie. Nadal jeszcze nie doszedł do pełnej formy. Fizycznej, bo psychicznie był już w porządku. Zwłaszcza kiedy zorientował się, że nikt nie robi mu wyrzutów z powodu postępów jego żony, która oszukiwała go tak samo jak wszystkich.

Tom i Clara też byli na „Sea Maiden”, chociaż Clara zarzekała się, że jej noga na tym jachcie nigdy już nie postanie. Ale ponieważ wszyscy postanowili wypłynąć, zmieniła zdanie, twierdząc, że nie będzie spędzać świąt z dala od ludzi, których uważa za swoją rodzinę.

Poza tym był tu cały komplet Flynnów wraz z przyległościami. Jeremy i Rowenna, Aidan i Kendall, no i oczywiście maleństwo. Następne pokolenie Flynnów. Ian, synek Kendall i Aidana.

Wszyscy siedzieli w ciepłej kajucie, tylko przy sterze widać było przytuloną do siebie parę. Caer i Zach.

Caer była przeszczęśliwa. Bo i nie ma nic cudowniejszego na świecie niż ten dzień, świąteczny dzień, spędzany w ciepłych ramionach Zacha...

– Caer... Naprawdę myślisz, że te śmieszne wierszyki Eddiego mogą naprowadzić nas na jakiś ślad? – spytał Zach.

– Oczywiście.

– Może już wiesz, gdzie jest ten skarb?

– Nie. Ale wiem, gdzie jest ostatnia wskazówka. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Gdzie?

– Tutaj.

Caer wskazał na ster, do którego wmontowany był kompas.

– *Na prawo ślad, na lewo ślad, a dziś nocą podążaj za Gwiazdą Północną.* Spójrz na kompas. Nad N... czyli północą, jest gwiazda.

Zach bez słowa przystąpił do działania. Kompas można było wyjmować, na wypadek, gdyby wymagał naprawy. Szybko podkręcał śrubki. Wyjął kompas. I wyjął kartkę.

– *Tik tak, tik tak, zegar daje znak. Skala Banshee, dwunasta.* Tak – przeczytał na głos.

– Eddie chyba jednak nie był wielkim poetą – powiedziała z uśmiechem Caer. – Ale szkoda, że go nie znałam.

– Szkoda. To był świetny gość. A poetą, moim zdaniem, był niezłym.

– Naprawdę?

– Tak. Wszystko, co chciał przekazać w swoich wierszach, przekazał.

Wyjął komórkę i zadzwonił do Morrissey'a.

– Trzeba jeszcze raz wysłać ludzi na Cow Cay. Eddie nie wywiózł skarbu z wyspy, tylko przeniósł w inne miejsce. Na północ od skały Banshee, podejrzewam, że jest ukryty w kępie uschniętych drzew. Weźcie wykrywacze metali i zacznijcie szukać od razu koło tych drzew.

Zach rozłączył się.

– Zach! A nie sądzisz, że Sean chciałby sam odkopać ten skarb? – spytała Caer.

– Nie. Po pierwsze wyspa jest własnością stanu Rhode Island, nie każdy może sobie tam popłynąć i pokopać. A po drugie Sean, na ile go znam, zamierzał skarb przekazać do muzeum. Caer! Dla człowieka prawdziwym skarbem nie są stare monety!

– A co?

– Rodzina i miłość. A dla mnie... Objął ją mocno i pocałował.

– Dla mnie największym skarbem jesteś ty, Caer.